

Blake Crouch

PUSTKOWIA

Tłumaczyła

Dorota Strukowska

Replika

Tytuł oryginału

Desert Places

Copyright © 2004 by Blake Crouch

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Replika, 2011

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja

Magdalena Bandurska

Projekt okładki

Mariusz Troliński

Skład i łamanie

Stanisław Tuchołka

Wydanie I

Fragmenty poezji Roberta Frosta w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka
pochodzą z tomiku Robert Frost, 55 wierszy, Arka 1992

ISBN 978-83-7674-101-7

Wydawnictwo Replika

ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo

tel./faks 61 868 25 37

replika@replika.eu

www.replika.eu

Druk i oprawa: WZDZ - Drukarnia „LEGA”

Dla moich rodziców,

Claya i Susan Crouchow

Nie straszcie mnie kosmosem,

gdzie próżnia jałowa

Międzygwiezdnych przestrzeni

- bez życia, bez słowa.

O wiele bliżej - w sobie

- mam tego dość wiele,

By straszyły mnie własne,

prywatne pustkowia.

Robert Frost Pustkowia,

tłum. Stanisław Barańczak

Rozdział 1

W przesłiczny majowy wieczór siedziałem na tarasie, przyglądając się, jak słońce pochyla się nad jeziorem Norman. Jak dotąd był to idealny dzień. Wstałem o piątej rano, jak zawsze, nastawiłem dzbanek mocnej kawy i przygotowałem swoje ulu-

bione śniadanie złożone z jajecznicy i miski świeżego ananasa. Przed szóstą już pisałem i nie przerywałem aż do południa. Wtedy usmażyłem dwa białe bassy, które złowiłem poprzedniej nocy, a w chwili, gdy zasiadałem do stołu, żeby zjeść lunch, zadzwoniła moja agentka. Kiedy zbliżam się do zakończenia książki, Cynthia wyłącza mnie w odbieraniu wiadomości i teraz właśnie miała kilka nowych. Jedyna - rzeczywiście ważna - dotyczyła sfinalizowania umowy na sfilmowanie mojej ostatniej powieści Przecież to zbrodnia. Oczywiście, to były dobre wieści, ale na podstawie książek, które napisałem, powstały już dwa inne filmy, zdążyłem się więc z tymi kwestiami oswoić.

Pracowałem w swoim gabinecie przez resztę popołudnia i skończyłem o osiemnastej trzydzieści. Ostatnie poprawki nowego, jeszcze niezatytułowanego rękopisu zamierzałem nanieść następnego dnia. Byłem zmęczony, ale mój nowy thriller, zatytułowany Spiekota, w ciągu tygodnia powinien trafić na półki księgarni. Delektowałem się wyczerpaniem, jakie następuje po całym dniu pracy. Ręce miałem obolałe od pisania, oczy suche i zmęczone. Wyłączyłem komputer i w obrotowym fotelu odsunąłem się od biurka.

11-

Wyszedłem na zewnątrz i ruszyłem długim podjazdem w kierunku skrzynki na listy. Po raz pierwszy tego dnia znalazłem się na dworze i ostre światło słońca raziło mnie w oczy, przeciskając się przez rzędy sosen porastających obie strony podjazdu. Było tak cicho. Piętnaście mil dalej na południe Charlotte nadal dusiło się w korkach w porze szczytu, byłem więc wdzięczny, że nie jestem częścią tego obłędu. Gdy maleńkie kamyki chrzęściły mi pod stopami, wyobraziłem sobie mojego najlepszego przyjaciela, Waltera Lancinga, wściekającego się w swoim cadillacu. Pewnie przeklinał trąbienie klaksonów i mrowie tylnych świateł, ubrany w garnitur, w ślimaczym tempie sunąc z willowej dzielnicy Charlotte i zostawiając za sobą przyrodniczy kwartałnik „Turysta”, by wrócić do domu, do żony i dzieci. „To nie dla mnie”, pomyślałem. „Ja jestem samotnikiem”.

Chociaż raz moja skrzynka na listy nie pękała w szwach. Wewnątrz leżały dwie koperty -jedna z rachunkiem, a druga czysta wyłącznie z wydrukowanym na niej moim adresem. „Poczta od fanów”.

W domu zmieszałem sobie whisky Jack Daniel's z cytrusowym napojem i zabrałem na taras pocztę oraz książkę na temat patologii kryminalnej. Sadowiąc się w bujanym fotelu, odstawiłem wszystko prócz drinka na mały szklany stolik i zapatrzyłem się na wodę. Moje podwórze jest wąskie, a drzewa ciągną się na ćwierć mili z obu stron, dzięki czemu dom, w którym mieszkam od dziesięciu lat, jest odizolowany od najbliższych sąsiadów.

Wiosna tego roku nadeszła dopiero w połowie kwietnia, więc zmieniające się zielone wnętrza otaczającego mnie lasu wciąż jeszcze było upstrzone ostatnimi różowymi i białymi kwiatami dereni. Jasnozielona trawa sięgała aż do wyblakłej szarej przystani na brzegu jeziora, gdzie wiekowa wierzba płacząca zwieszała

się nad wodą, a koniuszki gałęzi muskały jej powierzchnię. Jezioro ma ponad milę szerokości w miejscu, gdzie styka się z moją posiadłością, przez co domy na przeciwległym brzegu

12-
są widoczne jedynie zimą, gdy drzewa stoją odarte z pokrywy liści. Teraz zatem, w samym środku wiosny, kiedy gałęzie obsypały się świeżą zielenią i żółcią, jezioro należało tylko do mnie i miałem poczucie, że prócz mnie w całej okolicy nie ma żywego ducha.

Odstawiłem na wpół opróżnioną szklaneczkę i otworzyłem pierwszą kopertę. Tak, jak się spodziewałem, znalazłem w niej rachunek za telefon, więc uważnie przejrzałem przydługi wykaz połączeń. Kiedy skończyłem, odłożyłem go i podniosłem lżejszą kopertę. Nie było na niej znaczka, co mnie zdziwiło. Rozciąłem kopertę, wyjąłem z niej pojedynczą kartkę białego papieru i rozłożyłem ją. Pośrodku strony czarnym tuszem wydrukowano jeden akapit:

Witam. Na twojej posiadłości znajduje się zakopane ciało, całe we krwi. Nazwisko tej nieszczęsnej młodej damy brzmi Rita Jones. Na pewno widziałeś twarz tej zaginionej nauczycielki w wiadomościach. W kieszeni jej dzinsów znajdziesz kawałek papieru z numerem telefonu. Masz jeden dzień, żeby zadzwonić pod ten numer. Jeżeli nie otrzymam od ciebie wiadomości do jutra (17 maja) do godziny dwudziestej, wydział policji w Charlotte odbierze anonimowy telefon. Powiem im, w którym miejscu na terenie posiadłości Andrew Thomasa nad jeziorem pochowana jest Rita Jones, jak ją zabił oraz gdzie w jego domu można znaleźć narzędzie zbrodni. (Jak sądzę, w kuchni brakuje noża do jarzyn.) Mam nadzieję, że dla twojego własnego dobra nie będę musiał wykonać tego telefonu. Na grobie umieściłem znak. Wystarczy, że pójdziesz wzdłuż brzegu jeziora w kierunku południowej granicy posiadłości, aby go znaleźć. Zdecydowanie odradzam udanie się na policję, ponieważ zawsze mam cię na oku.

13-

Uśmiech wygiął mi wargi. Nawet zachichotałem sam do siebie. Ponieważ piszę powieści opowiadające o zbrodni i przemoc, moi wielbiciele często miewają pokręcone poczucie humoru. Otrzymywałem już śmiertelne pogróżki, drastyczne ilustracje, a nawet zapiski ludzi twierdzących, że popełnili morderstwo w taki sam sposób jak seryjni zabójcy w moich książkach. „Ale ten list sobie zachowam”, pomyślałem. Nie przypominałem sobie niczego tak oryginalnego.

Przeczytałem list jeszcze, lecz za drugim razem ukłuło mnie ostrzegawcze przeczucie, zwłaszcza że autor posiadał pewną wiedzę o rozkładzie mojej posiadłości. Nóż do jarzyn zaś rzeczywiście zginął z bloku z nożami. Ostrożnie złożywszy list, wsunąłem go do kieszeni spodni i zszedłem po schodach w kie-

runku jeziora.

#

Gdy słońce zniżało się na zamglonym niebie, promienie światła sączyły się jak farba rozlana po zachodniej stronie horyzontu. Spoglądając na lśniące jezioro, skąpane w intensywnych barwach pomarańcza, purpury i fuksji, przez parę chwil stałem na brzegu i obserwowałem, jak zderzają się dwa zachody słońca. Na przekór rozsądkowi ruszyłem wzdłuż brzegu na południe i wkrótce kroczyłem po szeleszczącym materacu z liści. Przeszedłem jedną ósmą mili, nim się zatrzymałem. U swoich stóp, pośród pędów wawrzynu obsypanego różowymi kwiatami górskiego, zobaczyłem miniaturową czerwoną chorągiewkę umocowaną do kawałka zardzewiałego metalu wciśniętego w ziemię. Chorągiewka trzepotała targana podmuchem wiatru, który marszczył też wodę. „To na pewno żart”, pomyślałem. „A jeśli tak, to cholernie dobry”.

Gdy odgarniałem suche liście wokół znaku, serce zaczęło mi łomotać. Ziemia dookoła chorągiewki była udeptana, a nie sypka

14-

jak niewzruszona gleba. Dostrzegłem nawet fragment odcisku buta, kiedy uprzątnąłem wszystkie liście.

Pobiegłem do domu i wróciłem z łopatą. Ponieważ ziemia została już przekopana, z łatwością zrobiłem dziurę na półtorej stopy dokładnie w miejscu, gdzie umieszczono znak. Na głębokości dwóch stóp krawędź łopaty uderzyła w coś miękkiego. Serce mi zamarło. Odrzuciłem łopatę na bok, osunąłem się na kolana i ryłem w ziemi rękoma. Otoczył mnie fetor zgnilizny, a w miarę pogłębiania otworu woń stawała się coraz ostrzejsza.

Moje palce dotknęły ciała. Z przerażenia cofnąłem dłoń i niezdarnie odsunąłem się od dołu. Wstając, wpatrywałem się w brązową kostkę nogi o kawowej barwie, ledwie prześwitującą spod ziemi. Odór zgnilizny przytłoczył mnie z taką mocą, że gdy ponownie chwyciłem za łopatę, oddychałem tylko przez usta.

Kiedy trup został całkowicie odsłonięty i ujrzałem, co miesiąc gnicia może zrobić z ludzką twarzą, zwymiotowałem na liście. Zawsze wydawało mi się, że powinienem być uodporniony na takie rzeczy, skoro o nich piszę. Zbierając informacje o makabrycznych wyczynach seryjnych zabójców, obejrzałem wiele okaleczonych zwłok. Ale nigdy dotąd nie wahałem ludzkiej istoty rozkładającej się w ziemi ani nie widziałem, jak owady roją się w wilgotnych otworach.

Pozbierałem się jakoś, zasłaniając usta i nos ręką, i ponownie zajrzałem do wykopu. Twarz nie dawała się rozpoznać, ale ciało bez wątplenia należało do niskiej czarnoskórej kobiety o grubych nogach i pulchnym tułowi. Miała na sobie białą niegdyś koszulę, teraz poplamioną krwią i ziemią, a rozerwana tkanina odsłaniała część piersi, szczególnie w okolicy serca. Dżinsowe szorty zakrywały jej uda. Z powrotem opadłem na kolana, wstrzymałem oddech i sięgnąłem do jednej z kieszeni spodnek. Nogi kobiety były gąbczaste i nabrziałe, miałem więc trudności z wciśnię-

ciem dłoni w ciasne dzinsy. Nie znalazłszy niczego w pierwszej kieszeni, przeszedłem na drugą stronę wykopu i spróbowałem 15-

z drugą kieszenią. Wepchnąwszy do niej rękę, wyjąłem pasek papieru z ciasteczką z wróżką i znowu osunąłem się na liście, chwytając czyste powietrze wielkimi haustami. Po jednej stronie zobaczyłem numer telefonu, po drugiej zaś napis: „Jesteś tylko kwiatem medytacji na pustkowiu”.

W ciągu pięciu kolejnych minut na powrót pochowałem ciało wraz z chorągiewką. Przyniosłem niewielki kawałek granitu znad brzegu jeziora i umieściłem go na pokrytym liśćmi grobie. Następnie wróciłem do domu. Była za kwadrans dwudziesta, a na niebie nie pozostała już ani odrobina światła.

#

Dwie godziny później, siedząc na sofie w salonie, wykręciłem numer telefonu zapisany na pasku papieru. Wszystkie drzwi prowadzące do domu były zamknięte, większość światel zapalona, a na moich kolanach spoczywała zimna i gładka nierdzewna stal rewolweru kaliber 357.

Miałem bardzo dobry powód, żeby nie dzwonić na policję. Stwierdzenie, że to moja krew znajdowała się na zwłokach kobiety, to zapewne kłamstwo, ale w kuchni od kilku tygodni brakowało noża do jarzyn. Poza tym, gdy poszukiwania Rity Jones przez policję w Charlotte zajmowały poczesne miejsce w lokalnych wiadomościach, znalezienie jej ciała na moim terenie, zamordowanej moim nożem i możliwe, że z moimi odciskami palców, dostarczyłoby aż nadto materiału dowodowego, by mnie oskarżyć. Przeanalizowałem dostatecznie wiele procesów o morderstwo, żeby to wiedzieć.

Gdy telefon zadzwonił, wpatrywałem się w sklepiony sufit salonu i błądziłem wzrokiem po czarnym małym fortepianie, na którym nigdy nie nauczyłem się grać, po marmurowym kominku oraz dziwacznych dziełach sztuki zdobiących ściany. Pewna kobieta imieniem Karen, z którą umawiałem się przez blisko dwa 16-

lata, przekonała mnie, żebym kupił pół tuzina dzieł niedawno zmarłego minimalisty z Nowego Jorku. Podpisywał swoje prace „Loman”. Początkowo Loman mnie nie zachwycił, lecz Karen zapewniała mnie, że w końcu go „poczuję”. Teraz, uwolniony od dwudziestu siedmiu tysięcy dolarów i jednej narzeczonej, gapiałem się na ohydę o wymiarach dziesięć na dwanaście stóp, wiszącą nad kominkiem: gówniany brąz na płótnie z żółtym kołem wielkości piłki bejsbolowej w prawym górnym rogu. Oprócz Brązu nr 2 cztery podobne cuda artystycznego geniuszu znaczyły inne ściany mojego domu jak ślady po ospie, ale te mogłem zdzierżyć. Na ścianie u podnóża schodów zainstalowana była Chwila relaksu, kosztująca dwanaście tysięcy dolarów sarta wypchanych zwierzaków w szklanej obudowie i zszytych w orgiastyczny zlepek, który nawet teraz wywoływał u mnie rumieniec. Ale uśmiechnąłem się, choć wspomnienie związku - nieaktual-

nego od zeszłej zimy - przeszło mi wewnątrzności bolesną szpilą. Mój wrzód o imieniu Karen. „Wciąż tutaj jesteś. Wciąż mnie ranisz. Przynajmniej to wciąż ty”.

Drugi dzwonek.

Rzuciłem okiem w górę schodów wspinających się na odsłonięty korytarz na piętrze i gdy zamknąłem oczy. Przypomniałem sobie przyjęcie, jakie wydałem zaledwie tydzień temu - goście śmiali się, rozmawiali o polityce i książkach, wypełniali moje milczenie. Zobaczyłem na górze mężczyznę i kobietę, wspartych łokciami o dębową balustradę, a spoglądających na salon, barrek i kuchnię. Trzymając kieliszki z winem, pomachali do mnie. Uśmiechali się do swego gospodarza.

Trzeci dzwonek.

Mój wzrok padł na fotografię matki - zdjęcie formatu pięć na siedem cali w witrażowej ramce, stojące na obsydianowym fortepianie. Matka była jedyną krewną, z którą utrzymywałem regularny kontakt. Chociaż miałem rodzinę na północnym wybrzeżu Pacyfiku, na Florydzie i trochę w obu Karolinach, to

17-
widywałem ich rzadko - podczas rodzinnych zjazdów, ślubów lub pogrzebów, na które matka podstępem wyciągała mnie ze sobą. Ale ponieważ mój ojciec zmarł, a brata nie widziałem od trzynastu lat, rodzina nie znaczyła dla mnie wiele. Wystarczyli mi przyjaciele i - w przeciwieństwie do powszechnej na mój temat opinii - nie miałem tak naprawdę natury samotnika. Potrzebowałem ich.

Na fotografii matka kuca przy grobie ojca, pielęgnując kępkę karminowych pacioreczników w cieniu nagrobka. Ale widzi się tylko jej silną, życzliwą twarz pośród kwiatów, gdy zamierza uporządkować miejsce spoczynku swego męża pod tą samą magnolią, na którą niegdyś uczył mnie wspinać się, a która teraz majaczy za jej plecami rozmytą plamą woskowatych zielonych liści.

Czwarty dzwonek.

- Widziałeś ciało?

Zabrzmiało to tak, jakby mężczyzna mówił przez ręcznik.

W jego ostrym głosie nie było słyhać emocji ani wahania.

-Tak.

- Wypatroszyłem ją twoim nożem kuchennym, a nóż ukryłem w twoim domu. Wszędzie są na nim twoje odciski palców.

- Odchrząknął. - Cztery miesiące temu doktor Xu pobierał ci krew. Zgubili fiołkę. Pamiętasz, że musiałeś wrócić i oddać krew jeszcze raz?

-Tak.

- Ukradłem tę fiołkę. Trochę krwi znajduje się na białej koszulce Rity Jones. Reszta jest na innych.

- Jakich innych?

- Zadzwoń, a ty spędzisz resztę życia w więzieniu. Możliwe, że w celi śmierci.

- Ja tylko chcę...

- Zamknij się. Otrzymasz pocztą bilet na samolot. Poleć tym lotem. Spakuj ubrania, przybory toaletowe, nic więcej. Zeszłe 18-

lato spędziłeś na Arubie. Powiedz przyjaciołom, że znowu tam jedziesz.

- Skąd to wiesz?

- Wiem wiele rzeczy, Andrew.

- Właśnie wychodzi moja książka - argumentowałem. - Mam umówione spotkania autorskie. Moja agentka...

- Okłamaj.

- Ona nie zrozumie, że po prostu tak sobie wyjeżdżam.

- Chrzań Cynthię Mathis. Okłამiesz ją dla własnego bezpieczeństwa, ponieważ jeśli będę choćby podejrzewał, że kogoś wtajemniczyłeś albo że ktoś cokolwiek wie, trafisz do więzienia lub umrzesz. Jedno albo drugie masz jak w banku. I mam nadzieję, że nie jesteś na tyle głupi, żeby śledzić ten numer. Zapewniam, że telefon jest kradziony.

- Skąd mogę wiedzieć, że nie stanie mi się krzywda?

- Nie możesz. Ale jeżeli się rozłączę, a nie będę przekonany, że polecisz tym samolotem, to jeszcze tej nocy zadzwonię na policję. Mogę złożyć ci wizytę, kiedy będziesz spał. Kiedyś w końcu musisz odłożyć to magnum.

Podniosłem się i okręciłem, ściskając broń w spoconej dłoni. W domu panowała cisza, chociaż na tarasie pobrzękiwały dzwonki, trącane lekkim wiatrem. Wyjrzałem przez wielkie okna salonu na czarne jezioro. Jego zmarszczona powierzchnia odbijała światła przystani. Niebieskie światło na końcu przystani Waltera kładło się na wodzie, docierając z odległej zatoczki. Jego „światelko Gatsby'ego”, jak je nazywaliśmy. Obiegnę spojrzaniem trawę i skraj lasu, ale było o wiele za ciemno, żeby dostrzec cokolwiek wśród drzew.

- Nie jestem w twoim domu - powiedział. - Siadaj.

Poczułem, że coś we mnie wzbiera - gniew wywołany strachem, wściekłość z powodu tej niesprawiedliwości.

- Zmiana planów - odparłem. - Zaraz się rozłączę, wykręcę 911 i zaryzykuję. Możesz sobie...

19-

- Jeżeli nie kieruje tobą instynkt samozachowawczy, to jest pewna stara kobieta imieniem Jeanette, którą mógłbym...

- Zabiję cię.

- Lat sześćdziesiąt pięć, mieszka sama, więc chyba ucieszyłoby ją towarzystwo. Jak myślisz? Czy mam odwiedzić twoją matkę, żeby ci udowodnić, że mówię poważnie? Nad czym się tu zastanawiać? Powiedz mi, że wsiądziesz do tego samolotu, Andrew. Powiedz mi, żebym nie musiał tej nocy składać wizyty twojej matce.

- Wsiądę do tego samolotu.

W telefonie rozległ się trzask i mężczyzna się rozłączył.

Rozdział 2

W parny poranek 21 maja, gdy krople deszczu rozpryski-

wały się na chodniku, zamknąłem drzwi swojego domu nad jeziorem i poniosłem olbrzymi czarny marynarski worek w kierunku białego cadillaca deville. Walter Lancing otworzył bagażnik, nie ruszając się z siedzenia kierowcy, a ja wrzuciłem torbę do środka.

- Gdzie ty się, u diabła, wybierasz? - zapytał pogodnym tonem, gdy pomału sunęliśmy po podjeździe. Zadzwoiłem do niego trzy godziny wcześniej, mówiąc mu, że potrzebuję podwiezienia na lotnisko oraz żeby zabrał mnie o dziesiątej trzydzieści. Odłożyłem słuchawkę, zanim zdążył mnie o cokolwiek wypytać.

- Wyjeżdżam na jakiś czas - odpowiedziałem.

- Dokąd? Masz ze sobą spory bagaż. - Uśmiechał się. Słyszałem to w jego głosie, gdy patrzyłem, jak mój dom maleje w bocznym lusterku.

- Po prostu jadę - stwierdziłem.

- Celowo jesteś taki niekonkretny? - Na jego nieogolonej twarzy pojawiły się kropelki potu; palcami przecesał krótkie siwe włosy. Łypnął na mnie, oczekując odpowiedzi. Tymczasem deszcz lał się strumieniami z ołowianego nieba, a po nim pojawił się pomruk gromu. - Andy, co się stało?

- Nic. Skończyłem książkę. Jestem zmęczony. Potrzebna mi przerwa, wiesz, jak to jest.

21-

Walter westchnął, a ja patrzyłem przez okno na mknące za nim drzewa i nasłuchiwałem bębnienia deszczu o przednią szybę. Żona Waltera, Beth, jechała ostatnio tym samochodem. Wyczuwałem jej żel do kąpieli - słodki, rześki zapach jałowca. Różowy pilniczek do paznokci leżał na dywaniku na podłodze obok moich stóp.

- Wracasz na Arubę? - spytał Walter.

- Nie. - Nie chciałem okłamywać go w żywe oczy.

- A więc zgaduję, że Cynthii też nie powiedziałeś.

Pokręciłem głową.

- Spiekota właśnie wychodzi, Cynthia dostanie szału.

- Oto, dlaczego jej nie mówiłem. Jest jak sierżant od musztry. Zadzwoń za mnie do niej do domu dziś wieczorem, dobrze? Przekaż jej, że powiedziałem, iż jestem zmęczony pisaniem, że potrzebuję wakacji i żeby się nie martwiła.

- A gdy mnie zapyta, dokąd pojechałeś?

- Powiedz jej, że wiesz tylko, iż to jakaś mała wyspa na południowym Pacyfiku.

- Pomyśli, że kłamię.

- To jej problem. Nie jest twoją agentką.

- Proszę, powiedz mi, co się dzieje...

- Nie pytaj, Walterze.

Deszcz wciąż lał jak z cebra, kiedy skręciliśmy na południe na 1-77. Zamknąłem oczy i ostrożnie nabrałem powietrza; serce tańczyło mi w piersiach, jakbym łyknął dwie porcje espresso. Chciałem zawrócić. Trasa związana z premierą książki oraz odpoczynek w luksusie własnego domu, kiedy lato zagości nad

jeziorem - oto, jak wyobrażałem sobie nadchodzące miesiące.

- Zadzwoń do mnie - powiedział Walter. - Albo napisz. Po prostu daj mi znać, że jesteś cały.

- Jeśli to będzie możliwe, tak zrobię.

- Czy chcesz, żebym odbierał twoją pocztę i zajął się rachunkami?

22-

- Aha. Zamierzałem cię o to poprosić.

- Przerażasz mnie, Andy - oznajmił.

Ruch wycieraczek na przedniej szybie, kołyszących się tam i z powrotem, oraz ryk silnika stały się ogłuszające. Bezmyślnie manipulowałem przy automatycznie otwieranym oknie, przyciskając malutki guzik środkowym palcem, choć nic się nie działo. Zabezpieczenie przed otwarciem było włączone.

Miniaturowa sylwetka zabudowań Charlotte na tle nieba wyłoniła się z zielonego pogórza; budynki wyglądały, jakby ścięto im głowy, bo ich szczyty były ukryte w niskiej warstwie burzowych chmur. Walter spojrzął na mnie, zmuszając się do uśmiechu.

- Na pewno nic ci się nie stanie.

- Naprawdę nie wiem. W tym rzecz.

O jedenastej podjechaliśmy pod główne wejście Douglas International Airport. Wysiedliśmy z samochodu, dźwignąłem torbę z bagażnika i zarzuciłem ją sobie na ramię.

- Pojadę z tobą, jeśli chcesz - zaoferował Walter.

- Nie możesz. - Rozejrzałem się po tłumie podróżnych przechodzących przez automatyczne drzwi. Wydawało się, że nikt nie zwraca na nas uwagi, wyjąłem więc z kieszeni torby szarą kopertę i dyskretnie wrzuciłem do bagażnika.

- Jeżeli nie wrócę do pierwszego września, możesz ją otworzyć.

- Września?

- Walterze, posłuchaj. Nie pokazuj tego nikomu. Jeśli minie termin, a ja nie wrócę, będziesz wiedział, co zrobić z zawartością. Zapisałem instrukcje.

Walter zatrzasnął bagażnik.

Nasze spojrzenia się skrzyżowały. Jego oczy wpatrywały się we mnie badawczo, zdezorientowane, pełne obaw. Przyjrzałem się całej jego postaci, żeby móc zabrać ze sobą jego obraz - stojącego tam w szarym garniturze, bez krawata, w białej płóciennej koszuli z rozpiętymi dwoma guzikami u góry. Mój najlepszy

23-

przyjaciel. Walter. „Czy będę wracał myślami do tej chwili, żałując, że nie pozwoliłem mu, by mi pomógł? Mój Boże”.

- No to do zobaczenia - powiedziałem. Potem klepnąłem go w ramię i ruszyłem na lotnisko.

#

Wyjrzałem przez okrągłe okienko i domyśliłem się, że odrutowiec przelatuje nad Wielkimi Równinami. Z wysokości sześciu mil nad ziemią widziałem jedynie brązowy ocean ciągnący się od horyzontu do horyzontu. Siedząc w pierwszej klasie, odpią-

łem pasy i rozłożyłem się w pluszowym fotelu. Przez zasłone, oddzielającą mnie od klasy turystycznej, słyszałem niezadowolony pomruk setki nieszczęsnych pasażerów. Nie pamiętałem już, kiedy ostatnio leciałem klasą turystyczną, i w obliczu lęku, jaki towarzyszył mi w drodze do Denver, stwierdziłem, że ten okrucieństwo luksusu dodaje mi otuchy.

#

Wszedłem do budynku terminalu. Gdy wpatrywałem się w długi korytarz pełen kręcących się zniecierpliwionych podróżnych, dostrzegłem, że spogląda na mnie starszy biały mężczyzna w czarnym uniformie szofera. Trzymał kawałek tektury z moim nazwiskiem wypisanym dużymi wąskimi literami. Podeszedłem do niego.

- Jestem Andrew Thomas - powiedziałem.

Rondo kapelusza mężczyzny sięgało mi ledwie do ramion.

Przyjrzał mi się od stóp do głów szeroko rozstawionymi, nierównymi oczami.

- Witamy w Denver. Jestem Hiram - odezwał się chrapliwym głosem i raptem uśmiech pojawił się na jego zmizerowanej, 24-

zapadłej twarzy. - Limuzyna czeka na pana na zewnątrz. Czy można zabrać pański bagaż?

Ruszyłem za nim przez hol. Jak na staruszkę miał szybki i miarowy krok. Nim się obejrzałem, już dotarliśmy do punktu odbioru bagażu.

Czekając na swój marynarski worek, zapytałem szofera:

- A więc wiesz, dokąd mnie zabierasz?

- Tak, sir - odparł.

- Dokąd?

Skrzywił się z wyrzutem.

- No, powiedziano mi, żebym to trzymał w tajemnicy, panie Thomas. Dostałem ładny grosz za trzymanie języka za zębami, nie mogę więc popsuć panu niespodzianki.

- Niczego mi nie popsujesz - zapewniłem go, zmuszając się, by dobronnie się roześmiać. Usiłowałem go uspokoić. - Naprawdę. Podwoję to, co on ci płaci.

Hiram zaśmiał się i pokręcił głową.

- On mówił, że zapewne spróbuje pan czegoś takiego. Mówił, żebym mu powiedział, jeśli pan to zrobi, a on zapłaci mi dwa razy tyle, ile pan zaoferuje.

- Dobrze - ustąpiłem. - Zapomnij o tym. Niech to będzie tajemnica. Nie mów mu, że pytałem.

Zobaczyłem, że marynarski worek sunie w naszym kierunku, lecz gdy wyciągnąłem po nią rękę, Hiram chwycił mnie za ramię.

- To moja praca, panie Thomas.

- Nie, naprawdę, w porządku. To ciężka torba.

- Dobrze mi płacą za to, co robię, panie Thomas. Niech mi pan pozwoli wykonywać moje obowiązki. - Stał przede mną i niezgrabnie dźwignął wór z pasa transmisyjnego.

- Mam tam łatwo tłukące się rzeczy - powiedziałem. - Wo-

lałbym sam ją ponieść.

- Nie - uciał krótko i zaczął odchodzić.

25-

- Stój! - wrzasnąłem, przyciągając wzrok innych pasażerów czekających na bagaż.

Hiram zatrzymał się, a ja podbiegłem do niego i szarpnięciem ściągnąłem mu torbę z ramienia.

- Włóżbym sam ją ponieść - powtórzyłem. Obwisłe powieki Hiram zmrużyły się. - Muszę skorzystać z łazienki - powiedziałem. - Zaraz wrócę.

Znalazłem toaletę i wcisnąłem się do ostatniej kabiny. Usiadłem na muszli, otworzyłem wór i od razu mogłem stwierdzić, że ją przetrząsnęto, gdyż moje ubrania były w nieładzie. Sięgnąłem głębiej i wyciągnąłem czarny futerał na broń, którą zgłosiłem przy odprawie.

Otworzyłem zamek i uchyliłem futerał, wyjąłem rewolwer i położyłem na ubraniach. Namacałem pudełko nabojów zakopane pod skarpetami, rozerwałem je i załadowałem do bębna pięć półpłaszczowych nabojów grzybkujących. Potem, z magnum wciśniętym za pasek od spodni i luźną, zieloną koszulką polo wypuszczoną na zewnątrz, odłożyłem pusty futerał oraz paczkę nabojów z powrotem do worka, zapiąłem go i wyszedłem z kabiny.

Trzej mężczyźni stali przy pisuarach. Minałem ich nerwowo.

„Jeżeli cię złapią, to oznacza więzienie”, myślałem, idąc przez ludzkie mrowie z powrotem w stronę Hiram. Broń wydawała się taka ciężka, jakby zaraz miała wypaść mi zza paska na podłogę.

Dotarliśmy do wyjścia z lotniska i Hiram wyprowadził mnie na zewnątrz do czarnej limuzyny. Pozwoliłem mu zapakować torbę do bagażnika. Następnie otworzył mi drzwi, ja zaś wsiadłem do środka, spodziewając się, że zastanę tam kogoś, kto na mnie czeka. Ale nikogo nie było - tylko nieskazitelne szare wnętrze limuzyny.

Kiedy Hiram usadowił się na siedzeniu kierowcy i uruchomił samochód, odwrócił się do mnie i powiedział:

26-

- Jeżeli to pana interesuje, jest minibarek i telewizor. Proszę mi dać znać, gdyby potrzebował pan czegoś jeszcze, panie Thomas.

Hiram wyjechał z parkingu i oddalił się od lotniska. Wyglądając przez mocno zaciemnione szyby, poza gładką powierzchnią asfaltu widziałem odległy brunatny pas gór na zachodzie. Miałem ochotę się w nich zatracić i uciec przed wszelkim piekłem, jakie na mnie czekało.

Rozdział 3

Godzinę później stałem i patrzyłem, jak czarna limuzyna Hiram zjeżdża po rampie i pędzi w dal między stanową, kierując się z powrotem w stronę Denver. Podniosłem torbę i przeniosłem ją w cień osiki w pobliżu biura Motelu 6. W palącym słońcu

wydawało się niemożliwe, żeby na szczytach gór połyskiwał śnieg. Po drugiej stronie międzystanowej, trzydzieści mil na zachód, pierwszy szereg Gór Skalistych wypełzał na równinę bez ostrzeżenia jako pogórze. Chociaż bezpośrednio nade mną niebo lśniło błękitem, to wokół najwyższych szczytów gromadziły się burzowe chmury. Daleko w górach rozjarzyła się błyskawica, ale w ogóle nie usłyszałem następującego po niej grzmotu.

Siedząc na chłodnej trawie, otworzyłem kopertę, którą zostawił mi Hiram. List znajdujący się w środku, identyczny w formie z poprzednim, sprawił, że żołądek podszedł mi do gardła, gdy czytałem czarny druk:

Powinieneś to czytać około czternastej w Motelu 6 przy 1-25 na północ od Denver. Wynajmij pokój i zapłać za niego gotówką, żebyś mógł się zameldować pod nazwiskiem Randy Snider. Bądź spakowany i gotowy do drogi jutro o szóstej rano.

28-

#

Pokój 112 znajdował się na parterze. Moje nerwy były w strzępach, sprawdziłem więc szafę, prysznic, a nawet przestrzeń pod łóżkiem - wszędzie, gdzie byłoby dosyć miejsca, żeby mógł się ukryć mężczyzna. Kiedy nabrałem pewności, że jestem sam, zaciągnąłem żaluzje i zamknąłem drzwi na klucz. Potem położyłem się na łóżku z bronią oraz książką i czytałem całe popołudnie.

#

Trochę po dwudziestej pierwszej niebo przeszło z granatu w czerń. Nie mogąc już dłużej utrzymać otwartych oczu, zauważyłem, że słowa na stronicach zaczynają się rozmywać. Zmęczenie mnie wykończyło, chociaż starałem się nie zasypiać. Seria burz przetaczała się od strony Parku Narodowego Gór Skalistych. Co parę sekund rozlegał się grzmot, a błyskawica przeświecała przez żaluzje.

Konając z głodu, wybiegłem na zewnątrz do automatów i kupiłem paczkę krakersów oraz dwie puszki gazowanego napoju. Zanim dotarłem z powrotem do drzwi, z nieba lunął rześisty deszcz, a wiatr miotał mi pyłem w oczy. Kiedy otworzyłem drzwi i minąłem próg, obejrzałem się na parking. Stały tam tylko trzy samochody, ledwie widoczne, gdy błyskawica rozpała niebo żółtawoniebieską eksplozją elektryczności.

Zatrzasnąłem drzwi i zamknąłem je na klucz. Alarmująco czerwone ostrzeżenia o burzach przesuwwały się u dołu ekranu telewizora. W ciągu paru minut wypilem napój i pożarłem krakersy, a gdy zaspokoilem głód, moje wyczerpanie sięgnęło zenitu. Pogasiłem światła, znułem tenisówki i wgramoliłem się do łóżka.

29-

Nic nie mogło powstrzymać moich oczu przed zamknięciem się, nawet świadomość, że on się zbliża.

Czułem się spętany pod nakryciem, położyłem się więc na

pościeli i umieściłem rewolwer na nocnym stoliku. „Prześpię się tylko godzinę”, obiecałem sobie. „Jedną godzinę, nie dłużej”.

#

Ogłuszający huk gromu wstrząsnął niebem - tak donośny, że zdawało się, iż burza szaleje wewnątrz pokoju. Otworzyłem oczy i zobaczyłem drzwi kołyszące się tam i z powrotem oraz błyskawicę uderzającą w górski szczyt. Zerknąłem na budzik - była trzecia piętnaście.

„Drzwi są otwarte”, pomyślałem i sięgnąłem po broń na nocnym stoliku, lecz tylko pogłaskałem gładką powierzchnię drewna. Pałący ból przeszył mi lewe ramię, gdy poderwałem się na łóżku. Kiedy spojrzałem na podłogę, wrzasnąłem. Czaiła się tam ciemna postać na czworakach.

Zaschło mi w ustach i nie byłem w stanie myśleć o niczym prócz ucieczki, lecz wcześniej postać znów mnie dziabnęła. Próbowałem zsunąć się z łóżka po drugiej stronie i przemieścić w stronę drzwi, ale nic się nie wydarzyło. Miałem wrażenie, jakby przywiązano mi głazy do rąk i nóg. Nie mogłem poruszać nawet palcami, opadłem więc z powrotem na łóżko, zagłębiając się głową w miękką poduszkę. Oczy zaczęły mi się zamykać, gdy ciemna postać podniosła się i przeszła w nogi łóżka. Przemówiła do mnie, ale słowa zlały się w jedno.

Błyskawica, czerń...

•

Ból i ciemność. Rytm międzystanowej pode mną. Stłumiona muzyka jazzowa...

30-

#

Otworzyłem oczy w kompletnej ciemności. Ręce miałem skute za plecami, stopy związane grubym sznurem, a wewnętrzności skręcało mi bolesne pragnienie. Spieczonymi, popękanymi wargami wydałem z siebie urwany okrzyk.

Pojawił się odwieczny księżyc, ogromny i żółty. Skryta w cieniu postać mężczyzny wyciągnęła rękę w moją stronę i poczułem ukłucie igły. Kiedy jęknąłem, powiedział:

- To wszystko niedługo się skończy.

Znowu ciemność...

#

Blask słońca zalał mi powieki. Leżąc na plecach, spocony, wyczuwałem pod sobą miękkość materaca oraz poduszki podpierającej mi głowę. Moje ręce i nogi nie były już skrępowane, naciągnąłem więc koc na oczy, żeby osłonić się przed promieniami słońca.

„Bądź spakowany i gotowy do drogi jutro o szóstej rano”.

Usiadłem i spojrzałem na budzik. Nie znajdowałem się w Motelu 6.

W niewielkim kwadratowym pokoiku łóżko przylegało do ściany w głębi, a jedyne okno, znajdujące się na wysokości łóżka, wpuszczało do pokoju jaskrawe słoneczne światło. Czarne żelazne kraty zagradzały okno; wiedziałem, że są tu z mojego

powodu. Chropowate ściany bez ozdób wzniesiono z bali czerwonych jak glina, każdy o średnicy stopy, podłoga zaś była z kamienia. Na pozostałe umeblowanie składały się nocny stolik, krzesło i chwiejące się biurko dopchnięte do przeciwległej ściany obok zamkniętych drzwi. Podeszedłem do okna i wyjrzałem przez kraty.

31-

Przede mną rozciągała się rozległa półpustynna okolica, płaska i pokryta jednolitą roślinnością. Żadnych linii energetycznych, żadnego bruku, żadnych śladów cywilizacji na zewnątrz tego maleńkiego pokoju. Poczulem się bezgranicznie samotny. Niebo było turkusowe i chociaż w pokoju było dość ciepło, to po intensywności słonecznego blasku oceniłem, że na zewnątrz panował prawdziwy skwar.

Odwrociwszy się od okna, zauważyłem kartkę papieru na biurku po drugiej stronie pokoju. Stałem na kamiennej podłodze, zimnej jak stal pomimo nieznośnego upału, po czym podniosłem kartkę z biurka.

Zanim się spotkamy, pozwól, że podkreślę daremność próby ucieczki, oszustwa lub unieszkodliwienia mnie. Jeżeli otworzysz środkową szufladę biurka, znajdziesz tam kopertę. Poświęć chwilę, żeby zajrzeć do środka.

Kiedy otworzyłem kopertę, jęknąłem: wewnątrz znajdowały się zdjęcia, na których sięgam do grobu Rity Jones, z grubsza naryskowana mapka mojej posiadłości nad jeziorem, zdradzająca miejsca pochowania czworga zamordowanych, oraz trzy strony drukiem zawierające szczegóły zabójstw i ujawniające, w której szafie w moim domu można znaleźć nóż do jarzyn. Był tam też wycinek z gazety dotyczący skazania mężczyzny, którego nazwisko (wraz z wszelkimi innymi kluczowymi informacjami) zostało zamazane. W poprzek nagłówek napisano: „Niewinny ponosi karę za moją zbrodnię”. Wróciłem do listu.

Wskazane są modlitwy za moje zdrowie i bezpieczeństwo, ponieważ istnieje jeszcze jedna koperta z planem pokazującym, gdzie faktycznie znajdują się zwłoki, oraz z informacją, gdzie naprawdę jest nóż.

32-

Za dwa miesiące ktoś dostarczy tę kopertę wydziałowi policji w Charlotte. Jeżeli nie będzie mnie tam, żeby powstrzymać tę osobę, to ty, Andrew Thomas, trafisz do więzienia. Ludzie byli skazywani przy słabszych dowodach niż te, jakie mam przeciwko tobie, a ja posłałem już dwie osoby do celi śmierci za swoje zbrodnie. (Podobał ci się wycinek z gazety?)

Ostatnia rzecz. Wiedz, że bezpieczeństwo twojej matki zależy od twojego zachowania tutaj. Na razie masz za sobą długą podróż. Odpoczywaj, ile zdołasz, a kiedy będziesz gotów dowiedzieć się, dlaczego cię tutaj sprowadziłem, zastukaj w drzwi.

Wróciłem do łóżka i opierając się o kratę na oknie, ponownie wyjrzałem na zewnątrz. Oczy napelniły mi się łzami, gdy spoglądałem na pustkowie. Poza niesionymi wiatrem biegaczami stepowymi rozsiewającymi nasiona nie dostrzegałem żadnego ruchu. To była pustynia, krajobraz pozbawiony życia. W innych okolicznościach mógłby sprzyjać kontemplacji, jednak w mojej obecnej sytuacji jedynie wzmagał złe przeczucia.

Otarłem oczy i wstałem z łóżka. Serce łomotało mi jak szalone, gdy podchodziłem do drzwi.

Rozdział 4

Pośrodku solidnych drewnianych drzwi widniał wycięty otwór o wysokości sześciu cali i szerokości jednej stopy. Ukłękłem i pchnąłem metalową płytę, lecz ona ani drgnęła. Ponownie wstałem i wziąłem głęboki wdech. Osłabiony i głodny, nie znałem sposobu, by się dowiedzieć, jak długo leżałem nieprzytomny w tym pokoju. Ramiona miałem obolałe i pokłute igłami.

Bojaźliwie zapukałem do drzwi, a następnie wycofałem się na łóżko. Wkrótce rozległ się odgłos zbliżających się kroków, cicho stuknęły o kamień na zewnątrz. Metalowa płyta podjechała do góry i dojrzałem drugi pokój: półki z książkami, stertę płyt, biały piecyk naftowy, stół...

W miejsce płyty opuszczono klapkę z folii bąbelkowej. Ktoś stał przed otworem, ale był tylko kształtem pozbawionym szczegółów, zamazany za płachtą z plastikowych pęcherzyków.

- Podejdź tu - odezwał się głos. Powoli przysunąłem się w kierunku drzwi. Kiedy znalazłem się o kilka stóp od nich, powiedział: - Stój. Odwróć się.

Obróciłem się i czekałem. Folia bąbelkowa zaszeleściła, założyłem więc, że ten ktoś podniósł ją i teraz taksował wzrokiem mój stan. Po chwili rozkazał:

- Podejdź do drzwi.

Szczelina została wycięta na wysokości pasa. Kiedy dotarłem do drzwi i przyklęknąłem, żeby wyjrzeć, powiedział:

34-

- Nie, nie, nie patrz na mnie. Usiądź plecami do drzwi.

Posłuchałem. Chociaż jego bliskość napawała mnie przerażeniem, stanowczo uspokajałem sam siebie, że przecież nie wywiózł mnie na pustynię tylko po to, żeby uśmiercić w pierwszych chwilach po odzyskaniu przeze mnie przytomności.

- Jak się czujesz? - zapytał; wyczułem szczerą troskę w jego tonie.

Wcale nie brzmiał jak mężczyzna w telefonie. W jego głosie dało się usłyszeć brzęczenie, jakby mężczyzna mówił przy użyciu jakiegoś urządzenia wzmacniającego. Chociaż ten głos wydawał się znajomy, nie potrafiłem go rozpoznać, nie ufałem własnej percepcji po spędzeniu nieznannej liczby godzin bez przytomności i pod wpływem narkotyków.

- Czuję się otepiały - odpowiedziałem tonem tak skromnym, jak to tylko możliwe. Nie chciałem go denerwować.

- To minie.

- To ty napisałeś te listy? Zabiłeś tę nauczycielkę?
- Tak i tak.
- Gdzie ja jestem?
- Wystarczy, jeśli powiem, że znajdujesz się na środku pustyni, a gdybyś uciekł, umarłbyś wyczerpany z pragnienia i upału, zanim dotarłbyś na skraj cywilizacji.
- Jak długo będę...
- Żadnych więcej pytań na temat twojej rzekomej niewoli. Nie powiem ci kiedy ani gdzie to jest.
- A co mi powiesz?
- Jesteś tutaj, żeby pobierać nauki. - Przerwał na chwilę.
- Gdybyś tylko wiedział... Istota twojego kształcenia stanie się manifestem, bądź więc cierpliwym.
- Czy mogę prosić o swoje rzeczy?
Westchnął; pierwsza oznaka frustracji kłębiącej się w jego oddechu.

35-

- O tym pomówimy później. - Po chwili jego głos złagodniał, porzucając ostry ton. - Udawaj, że jesteś małym dzieckiem, Andrew. Małym, bezradnym dzieckiem. Właśnie teraz w swoim pokoju przebywałeś w łonie. Nie pojmujesz, jak posługiwać się zmysłami, jak myśleć, jak rozumować. We wszystkim polegaj na mnie. Zamierzam cię nauczyć, jak na nowo postrzegać świat. Najpierw nakarmię twój umysł. Utucz go na najznakomitszych myślicielach w dziejach ludzkości. - Biała dłoń przepchnęła przez folię książkę i upuściła ją na podłogę.
- Twój pierwszy posiłek - oznajmił, gdy podniosłem tom Księcia w twardej oprawie. - Machiavelli. Ten człowiek to geniusz. Bez dwóch zdań. Czy jest ci znany Hannibal, generał z Kartaginy, który najechał Rzym? Przeprowadził swoich ludzi na drugą stronę Alp razem z armią słońi bojowych.
- Wiem, kto to był.
- Cóż, przeprowadził swoje wojsko przez całe wybrzeże Morza Śródziemnego i środkową Europę, ale tym, co czyniło armię Hannibala wyjątkową, był fakt, że wśród jego żołnierzy nie istniały waśnie. Różne narodowości, wierzenia, języki i żadnych niesnasek w szeregach. Czy wiesz, skąd się brała ta zgoda? - zapytał. - Mówiąc słowami Machiavellego, „z tej jego nieludzkiej srogości, która w połączeniu z niezliczonymi zaletaniami czyniła go zawsze w oczach żołnierzy godnym szacunku i strasznym, a bez niej inne jego cnoty nie zdołałyby wywołać tego skutku”.*
Milczał przez chwilę, a ja mogłem usłyszeć jedynie suchy, palący wiatr napierający na tafle szkła oraz przyśpieszony oddech mojego ciemnościelca.
- „Nieludzka srogość” - powtórzył. - Aż mnie ciarki przechodzą. - Jego głos przybrał roznamiętniony ton, jakby mówił "tłum. Czesław Nanke

36-

do kochanki. - A więc - powiedział - zacznij to czytać dziś wie-

czorem, a jutro o tym porozmawiamy. Jesteś głodny?

- Tak, umieram z głodu.

- Dobrze. Teraz przygotowuję obiad, może więc zaczniesz czytać tę książkę. Mam nadzieję, że masz apetyt na pieczone krewetki z wermiszalem. - Zerwał folię bąbelkową i ponownie nasunął na szczelinę metalową płytę. Pochyliłem głowę z ulgi, że sobie poszedł. Siedziałem bez ruchu w białym szlafroku, bezmyślnie gapiąc się w podłogę.

#

Mała lampka, przykręcona do ściany, rzucała na stronicę słabe, ledwo wystarczające światło. Ponieważ nie oddał mi jeszcze mojego marynarskiego worka, więc nie mogłem się wesprzeć okularami, a oczy mnie zawodziły.

Upuściłem Księcia na podłogę, doczytawszy ledwie do połowy. Miałem nadzieję, że tyle mu wystarczy. Kiedy podniosłem rękę i zgasilem lampkę, łagodne światło księżycy w pełni, delikatne i kojące, wlało się przez kraty. Bałbym się spędzić pierwszą noc po odzyskaniu przytomności w całkowitej ciemności księżycy w nowiu.

W pokoju zrobiło się nie do wytrzymania. Chociaż po całym dniu nagrzewania przez słońce, wraz z raptownym nastaniem nocy, upał z pustyni rozproszył się, to wciąż trwał w moim pokoju. O zachodzie słońca otworzyłem okno, więc teraz suchy chłód pustynnej nocy wnikał do pomieszczenia, zmuszając mnie do zakopania się pod włochatymi kocami.

Zamknawszy oczy, nasłuchiwałem. Przez otwarte okno dochodziły skrzeczenia sowy, a kojoty lub zdziczałe psy ujadły do księżycy, chociaż wydawało się, że są bardzo daleko stąd. Od obiadu nie słyszałem żadnego odgłosu świadczącego o obecności oprawcy. Żadnych kroków, żadnego sapania, nic.

37-

Przez ostatnią godzinę chatę wypełniała muzyka jazzowa.

Z początku brzmiała cicho, wkradając się niczym szept, słyszałem więc tylko gardłowe dudnienie kontrabas. Głośność narastała, aż do pokoju przeniknął rytm talerza i nieregularny brzęk brekmaszyny. Kiedy fortepian, trąbka i saksofony wdarły się przez ścianę, nagle rozpoznałem piosenkę, która zabrała mnie dwadzieścia lat wstecz - w inne czasy, do innego życia. To Miles Davis, John Coltrane, Julian „Cannonball” Adderley, Paul Chambers, Bill Evans i Jimmy Cobb grali AU Blues - nastrojowy bluesowy kawałek na sześć ósmych z albumu Kind of Blue z 1959 roku.

Przeraźliwy krzyk przebił się przez dźwięki muzyki. Usiadłem i nasłuchiwałem.

Kolejny krzyk rozdarł noc. Uchwyciwszy się żelaznych krat, skierowałem wzrok na pustynię, ale nie dostrzegłem niczego prócz rozległych mil porośniętych bylicą i oświetlonych księżycowym światłem. I znowu krzyk - kobiecy głos, bliżej niż przedtem.

Pięćdziesiąt stóp ode mnie jakaś postać chwiejnie brnęła

przez pustynię, chyba z trudem łapiąc oddech. Kiedy dotarła do połowy obszaru widocznego z okna, druga, większa sylwetka pojawiła się po lewej. Rzuciła się na mniejszą postać i zwała ją na ziemię pod komosowatym krzewem.

Usłyszałem kobiecy głos, płacz, bardziej piskliwe wrzaski, błagania, ale docierające do moich uszu słowa nie dawały się zrozumieć. Większa postać kopała coś leżącego na ziemi. Później uklękła, napierając.

Kolejne wrzaski, najgłośniejsze, najbardziej przeszywające.

I cisza.

Teraz duża postać stała samotnie, wpatrując się w ziemię.

Miarowym krokiem wróciła znowu tam, skąd przyszła, wlokąc za długie czarne włosy osobę, którą ścigała po pustyni. Usłyszałem 38-

odgłos kroków oraz hałas wydawany przez istotę ciągniętą po ziemi. Nogi kobiety wciąż drgały.

Raptem postać odwróciła się i spojrzała w moją stronę.

Światło księżyca, niebieskawe i nierealne, spłynęło na twarz nieznanego.

Zamarłem. Mój brat, Orson, stał na pustyni, uśmiechając się.

Rozdział 5

Duszny purpurowy świt rozlewał się po pustyni, kładąc kres okropnej bezsennej nocy. Uświadomiłem sobie, że od tej pory, ilekroć zamknę oczy, już zawsze będę widział mężczyznę na pustkowiu oświetlonym światłem księżyca, wlokącego za włosy kobietę.

Na dźwięk zbliżających się kroków usiadłem na łóżku. Zasuwę poruszyła się i drzwi stanęły otworem, ukazując mężczyznę takiego jak ja: ta sama szczupła, muskularna sylwetka, te same intensywnie niebieskie oczy. Podobna, lecz nie identyczna twarz wyglądała jak idealna wersja mojej własnej, atrakcyjniejsza w swojej nadzwyczajnej harmonii. Stał w progu z szerokim uśmiechem. W przeciwieństwie do moich rozczochranych szpakowatych włosów jego krótka żołnierska fryzura lśniła doskonałym brązem. Prócz czarnych butów z wężowej skóry i spłowiałych niebieskich dzinsów miał na sobie zakrwawiony biały T-shirt ze śladami potu ciągnącymi się od pach w dół. Przeleciało mi przez myśl pytanie, dlaczego spociał się tak obficie, zanim jeszcze wstało słońce. Jego ramiona były silniejsze niż moje. Opierając się o framugę drzwi, energicznie odgryzł kęs dużego czerwonego jabłka.

Nie byłem w stanie nic powiedzieć. To było nie jak ujrzenie ducha kochanej osoby, ale demona. Łzy piekły mnie pod 40-

powiekami. „To się nie dzieje naprawdę. Ten straszny człowiek to nie może być mój brat”.

- Tak bardzo się za tobą stęskniłem - odezwał się Orson, wciąż stojąc w progu.

W odpowiedzi mogłem tylko wpatrywać się w jego niebieskie oczy.

Orson zniknął z Appalachian State University w trakcie naszego pierwszego roku studiów. Ostatni jego obraz, jaki zachowałem, przedstawiał go, gdy stał w progu naszego pokoju w akademiku. „Nie zobaczysz mnie przez jakiś czas”, powiedział wtedy. i rzeczywiście, nie widziałem go od tamtego dnia aż do dziś. Policja dała za wygraną. On po prostu zniknął. Matka i ja wynajmowaliśmy detektywów - i nic. Obawialiśmy się, że nie żyje.

Teraz przepraszał.

- Nie kazałbym ci tego oglądać ostatniej nocy. Skutki użycia starego sznura, jak sądzę. - Zauważyłem świeże zadrapania na jego szyi i twarzy. Drobiniki błyszczącej substancji połyskiwały mu na policzkach, a ja zastanawiałem się, czy przeniosły się z paznokci kobiety, kiedy walczyła. - Chcesz śniadanie? - zapytał. - Kawa się parzy.

Zatrząsałem się z odrazą.

- Kpisz sobie?

- Chciałem cię tu przetrzymać przez kilka dni, zanim cię wyprowadzę i się ujawnię, ale po ostatniej nocy... Cóż, to już naprawdę nie ma sensu, nie?

Pot spływał po moim ciele.

Wgryzając się znowu w jabłko, Orson zaczął iść krótkim korytarzem.

- Chodź - powiedział.

Zsunąłem się z łóżka i wyszedłem za nim z pokoju, kierując się w stronę wyjścia z chaty. Nogi miałem jak z galarety, tak jakby mogły w każdej chwili rozpuścić się w kałużę na podłodze.

41-

- Usiądź. - Wskazał czarną skórzaną sofę przy ścianie po lewej.

Gdy wszedłem do salonu, obejrzałem się za siebie. Na końcu wąskiego korytarza dwa pokoje, jeden tuż przy drugim, stanowiły główną część chaty - mój po lewej, po prawej zaś drzwi bez zasuw czy metalowej płyty pośrodku. Mały obraz Moneta, przedstawiający łódkę mknącą pod kamiennym mostem, wisiał na drewnianej ścianie między dwójgiem drzwi.

Ściany salonu od podłogi po sufit zakrywały książki. Stały na rustykalnych półkach wystających z bali. Zdumiała mnie różnorodność tytułów. Na skraju jednej z półek rozpoznałem kolorowe okładki pięciu książek, które napisałem.

Mój brat przeszedł na drugą stronę pokoju, zaadaptowaną na małą kuchnię. Na taborecie obok frontowych drzwi stał adapter, obok niego zaś piętrzył się stos płyt wysoki na trzy stopy. Orson spojrzął na mnie i uśmiechając się, ustawił igłę na płycie. Freddie Freeloader popłynął z dwóch wielkich głośników, a ja opadłem na sofę.

W trakcie piosenki Orson zajął miejsce na drugim krańcu kanapy. Sposób, w jaki się we mnie wpatrywał, wytrącał mnie z równowagi. Chciałem odzyskać swoje okulary.

- Czy myślisz, że teraz już mogę dostać swoje rzeczy?

- Och, masz na myśli to? - Niedbałym gestem wyciągnął swój rewolwer z kieszeni dżinsów. - Czyja ci mówiłem, żebyś zabrał magnum? - W jego głosie zabrzmiał gniewny sarkazm, a zimne oczy rozszerzyły się i przepalały mnie na wskroś.

- Przepraszam - odparłem, niepewnie wierząc się na kanapie. Zaszło mi w ustach. - A czy ty nie postąpiłbyś tak samo? To znaczy, ja nie wiedziałem...

- Próba stawiania mnie w twojej sytuacji nie pomoże.

- Podeszedł do adaptera i podniósł igłę. Gdy w chacie zapadła kompletna cisza, przeszedł na środek salonu. - Skrewiłeś sprawę, Andy. Powiedziałem ci, żebyś zabrał tylko ubrania i przybory do 42-

mycia, a ty przywiozłeś broń i pudełko naboju. - Mówił, jakby nigdy nic, jakbyśmy siedzieli sobie na werandzie, popalając cygara. - Kiedy nie przestrzegasz moich instrukcji, to rani nas obu, a jedyne, co mi przychodzi do głowy, to pokazać ci, że nieprzestrzeganie ich nie leży w twoim interesie. - Otworzył bębenek rewolweru i ukazał mi pięć pustych komór. - Skrewiłeś raz, załaduję więc jedną kulę. - Wyjął nabój z kieszeni i wsunął go do komory.

Zrobiło mi się słabo ze strachu.

- Orson, nie możesz.

- Andy, Andy, Andy. Nigdy nie mów facetowi z naładowaną bronią, co ma robić. - Okręcił bębenek, wsunął go na powrót do rewolweru i odciągnął kurek. - Pozwól, że ci wyjaśnię, jaka to kara także dla mnie, ponieważ nie chcę, żebyś pomyślał, iż robię to tylko dla zabawy. Zadałem sobie mnóstwo trudu, żeby cię tutaj sprowadzić, i jeżeli nagle zabraknie ci szczęścia... a istnieje dwadzieścia procent szans, że ta kula odstrzeli ci tyłek... to okaże się, że wykonałem masę roboty na próżno. Ale jestem gotów zaryzykować, żeby dać ci lekcję na temat wypełniania moich instrukcji. Kiedy wycelowiał broń w moją pierś, bezsensownie podniosłem ręce do góry. Nacisnął spust - klik - i ugryzł jabłko. Ledwie mogłem oddychać, a kiedy ukryłem twarz w dłoniach, Orson znowu włączył adapter. Muzyka ryknęła na nowo, a on pstrykał palcami do rytmu i uśmiechał się przyjaźnie, gdy wrócił na kanapę. Kiedy usunął nabój z komory, położył broń na podłodze i opadł na siedzenie obok mnie. Fala mdłości napłynęła mi do ust i myślałem, że zwymiotuję.

„Ależ wdepnąłem, jemu kompletnie odbiło. Zginę. Jestem sam na odludziu z psychopata, który jest moim bratem. Moim cholernym bratem”.

- Andy, teraz możesz swobodnie chodzić po domu i okolicy. Szopa na zewnątrz jest niedostępna i zamierzam zamykać twoje drzwi każdej nocy, kiedy już wrócisz do łóżka. Możesz przestać 43-

sikać do miski. Prysznic jest przy studni obok wychodka. Woda tylko zimna, ale przywykniesz. Prąd pochodzi z nowego generatora za domem, ale byłem zbyt zajęty, żeby założyć kanalizację.

- Czy mogę od razu skorzystać z wychodka? - spytałem, le-

dwo wydobywając z siebie głos.

- Pewnie. Zawsze dawaj mi znać, kiedy wychodzisz. Żebym nigdy nie musiał cię szukać.

Nadal dygocząc, przeszedłem przez pokój i otworzyłem drzwi wprost na spieczone słońcem rdzawe pustkowie. Zadrzałem, ciąsniej opatulając się białym szlafrokiem, który nosiłem już drugi dzień. Kiedy wyciągnąłem rękę za siebie, żeby zamknąć drzwi, Orson stał w progu.

- Tęskniłem za tobą - powiedział.

Spojrzałem na niego. Przez moment znów był wrażliwą osobą, całkiem jak brat, którego kochałem, gdy byliśmy mali. Jego oczy o coś błagały, ale nie byłem w stanie zastanawiać się, czego mogą pragnąć.

- Kim ona była? - spytałem.

Doskonale wiedział, kogo miałem na myśli, lecz nie odpowiedział. Patrzyliśmy tylko jeden na drugiego i odrodziło się zarzewie więzi, która ostygła niemal na śmierć. Pozostała więc między nami jakaś iskra.

Nie zamierzałem czekać, aż zamknie drzwi; odwróciłem się, żeby ruszyć po schłodzonej ziemi.

- Andy - odezwał się, a ja zatrzymałem się na schodach, lecz się nie obejrzałem. - To tylko kelnerka.

Rozdział 6

Stałem na podupadającym ganku od frontu, w cieniu blaszanego zadaszania wspartego na przegniłych słupach. Silny, jednostajny podmuch wiał od strony pustyni, przynosząc słodką i pikantną woń bylicy, spieczonej ziemi i nieznanymi mi kwiatów.

Cztery rozchwiane bujane fotele, po dwa z każdej strony drzwi, kołysały się ledwie niedostrzegalnie. Ja jednak usiadłem na stopniach i wbiłem bosc stopy w ocienioną ziemię, wciąż chłodną tam, gdzie umknęła promieniom słońca. Moje spojrzenie błędziło po północnej części horyzontu, masie wzniesień i gór odległych o co najmniej trzydzieści mil, nie było więc widać szczegółów na zboczach. Widziałem tylko ciemną zieleń w niższych partiach, zaznaczającą wiecznie zielone lasy, dalej potrzaskany szary kamień, a jeszcze wyżej podobne do chmur połacie lodu, który nigdy nie topnieje.

Sześćdziesiąt jardów na lewo od ganku stała wielka szopa.

Wyglądała na skleconą naprędce i nową; jej blaszany dach i gładkie deski z jasnej sosny lśniły w zachodzącym słońcu. Łańcuch jak wąż oplatał zasuwę łączącą podwójne drzwi. Ślady opon prowadziły prosto do szopy.

Jakąś milę dalej teren wznosił się na wysokość kilkuset stóp pasmem rdzawych urwisk, ciągnących się na południe i znów opadających łagodnie ku pustyni. Rząd mizernych jałowców

45-
porastał wierzchołek, a ich poszarpane sylwetki czerniały na tle nieba.

Od świtu próbowałem czytać Machiavellego, siedząc w swo-

im pokoju. Rozpalony i niezdolny skupić się na czymkolwiek innym oprócz myśli, jak mógłbym stąd uciec, wyszedłem teraz na zewnątrz, szukając ochłody w podmuchach. Jednak nawet na wietrze pot zalewał mi oczy, oblepiając skórę i włosy. Z chaty usłyszałem kolejną jazzową płytę - utwór brzmiący niesamowicie na tym odludnym pustkowiu, muzykę tak bogatą, oddziałującą na myśli ludzi w zatłoczonych nowojorskich klubach, ściśniętych w małych pomieszczeniach. Zazwyczaj nie cierpię tłumów i ścisku, ale teraz klaustrofobiczne zamknięcie w hałaśliwym nocnym klubie wydawało się luksusem.

Siedziałem na stopniach prawie przez godzinę, obserwując, jak pustynia staje się szkarłatna pod dotykiem słońca. W głowie miałem pustkę i tak dalece oddałem się bezmyślności, że aż podskoczyłem, gdy skrzypnęły za mną otwierające się frontowe drzwi. Buty Orsona głucho zadudniły na deskach.

- Zjadłbyś coś niedługo? - spytał. Dźwięk jego chropawego głosu sprawił, że żołądek podszedł mi do gardła. Nie potrafiłem się pogodzić z tym, że znowu jesteśmy razem. Jego obecność nadal mnie przerażała.

-Tak.

- Pomyślałem, że usmażę na grillu parę steków - powiedział, a ja byłem pewien, że się uśmiecha, licząc na to, iż będę pod wrażeniem. Zastanawiałem się, czy stara się wynagrodzić mi to, że omal mnie nie zabił. Gdy byliśmy dziećmi, to ilekroć się kłóciliśmy, zawsze usiłował mnie udobruchać podarkami, pochlebstwem lub -jak w tym przypadku -jedzeniem.

- Chcesz drinka?

„Boże, pewnie, że tak”.

Odwrociłem się i spojrzałem na niego.

- Jeżeli masz, to Jack Daniel's byłby świetny.

46-

Wszedł do środka i za moment wrócił z nieotwieraną jeszcze butelką zbawiennej whisky z Tennessee. To była najlepsza chwila tego dnia, coś jakby mały okruch domu, więc serce we mnie urosło. Zerwawszy czarną osłonkę, pociągnąłem długi łyk, zamykając oczy, gdy dębowy ogień palił mi gardło. W tej sekundzie, kiedy whisky przepalała mój pusty żołądek, mógłbym się znajdować na moim tarasie, w pojedynkę upijając się otoczony przepychem Karoliny o zachodzie słońca.

Podsunałem butelkę Orsonowi, ale odmówił. Przeszedł za róg chaty i przyciągnął za sobą grill. Po rozpaleniu węgla wszedł do domu i zaraz wrócił, niosąc talerz z dwoma nedorzecznie grubymi czerwonymi befsztykami z wołowej połówicy, oproszonymi solą i pieprzem.

Przechodząc obok mnie, przytrzymał przede mną talerz i powiedział:

- Polej mięsa odrobiną whisky.

Zmoczyłem płaty połówicy ciepłym trunkiem, a Orson wrzucił je na grilla, gdzie na parę sekund stanęły w ogniu. Podszedł i usiadł obok mnie, a gdy whisky zaczęła zamazywać mi

obraz świata, wsłuchiwałam się w skwierczenie steków i obserwowałam czerwieniejący zachód słońca jak starzy przyjaciele. Kiedy steki się upiekły, zabraliśmy talerze na ganek od frontu, na którym z boku stał chybotały stół. Orson zapalił dwie świece srebrną zapalniczką marki Zippo i w milczeniu jedliśmy obiad. Siedząc naprzeciwko niego, nie mogłam się powstrzymać od myśli: „Nie jesteś tym potworem, którego zobaczyłem zeszłej nocy na pustyni. To dlatego siedzę tu, nie trzęsąc się ani nie szlochając, ponieważ w jakiś sposób wiem, że to nie możesz być ty. Jesteś po prostu Orsonem. Moim bratem. Moim niebieskookim bliźniakiem. Postrzegam cię jako chłopca, uroczego, niewinnego chłopca. Nie to coś z pustkowia. Nie tego demona”.
Gdy ostatnie słabe promienie słońca schowały się za purpurowym horyzontem, ogarnęło mnie niedobre przeczucie. Obecność
47-

światła dawała mi wrażenie panowania nad sytuacją, ale teraz, w ciemności, znowu poczułam się bezbronny. Z tej właśnie przyczyny nie tknąłem więcej whisky po pierwszym oszołomieniu, obawiając się, że upicie się tutaj może być niebezpieczne. Milczenie przy stole także działało mi na nerwy. Siedzieliśmy bez słowa przez dwadzieścia minut, ja jednak nie kwapiłem się do rozmowy. Co miałbym mu powiedzieć?

Orson wcześniej wpatrywał się w talerz, ale teraz utkwił spojrzenie we mnie. Odchrząknął.

- Andy - zagadnął. - Czy pamiętasz pana Hamby'ego?

Nie potrafiłem się pohamować. Uśmiech pojawił się na moich wargach po raz pierwszy od wielu dni.

- Chcesz, żebym ci to opowiedział, jakbyś nigdy wcześniej tego nie słyszał? - zapytał Orson.

Kiedy skinąłem głową, pochylił się do przodu na krześle, uradowany, z oczami jak spodki. Urodzony gawędziarz.

- Kiedy byliśmy mali, kilka razy do roku jeździliśmy na wieś na północ od Winston-Salem, żeby pobyć u babci. Dziadek nie żył, a ona lubiła towarzystwo. Ile mieliśmy lat, kiedy to się wydarzyło? Może dziewięć? Powiedzmy, że dziewięć...

„Wydajesz się Orsonem i choć wiem, że to nie potrwa wiecznie, to, Chryste, w tej chwili naprawdę wydajesz się moim bratem”.

- Dom babci stał w pobliżu tego jabłoniowego sadu. Sadu Joe Hamby'ego. On był wdowcem, mieszkał sam. Była wczesna jesień, szkoły więc i grupy z kościoła przyjeżdżały na cały dzień do sadu Hamby'ego, żeby zbierać jabłka i dynie, kupować cydr i pojeździć na wozie z sianem. Cóż, ponieważ ten sad przylegał gospodarzowi do granicy posiadłości babci, nie mogliśmy się oprzeć, żeby się tam nie zakradać. Kradliśmy gospodarzowi jabłka, wspinaliśmy się na traktory, bawiliśmy się w stertach siana, które przechowywał w stodołach. Ale Hamby to był prawdziwy drań, jeśli chodzi o intruzów, musieliśmy więc chodzić tam w nocy. Czekaliśmy, aż babcia położy się spać, i wymykaliśmy
48-

się z tego jej skrzypiącego wiejskiego domu. No więc tamtej

pamiętnej październikowej nocy wymykamy się na dwór około dwudziestej pierwszej i przeskakujemy przez płot do sadu. Pamiętam, że księżyc był w pełni i jeszcze nie było zimno, ale świerszcze i żaby drzewne już poznikały, noc więc była bardzo spokojna i cicha. Zbliżał się szczyt zbiorów. Niektóre jabłka skwaśniały, ale większość była doskonała, a my szliśmy przez sad, zjadając te dojrzałe, wygrzane na słońcu śliczności i bawiąc się w najlepsze. Do Hamby'ego należało dwieście akrów, a w najdalszym zakątku jego posiadłości znajdował się zagon z dyniami, o którym słyszeliśmy, ale nigdy nie mieliśmy odwagi tam pójść. Cóż, to była jedna z tych nocy, kiedy czuliśmy się niepokonani. No więc idziemy na skraj sadu i widzimy tam te wielkie pomarańczowe dynie w świetle księżyca. Pamiętasz, Hamby zdobył kilka błękitnych wstęg na targach stanowych za swoje dynie. Hodował takie monstrualne stufuntowe wybryki natury. Widzimy jego dom daleko na końcu polnej drogi. Wszystkie światła są pogaszone, ścigamy się więc aż do zagonu z dyniami, wypatrując któregoś z tych stufuntowców. W końcu padamy pośrodku zagonu, roześmiani i zadyszani. Orson uśmiechnął się. Ja zrobiłem to samo. Wiedzieliśmy, co teraz nastąpi.

- Nagle, zaledwie kilka jardów od nas, słyszymy głośnie stękanie: „KOCHAM moją pomarańczową cipkę!”.

Parsknąłem rubasznym śmiechem, czując, jak whisky pali mnie w zatokach.

- Wystraszył nas na śmierć - mówił dalej Orson. - Odwracamy się i widzimy, że pan Hamby ułożył się na takiej olbrzymiej dyni, wielkiej jak żółw z wysp Galapagos. Spodnie od kombinezonu ma opuszczone aż do kostek i, kurczę, posuwa to coś przy świetle księżyca. Grzeje w to, jakby to był goły tyłek, aż się kurczy, i tylko co jakiś czas przerywa, żeby gołnąć sobie z dzbanka z tą swoją brzaskwiniową brandy. Oczywiście, byliśmy

49-

zawstydzeni i nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jest pijany jak bela. Myśleliśmy, że nas zobaczy i będzie nas gonił, jeśli spróbujemy pobiec do domu. Leżeliśmy więc na ziemi i czekaliśmy, aż skończy i sobie pójdzie. Cóż, w końcu on kończy... z tą dynią, podciąga spodnie i szuka następnej. Kolejna jest mniejsza, a on drąży w niej dziurę świdrem, pada na kolana i zaczyna ją ujeżdżać. Patrzyliśmy, jak wydymał pięć dyń, zanim pijany padł jak trup. Wtedy pobiegliśmy przez sad w kierunku domu babci i było nam niedobrze od jabłek, i...

„Widzę nas w tamtą rześką jesienną noc tak samo wyraźnie, jak widzę nas siedzących tu teraz, gdy wspinaliśmy się z powrotem na drewniany płot, obaj ubrani w kombinezony i podobne golfy z długim rękawem. Wtedy chcieliśmy być identyczni. Mówiliśmy wszystkim, że tacy jesteśmy, i tak też wyglądaliśmy. Czy ta więc jest jeszcze żywa?”

Gdy skończył, miałem łzy w oczach. Dźwięk naszego śmiechu poruszył mnie; pozwoliłem sobie swobodnie spojrzeć w twarz

Orsona, szukając tego, co kryło się głęboko w jego oczach. Ale ślady po zadrapaniach paznokciami na jego policzku na nowo przywołały w mojej głowie upiorny wrzask tamtej kobiety i utraciłem radość chwili oraz swobodę, którą zachowywałem w obecności brata przez ostatnie pół godziny. Orson zauważył zmianę i jego spojrzenie przeniosło się ze mnie na czarne pustkowie dokoła nas.

Podmuch wiatru zagasił świece, pozostawiając nas w ciemności. Na zachodzie ukazało się ostatnie wspomnienie purpury na tle horyzontu, ale ściemniało w chwili, gdy tylko je ujrzałem. Niebo wypełniło się gwiazdami - było ich o miliony więcej niż na zanieczyszczonym niebie na wschodzie kraju. Nawet w najbardziej przejrzyste noce nad jeziorem Norman gwiazdy wydawały się rozmyte, jakby przysłonięte prześwitującym szynofonem. Tutaj błyszczały nad pustynią niczym małe księżycy, a wiele z nich tworzyło pasy na tle nieba.

50-

- Zimno mi - powiedziałem, rozmasowując ramiona, teraz pokryte gęsią skórą.

Ledwie widziałem Orsona; tylko jego sylwetka była widoczna po drugiej stronie stołu.

Wstał.

- Jeżeli musisz skorzystać z wychodka, zrób to teraz. Za piętnaście minut zamykam cię w pokoju.

- Dlaczego?

Nie odpowiedział. Zaniósł talerze i okulary do chaty, a ja siedziałem jeszcze przez chwilę po jego odejściu, wzrokiem szukając na niebie meteorów. Przetarłem oczy i podniosłem się. Ulży mi, gdy znajdę się sam w swoim pokoju, nie mając do roboty nic prócz czytania i spania. Brzęk talerzy w zlewie poderwał mnie i boso pobiegłem po nagrzanej ziemi do wychodka.

Rozdział 7

Dni na pustkowiu wlokły się powoli. Słońce nie traciło ani chwili, zalewając ziemię zarem, każdego ranka więc po dziesiątej wyjście na zewnątrz stawało się ryzykownym przedsięwzięciem. Upał był suchy i duszący, pozostawałem więc w zacienionym i chłodniejszym więzieniu swojego pokoju albo, gdy nie byłem w nim zamknięty, odpoczywałem w chacie.

Nie mogłem się uskarżać na jedzenie. Właściwie to nigdy nie jadałem lepiej. Orson trzymał w zamrażarce mnóstwo porcji wyborczego mięsiwa i co dzień przygotowywał trzy znakomite posiłki. Jedliśmy steki, łososia, cielęcinę, a raz nawet homara i butelkami pijaliśmy wino do każdej kolacji. Spytałem go, dlaczego jada jak król, a on odpowiedział:

- Ponieważ mam takie prawo, Andy. Obaj mamy.

Gdy kończyłem jedną książkę, Orson już miał dla mnie kolejną. Po Machiavellim był to Seneka, a następnie wywody Demokryta o unikaniu smutku. Chociaż czytałem codziennie jedną książkę, Orson nieustannie naciskał, żebym czytał prędzej. Co, według niego, miałem wynieść z tych klasycznych tekstów,

tego nie potrafiłem się nawet domyślić, on zaś nie zdradzał. Obsesyjnie rozmyślałem o możliwościach ucieczki. Choć miałem po temu okazję, to zwyczajnie pójście sobie stąd nie wchodziło w grę. Nie miałem ani siły, ani zapasów na wędrowanie po pustyni, nawet pomijając fakt, że nie wiedziałem, dokąd 52-

się kierować. Przypuszczałem jednak, że środek transportu Orsona jest zamknięty w szopie. Postanowiłem zatem wyczekiwać stosownej chwili, ułożyć plan oraz nabrać odwagi i siły woli do pokonania brata. Nie będę porywczy. Tylko rozsądne decyzje i działanie bez pomyłek zachowają mnie przy życiu.

Uspokajało mnie prowadzenie dziennika. Kilka godzin po zmierzchu, gdy kończyłem czytanie, a Orson zamykał mnie na noc, siadywałem w łóżku i zapisywałem wydarzenia dnia. Pisałem przez godzinę, często dłużej, czasem snując dygresje na temat domu i jeziora. Układałem zawiłe opisy swojej posiadłości, przywołując na tej bezludnej pustyni letnie zapachy i odgłosy jeziora. Bez dwóch zdań, te chwile stały się moją ulubioną porą dnia i uważałem je za swoją tymczasową oazę. Tylko o tym potrafiłem myśleć w ciągu dnia - po to żyłem. I niejedną raz, zanim odłożyłem papier i pióro do szuflady oraz zgasilem światło, zdawało mi się, że słyszę plusk wody oblewającej brzegi jeziora i podmuch wiatru poruszający drzewa.

Jeżeli chodzi o datę, wiedziałem tylko, że zbliża się koniec maja. Ponieważ podczas uprowadzenia byłem odurzony, nie mogłem mieć pewności, którego dnia odzyskałem przytomność na pustkowiu. Mogło upłynąć kilka dni między tamtą burzliwą nocą w motelu a moim ocknięciem się w chacie. Oznaczałem więc swoje wpisy w dzienniku jako „Dzień 1”, „Dzień 2”, „Dzień 3” i tak dalej, rozpoczynając od pierwszego dnia, gdy byłem przytomny. Nie potrafiłem zrozumieć, co skłaniało Orsona, żeby datę trzymać przede mną w tajemnicy. Wydawało się, że w mojej obecnej sytuacji to nieistotny, bezużyteczny fakt, a jednak niepokoiła mnie ta niewiedza.

Nie miałem błędnego pojęcia o usytuowaniu chaty. To mogło być gdziekolwiek na zachód od Wielkich Równin. Naszkicowałem ołówkiem widoki z ganku od frontu oraz z okna mojej zakratowanej sypialni, w tym pasmo górskie na północy i wschodzie oraz szereg czerwonych urwisk na zachodzie. Rysowałem 53-

też roślinność: bylicę, biegacze stepowe, komosowate krzewy, lubiny i kilka innych pustynnych kwiatów, na jakie natknąłem się w trakcie przedwieczornych spacerów.

W niektóre noce tuż po zachodzie słońca, kiedy na niebie utrzymywał się jeszcze słaby rumieniec czerwieni, widywałem stada antylop i jeleni mulaków przemierzające pustkowie. Widok ich sylwetek na horyzoncie sprawiał mi ból, ponieważ wędrując, powoli znikwały mi z oczu, a ja zazdrościłem im wolności. Zapisywałem w dzienniku także takie obserwacje, jak widok zajęcy i długoogoniastych szczuroskoczków. Choć nigdy żadnej nie

widziałem, to skrzekliwy pisk sów płomykówek nieustannie rozbrzmiewał w nocy, a urubu różowogłowe często pojawiały się na niebie w upale dnia. Miałem nadzieję, że dzięki notowanym spostrzeżeniom pewnego dnia zdołam ponownie zlokalizować to pustkowie. Chociaż, prawdę mówiąc, w żaden sposób nie mogłem przewidzieć, czy w ogóle kiedykolwiek będzie mi dane się stąd wydostać.

#

Leżałem w łóżku, nie śpiąc. Skończyłem wpis w dzienniku, było późno. Orson wyłączył na noc generator, w chacie więc panowała cisza. Na zewnątrz, w ciemności, tylko wiatr naruszał spokój. Wyczuwałem, jak przeciska się przez szczeliny między balami, dmuchając bez ustanku.

Przez ostatnią godzinę nawiedzało mnie pewne wspomnienie.

Orson i ja mamy po osiem lat, bawimy się w lesie w pobliżu naszego domu w Winston-Salem w Północnej Karolinie, nad nami spłwiałe sierpniowe niebo. Jak wielu małych chłopców jesteśmy zafascynowani dziką przyrodą. Orson chwytą szarą jaszczurkę pędzącą po gnijącym pniu.

Podeksytowany znaleźnikiem mówię mu, żeby przytrzymał jaszczurkę, a on robi to z chytrym uśmieszkiem. Wyjmuję 54-

z kieszeni szkło powiększające. Słońce mocno przyświeca i już po chwili na łuskowatej skórze jaszczurki pojawia się oślepiająco jasny punkt. Promienie słońca palą ją, a Orson i ja patrzymy jeden na drugiego i śmiejemy się z zadowoleniem. Jesteśmy pod wrażeniem, widząc jak dymiąca jaszczurka wije się, żeby uciec.

- Moja kolej! - mówi wreszcie Orson. - Tyją trzymaj.

Całe popołudnie spędzamy na torturowaniu stworzenia. Kiedy mamy dosyć, ja rzucam je na trawę, ale Orson nalega, żeby zabrać je ze sobą.

- Teraz to moja własność - mówi. - Jest moja.

Rozdział 3

Dzień 6 (po północy?)

Wziąłem już dzisiaj kolejny prysznic. Termometr pokazywał 35°C, kiedy nagi wlokłem się po spękanej ziemi do studni. Nienawidzę tej lodowatej wody. Wydaje się, że tylko parę stopni mniej, a zamarzlaby. Tracę oddech, gdy się nią oblewam. Staralem się to zrobić jak najszybciej, ale zanim zmyłem całe mydło z ciała, już dygotałem.

O zachodzie słońca chciałem pójść na spacer po pustyni, ale Orson zamknął mnie w pokoju. Z okna sypialni zobaczyłem brązowego buicka jadącego na wschód wąską ziemną drogą, która biegnie idealnie prosto na horyzont. Brata nie ma już od kilku godzin. Bez niego wydaje się tu bezpieczniej.

Spiekota zapewne trafia właśnie do księgarń i jestem pewien, że Cynthia wyłazi ze skóry. Nie winię jej. Za parę dni miałem rozpocząć trasę promującą książkę w dwunastu miastach. Podpisywanie książek, programy w radiu i wystąpienia w telewizji zostaną odwołane. To pogorszy sprzedaż; jest to naruszenie mo-

jej umowy z wydawcą... Ale teraz nie mogę nad tym rozmyślać. Nie mam na to wpływu i tylko doprowadza mnie to do obłędu. Nadal czytam jak szalony. Poe, Platon i McCarthy w ciągu ostatnich dwóch dni. I wciąż nie rozumiem, czego Orson tak desperacko pragnie, żebym zobaczył. Do diabła, nawet nie jestem pewien, czy on sam to wie. Orson także spędza dnie na czytaniu

56-
i zastanawiam się, czego szuka na tysiącach stron. Czy sądzi, że istnieje jakaś postać, jakaś historia albo filozofia, którą dopiero musi odkryć, a która mogłaby wyjaśnić albo usprawiedliwić to, co widzi w lustrze. Jednak domyślam się, że znajduje jedynie okruchy na osłode, jak ten fragment o okrucieństwie z Księcia lub psychopatyczny sędzia Holden z Krwawego południka. Słyszę nadjeżdżający w oddali samochód. Pierwszy raz zostawił mnie samego i to mnie martwi. Możliwe, że po prostu pojechał po zakupy. Dobranoc.

Przeszedłem od łóżka do komody, by włożyć papier i pióro do środkowej szuflady. Próba ukrycia dziennika przed Orsonem miałyby się z celem. Poza tym wykazywał poczucie przyzwoitości, jeżeli chodzi o moje pisanie. A przynajmniej nie sądziłem, by już czytał mój dziennik. Szanował to, co określał mianem wewnętrznych potrzeb, a tym w moim przypadku było pisanie.

Powlokłem się z powrotem do łóżka, sięgnąłem do nocnego stolika i zgasilem lampę naftową, której używałem przez kilka ostatnich nocy zamiast elektrycznej. Trzaśnięcie drzwiczek auta dobiegło do mnie przez otwarte okno. Chciałem spać, gdy on wejdzie do środka.

#

Jego głos wyszeptał moje imię:

- Andy. Andy. Andre w Thomas.

Otworzyłem oczy, ale niczego nie zobaczyłem. Szepczący głos mówił dalej:

- Hej, stary. Mam dla ciebie niespodziankę. Cóż, tak właściwie dla nas obu.

Oślepiający snop światła latarki ukazał twarz Orsona - uśmiech między policzkami umazanymi krwią. Orson zaświeceł lampę nad łóżkiem. Zaboląły mnie oczy.

57-

- Chodźmy. Szkoda nocy.

Odłożył latarkę na komodę i zerwał ze mnie nakrycie. Zerkać przez okno, zobaczyłem, że księżyc jest wysoko na niebie. Wciąż byłem zmęczony i wydawało mi się, że nie spałem zbyt długo.

Orson rzucił mi parę dzinsów i niebieski T-shirt z mojej torby, która leżała otwarta w kącie. Niecierpliwy, prawie rozgorączkowany, przypominał dzieciaka w wesołym miasteczku, gdy tak krążył po pokoju w granatowym roboczym kombinezonie i buciorach ze stalowymi czubkami.

Ubywający księżyc roztaczał niebieski poblask, jasny jak dzień, na wszystko wokół - na bylice, urwiska, nawet na Orsona.

Mój oddech zamieniał się w parę w zimnym nocnym powietrzu. Poszliśmy w kierunku szopy, a gdy się do niej zbliżyliśmy, zauważyłem buicka zaparkowanego na zewnątrz - tyłem do nas, a przodem w stronę podwójnych drzwi. Tablica rejestracyjna została usunięta.

Coś załomotało w te drzwi wewnątrz szopy, po czym rozległa się krótka rozpaczliwa skarga: „RATUNKU!”. Kiedy zastygłem w miejscu, Orson odwrócił się.

- Powiedz mi, co my tu robimy - odezwałem się.

- Wchodzisz ze mną do szopy.

- Kto tam jest?

- Andy...

- Nie. Kto jest w...

Spojrzałem prosto w dwa i jedną ósmą cala nierdzewnej stali lufy mojego rewolweru kaliber 357.

- Ty pierwszy - powiedział.

Trzymany na muszce ruszyłem wzdłuż bocznej ściany budynku. Szopa była większa, niż początkowo mi się zdawało. Boki miały po czterdzieści stóp długości; blaszany dach wznosił się stromo zapewne po to, by uchronić szopę przed zapadnięciem się w zimę pod zwałami śniegu, jeżeli rzeczywiście 58-

znajdowaliśmy się tak daleko na północy. Dotarliśmy na tył szopy i Orson zatrzymał mnie przy wejściu.

Wyjął klucz z kieszeni, a gdy wsunął go do zamka, obejrzał się na mnie i uśmiechnął od ucha do ucha.

- Lubisz maślankę, prawda? - zapytał.

- Tak - odpowiedziałem, chociaż nie przychodziło mi do głowy, jaki to może mieć związek.

- Czy zawsze ją lubiłeś?

-Nie.

- To fakt. Piłeś ją, bo tato ją pił, ale z czasem zacząłeś ją uwielbiać. Cóż, jak dla mnie ma gówniany smak, ale ty nauczyłeś się ją lubić. To trochę jak to, co się tutaj wydarzy. Z początku to nienawidzisz. Będiesz nienawidził mnie jeszcze bardziej niż teraz. Ale to ci wejdzie w krew. To także nauczysz się lubić, zapewniam cię. - Otworzył drzwi i schował klucz z powrotem do kieszeni. - Ani słowa, chyba że ci powiem. - Uśmiechając się, gestem pokazał mi, żebym wszedł pierwszy.

- „Z tej jego nieludzkiej srogości” - wyszeptał, kiedy pchnąłem drzwi, i wkroczył za mną do szopy.

Na środku podłogi leżała kobieta z zasłoniętymi oczami, skuta i z brązową skórzaną obrozą wokół szyi; łańcuch długości pięciu stóp łączył obrozę z metalowym słupkiem. Drażek sięgał od betonowej podłogi aż do stropu, gdzie był przyspawany. Kiedy Orson zatrzaskał drzwi, kobieta niezdarnie się podniosła i kołyszając się dziwnie dokoła słupka, usiłowała się zorientować, gdzie jesteśmy.

Najpewniej miała około czterdziestu pięciu lat. Trwała ondulacja schodziła z jej blond włosów. Miała lekką nadwagę, ubrana

była w czerwono-szarą koszulkę na kręgle, granatowe spodnie i jeden biały but. Zapach jej perfum wypełnił pomieszczenie. Z boku nosa ściekała jej krew sącząca się z rozcięcia pod opaską na oczy.

- Gdzie jesteś? Dlaczego to robisz?

59-

„To się nie dzieje. To udawanie. My tylko gramy. To nie jest ludzka istota”.

- Usiądź tam, Andy - odezwał się Orson, wskazując na przednią część szopy.

Minąłem metalowe półki wypakowane narzędziami i usiadłem na zielonym krzeselku ogrodowym w pobliżu podwójnych drzwi. Biały but leżał obok nich, a ja zastanawiałem się, dlaczego kobieta go zrzuciła. Zwróciła się w moją stronę; łzy strumieniem lały jej się po policzkach. Orson zbliżył się i stanął przy mnie. Ukląkł, przypatrując się lśniący czubkom swoich buciorów.

Raptem coś zacisnęło się wokół mojej kostki.

- Wybacz - powiedział - ale po prostu jeszcze ci nie ufam.

- Przykuł moją nogę do łańcucha, przyśrubowanego do podłogi pod krzesłem.

Podchodząc w stronę kobiety, Orson wsunął moją broń do przepastnej kieszeni swojego roboczego kombinezonu.

- Dlaczego mi to robisz? - spytała ponownie.

Orson wyciągnął rękę i otarł jej łzy z twarzy. Podążał za nią, gdy się cofała, pomału owijając łańcuch wokół słupka.

- Jak się nazywasz? - zapytał łagodnie.

- Sh-Shirley - odpowiedziała.

- Shirleyjak?

- Tanner.

Orson przeszedł na drugą stronę pomieszczenia i podniósł dwa taborety stojące do góry nogami na podłodze. Ustawił je jeden obok drugiego w zasięgu łańcucha kobiety.

- Proszę - powiedział, podtrzymując ją za rękę powyżej łokcia. - Usiądź.

Kiedy zajęli miejsca, zwróceni do siebie, Orson pogłaskał ją po twarzy. Całe jej ciało dygotało, jakby miała atak hipotermii.

- Shirley, uspokój się, proszę. Wiem, że się boisz, ale musisz przestać płakać.

60-

- Chcę do domu - odezwała się drżącym i dziecięcym głosem.-Chcę...

- Możesz wrócić do domu, Shirley - odparł Orson. - Ja tylko pragnę z tobą porozmawiać. To wszystko. Pozwól, że w ramach prologu do tego, co będziemy robić, zadam ci kilka pytań. Wiesz, co to „prolog”, Shirley?

-Tak.

- To tylko przecucie, ale kiedy na ciebie patrzę, to widzę kogoś, kto nie spędza zbyt wiele czasu z książką. Czy mam rację? Wzruszyła ramionami.

- Co ostatnio czytałaś?
- Uhm... Pocałunek niebios.
- Czy to romans? - zapytał, a ona przytaknęła. - Och, wybacz, to się nie liczy. Bo widzisz, romansidła to szajs. Sama pewnie mogłabyś jakies napisać. Studiowałaś może przypadkiem?
-Nie.

- Skończyłaś liceum?
-Tak.

- Uff. Przez chwilę mnie wystraszyłaś, Shirley.
- Zabierz mnie z powrotem - błagała. - Chcę do męża.
- Przestań biadolić - warknął. Łzy znowu pociekły po jej twarzy, lecz Orson nie zwracał na nie uwagi. - Jest tu dziś z nami mój brat - oznajmił - a to dla ciebie szczęśliwy traf. On ci zada pięć pytań z dowolnej dziedziny: filozofii, historii, literatury, geografii, czegokolwiek. Musisz odpowiedzieć poprawnie co najmniej na trzy. Zrób to, a zabiorę cię z powrotem do kręgielni. To dlatego masz zawiązane oczy. Przecież nie możesz zobaczyć mojej twarzy, skoro zamierzam cię wypuścić, prawda?

Trwożliwie skinęła głową. Głos Orsona przeszedł w szept, gdy nachylając się do niej, powiedział jej do ucha na tyle głośno, żebym i ja mógł usłyszeć:

61-

- Ale jeżeli odpowiesz poprawnie na mniej niż trzy pytania, zamierzam wyciąć ci serce.

Shirley jęknęła. Niezdarnie zerwawszy się ze stołka, próbowała uciec, lecz łańcuch naprężył się i zwałił ją na podłogę.

- Wstawaj! - Orson wrzasnął, także podnosząc się z taboretu. - Jeżeli nie będziesz siedzieć na tym stołku za pięć sekund, uznam to za oblanie testu.

Shirley natychmiast wstała, a Orson pomógł jej ponownie usiąść na taborecie.

- Uspokój się, kochanie. - Jego głos odzyskał dawną słodycz. - Weź głęboki wdech, odpowiedz na pytania, a wrócisz do swojego męża i... Masz dzieci?

- Troje - odpowiedziała, szlochając.

- ...do męża i trojga swoich pięknych dzieci, nim nastanie ranek.

- Nie mogę -jęczała.

- W takim razie czeka się bolesna śmierć. Wszystko w twoich rękach, Shirley.

Pojedyncza nieosłonięta żarówka oświetlająca pomieszczenie zamigotała, raptownie pogrążając szopę w ciemnościach.

Orson westchnął i wspiał się na stołek. Dokręcił żarówkę, zlął i podszedł do mojego krzesła. Kładąc mi rękę na ramieniu, powiedział:

- Strzelaj, Andy.

- Ale... - Przelknąłem ślinę. - Proszę, Orson. Nie...

Nachylił się i wyszeptał mi do ucha tak, żeby kobieta nie słyszała:

- Zadawaj pytania albo wykończę ją tuż przed twoim nosem. To nie będzie miłe. Możesz zamknąć oczy, ale będziesz ją słyszał. Cała pustynia ją usłyszy. Jednak jeżeli odpowie dobrze, to ją puszczę. Nie złamię tej obietnicy. Wszystko zależy od niej. Dzięki temu jest znacznie zabawniej.

62-

Patrzyłem na kobietę, wciąż trzęsącą się na taborecie, i czułem dłoń brata ściskającą mi ramię. Orson był panem sytuacji, zadałem więc pierwsze pytanie.

- Podaj tytuły trzech sztuk Williama Shakespeare'a - powiedziałem dręt看ym tonem.

- Dobrze - przytaknął Orson. - To uczciwe pytanie. Shirley?

- Romeo i Julia - wypaliła. - Uhm... Hamlet.

- Doskonale - naigrawał się Orson. - Jeszcze jedna, proszę. Milczała przez chwilę, po czym wykrzyknęła:

- Otello] Otello!

- Tak! - Orson klasnął w dłonie. - Jedno z głowy. Następne pytanie.

- Kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych?

Orson trzasnął mnie w tył głowy.

- Zbyt łatwe, teraz więc ja jedno zadam. Shirley, teoria którego filozofa zawiera się w tym zdaniu: „Postępuj wedle takich tylko zasad, co do których możesz jednocześnie chcieć, żeby stały się prawem powszechnym”?

- Nie wiem! Skąd, u diabła, miałabym wiedzieć coś takiego?

- Gdybyś miała jakiegokolwiek pojęcie o filozofii, wiedziałabyś, że to był Kant. Jeden do jednego. Andy?

Wahając się, zerknąłem na Orsona.

- Zadaj pytanie, Andy!

Namyślałem się.

- Na jakim wzgórzu został ukrzyżowany Jezus Chrystus?

Podniosłem wzrok na Orsona, a on skinął głową z aprobatą.

- Na Golgocie - odpowiedziała słabym głosem.

- Dwa z trzech na twoim koncie - oznajmił Orson, ale tym razem nie wydawał się już tak zadowolony.

- Czwarte pytanie. Kiedy...

- Ja mam jedno - odezwał się Orson, przerywając mi. - Ty możesz zadać ostatnie, Andy. Shirley, na jakim kontynencie leży państwo Gabon?

63-

Odezwała się prędko, jakby była pewna odpowiedzi.

- Europa.

- Och, nie, przykro mi. Afryka. Zachodnie wybrzeże.

- Nie rób tego więcej - błagała. - Dam ci pieniądze. Mam karty kredytowe. Mam...

- Zamknij się - odparł Orson. - Graj uczciwie. Ja gram.

Jego twarz poczerwieniła, zacisnął zęby. Kiedy mu przeszło, powiedział:

- Wszystko sprowadza się do tego pytania. Andy, mam nadzieję, że wymyśliłeś coś dobrego, bo jeżeli nie, to ja mam

w głowie idealne pytanie.

- Temat to historia - odezwałem się. - W którym roku podpisaliśmy Deklarację Niepodległości? - Zamknąwszy oczy, modliłem się, żeby Orson przepuścił to pytanie.

- Shirley? - zapytał po dziesięciu sekundach. - Muszę cię prosić o odpowiedź.

Kiedy otworzyłem oczy, żołądek podszedł mi do gardła. Po jej policzkach lały się łzy.

- 1896? - spytała. - Och, Boże, 1896?

- EEEEECH! Wybacz, nie zgadza się. To był rok 1776.

Osunęła się na beton.

- Dwa na pięć to za mało - oznajmił, podchodząc do Shirley.

Nachylił się i rozwiązał jej przepaskę na oczach. Zwinął materiał i cisnął nim we mnie.

Shirley nie podniosła wzroku.

- Co za wstyd, Shirley - powiedział, okrążając ją, podczas gdy ona wciąż kulila się na podłodze. - Ostatnie to była łatwizna.

Nie chciałem, żeby mój brat musiał oglądać to, co zamierzam z tobą zrobić.

- Przepraszam. - Płakała, próbując złapać oddech, gdy podniosła posiniaczoną twarz znad podłogi. Po raz pierwszy jej oczy napotkały spojrzenie Orsona i uderzyło mnie, że były wyjątkowo łagodne. - Niech pan nie robi mi krzywdy, proszę pana.

64-

- Ty przepraszasz - powtórzył. Przeszedł do rzędu trzech długich metalowych półek umieszczonych jedna nad drugą przy ścianie, obok tylnych drzwi. Ze środkowej półki zdjął skórzaną pochwę i szarą osełkę do ostrzenia. Następnie wrócił na drugą stronę pomieszczenia i przesunął taboret pod samą ścianę tak, by znalazł się poza zasięgiem moim oraz Shirley.

Usiadł, wyjął nóż z pochwy i mrugnął do mnie. - Shirley

- odezwał się przymilnie. - Spójrz tutaj, kotku. Chcę cię o coś zapytać.

Raz jeszcze podniosła głowę i zwróciła twarz w stronę Orsona, robiąc kilka długich, astmatycznych wdechów.

- Czy doceniasz doskonale rzemiosło? - spytał. - Pozwól, że ci opowiem o tym nożu.

Ogarnęła ją histeria, lecz Orson nie zwracał najmniejszej uwagi na jej szloch i błagania. Na chwilę zapomniał też o mnie, sam na sam ze swoją ofiarą.

- Kupiłem to narzędzie na zamówienie od wytwórcy noży z Montany. Jego dzieło jest niesamowite. - Orson metodycznie przesunął ostrzem w górę i w dół po oselce. - To pięć i pół cala ostrza, stal węglowa grubości trzech milimetrów. Niezłe się napociłem, próbując wyjaśnić temu rzemieślnikowi, do jakich celów będę używał tego cacka. Bo widzisz, trzeba im dokładnie powiedzieć, do czego będzie ci potrzebne, żeby mogli zaprojektować odpowiednie ostrze. W końcu powiedziałem facetowi: „Słuchaj, będę patroszył dużą zwierzynę”. I chyba trafiłem w sedno. Chodzi mi o to, że zamierzam wypatroszyć ciebie, Shirley. Czyż nie

uznałabyś siebie za dużą zwierzynę?

Shirley skuliła się na kolanach i z twarzą przyciśniętą do podłogi zanosila modły do Boga. Modliłem się wraz z nią, choć nie jestem wierzący.

Orson mówił dalej:

- Cóż, muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem jego talentu. Jak widzisz, ostrze jest lekko ząbkowane, może więc

65- rozciąć twarde mięsień piersiowy, ale też dostatecznie grube, żeby przerażać klatkę piersiową. Teraz to rzadkie połączenie, dlatego zapłaciłem za niego trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów. Widzisz rękojeść? Kość słoniowa z czarnego rynku. - Pokiwał głową. - Bezkonkurencyjne, znakomite narzędzie. Hej, chcę usłyszeć twoje zdanie na pewien temat, Shirley. Popatrz tutaj.

Uśluhała go.

- Widzisz przebarwienie na ostrzu? Pochodzi z kwasów krojonego mięsa. Byłem ciekaw, czy to dla ciebie straszniejsze, gdy wiesz, że szykuję się, żeby cię zarznąć, gdy widzisz te plamy na ostrzu i uzmysławiasz sobie, że twoje ciało wkrótce również zaplami ten nóż? Czy może byłoby bardziej przerażające, gdyby to ostrze było jasne i błyszczące jak pierwszego dnia, gdy je dostałem? Ponieważ w takim przypadku wezmę szmatkę i zaraz je dla ciebie wypoleruję.

- Nie musisz tego robić - odezwała się Shirley, nagle siadając. Wbiła wzrok w oczy Orsona, usiłując być dzielna. - Dam ci, cokolwiek zechcesz. Wszystko. Tylko powiedz co.

Orson zaśmiał się cicho.

- Shirley - odpowiedział całkowicie poważnym tonem.

- Ujmę to tak: chcę twoje serce. A jeśli wstaniesz i wyjdiesz przez te drzwi po tym, jak je wytnę, to nie będę cię zatrzymywać. - Podniósł się. - Muszę się odlać, Andy. Dotrzyмай jej towarzystwa.

Orson podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł na zewnątrz.

Uśluhałem, jak zrasza ścianę szopy.

- Proszę pani - wyszeptalem bez tchu. - Nie wiem, co robić.

Tak mi przykro. Chcę...

- Nie chcę umierać - powiedziała, błagając mnie niespokojnym spojrzeniem. - Nie pozwól mu mnie skrzywdzić.

- Jestem przykuty do podłogi. Chcę pani pomóc. Tylko niech mi pani powie...

66-

- Proszę, nie zabijajcie mnie! - wrzasnęła, nie reagując już na mój głos. Kołysała się w przód i w tył na kolanach jak autystyczne dziecko. - Nie chcę umierać!

Drzwi otworzyły się i Orson pojawił się z powrotem.

- Cóż, zatem znalazłaś się w złym miejscu - powiedział - bo czas jest odpowiedni.

Trzymał nóż przy boku i bez pośpiechu kroczył w jej stronę. Odsuwała się od niego na kolanach, gdyż ręce wciąż miała skute

za plecami. Łańcuch zatrzymywał ją za każdym razem. Orson zachichotał.

- Nie! - krzyknęła. - Nie możesz tego zrobić!

- No to popatrz - odparł, nachylając się ku niej z nożem w garści.

- Przestań, Orson! - wrzasnąłem. Serce podeszło mi do gardła. Gdy przerażona kobieta czołgała się u jego stóp, a pod nią rozlewała się kałuża, Orson obejrzał się na mnie.

„Myśl, myśl, myśl, myśl”.

- Nie możesz... po prostu nie możesz jej zabić.

- Sam wolałbyś to zrobić? Nie możemy jej puścić. Zna nasze imiona. Widziała nasze twarze.

- Nie rozcinaj jej - powiedziałem. Piekące łzy dławiły mnie w gardle.

- Robię to z nimi wszystkimi, bez żadnych wyjątków.

- Kiedy jeszcze żyją?

- W tym cała zabawa.

- Jesteś obłąkany! - Shirley wrzasnęła na Orsona, lecz on ją zignorował.

- Nie tym razem, Orson - błagałem, wstając z krzesła. - Proszę. Shirley krzyknęła:

- Wypuść mnie!

- Suka! - Orson ryknął na nią w odpowiedzi i kopnął ją w bok głowy stalowym czubkiem buta. Zwaliała się bezwładnie na podłogę. - Jeszcze raz otwórz usta, to się pożegnasz z językiem.

67-

Spojrzał się na mnie; jego oczy płonęły.

- Jest idealnie, kiedy tutaj jesteś - powiedział. - Chcę się tym z tobą dzielić.

- Nie - jęczałem. - Nie dotykaj jej.

Orson rzucił okiem na swoją ofiarę, a potem znowu na mnie.

- Dam ci wybór - oświadczył. Podszedł do stołka, odłożył nóż i wyjął swój rewolwer. - Możesz ją od razu zastrzelić.

Oszczędzić jej bólu. - Zbliżył się i wręczył mi broń. - Masz. Patrzenie, jak zabijasz ją bezboleśnie, zadowoli mnie tak samo jak zabicie jej w sposób, jaki sam lubię.

Kiedy spoglądał na Shirley, ja zerknąłem okiem na tył bębena. Broń była naładowana.

- Shirley, wstawaj. Mówiłem ci, to dla ciebie szczęśliwy traf, że jest tu mój brat.

Nie poruszyła się.

- Shirley - powtórzył Orson, podchodząc w jej stronę.

- Wstawaj. - Trącił ją butem, a kiedy nie drgnęła, obrócił ją na plecy. Miała roztrzaskaną skroń, a krew sączyła się z jej ucha.

Orson przycisnął dwa palce do boku jej szyi i czekał.

- Nie żyje - oznajmił, spoglądając na mnie z niedowierzaniem. - Nie, zaraz, jest puls. Słaby, ale jest. Tylko ją ogłuszyłem.

Andy, teraz masz swoją szansę - namawiał mnie, odsuwając się kilka kroków od kobiety.

- Poślij jej kilka kulek, zanim się ocknie. Celuj w głowę.

Wycelowałem broń w Orsona.

- Rzuć mi klucze - powiedziałem, ale on się nie poruszył.

Wpatrywał się tylko we mnie, kręcąc głową ze smutkiem.

- To nas cofa o cały rozdział, jeżeli chodzi o zaufanie.

Nacisnąłem spust i broń wypaliła. Strzeliłem znowu i znowu, grzmiący huk wystrzałów wypełnił szopę, szary dym z prochu wzniósł się aż do stropu, aż wreszcie pozostał tylko trzask pustego bębena.

68-

Orson nawet nie drgnął.

Spoglądałem na broń, wytrzeszczając oczy.

- Ślepaki, Andy - wyjaśnił. - Myślałem, że będziesz mi grozić, ale ty bez wahania nacisnąłeś spust. No, no! - Wziął nóż z taboretu i ruszył w moją stronę. Cisnąłem w niego bronią, ale nie trafiłem go w głowę. Zamiast tego uderzyłem w tylne drzwi.

- Ona nie żyje, Andy - powiedział. - Nie miałem zamiaru zmuszać cię do patrzenia, jak cierpi. Nie za pierwszym razem.

I to tak mi odpłacasz? - Stał teraz całkiem blisko, ściskając nóż.

- Jakaś częśćka mnie ma ochotę wbić ci go w żołądek - stwierdził Orson. - To prawie nieodparta pokusa. - Pchnął mnie z powrotem na ogrodowe krzesło. - Ale tego nie zrobię - oświadczył. - Nie zrobię. - Wrócił do stołka, odłożył nóż i poszedł po rewolwer, który leżał przy tylnych drzwiach. Podniósłszy go, wyjął z kieszeni dwa naboje. - Powiedzmy, że twój mały wyczyn oznacza wpadkę numer dwa. - Załadował kule i okręcił bębenek. Kiedy ten się zatrzymał, Orson wycelował broń w moją pierś. - To nie są ślepaki - zapowiedział.

Trzask.

Dostrzegłem wyraz ulgi na twarzy Orsona.

- Nie każ mi znowu tego robić - rzekł. - Naprawdę byłoby szkoda, gdybym cię zabił. - Schował broń do kieszeni, wyciągnął klucz do kajdan na mojej nodze i pchnął go po podłodze w moim kierunku. - Możesz użyć mojego noża - oznajmił. - Wrócę po serce. Nie spartacz tego. Ułóż ją na jednej z tych plastikowych płacht tam w rogu. W przeciwnym razie będziesz szorował tę podłogę do Bożego Narodzenia.

Odzyskałem głos i odezwałem się:

- Orson, nie mogę...

- Masz cztery godziny. Jeżeli robota nie będzie skończona, kiedy wrócę, znowu zagramy w naszą małą gierkę z trzema kulami.

69-

Otworzył tylne drzwi i zobaczyłem, że niebo zaczyna się czerwienić. A wydawało się, że jeszcze daleko do świtu. Wydawało się, że to w ogóle niemożliwe, by miał kiedykolwiek nadejść.

Orson zamknął drzwi i przekręcił klucz. Czułem w ręku klucz do kajdan, ale pragnąłem pozostać w łańcuchach. Jak mógłbym dotknąć Shirley? Wpatrywała się we mnie; jej życzliwe oczy były puste, gdy tak leżała na zimnej, twardej podłodze. Pomyślałem, że to lepiej, iż jest martwa. Lepiej dla niej.

Rozdział 9

„To ludzka istota. Kilka godzin temu grała w kregle z rodziną”. Nachyliłem się i pocałowałem ją w czoło.

- Tak mi przykro - wyszeptalem. - Ty nie...

„Nie trać głowy. To ci teraz nie pomoże. Nie możesz już nic zrobić, by ją ocalić; nie możesz nic zrobić, by sprowadzić ją z powrotem”. Byłem świadkiem bezgranicznego zła - psychicznego torturowania kobiety. Rozplakałem się gwałtownie. Kiedy zabrakło mi łez, zebrałem się w sobie, otarłem oczy i przystąpiłem do pracy.

Przed laty, gdy miałem czas, żeby polować w górach Północnej Karoliny, opracowałem jelenia, którego zastrzeliłem w pobliżu mojej chaty na zboczu. „To nic innego. Teraz nie różni się od zwierzęcia. Nic nie czuje. Martwe ciało to martwe ciało, bez względu na to, jak wygląda”.

Praca była ciężka. Ale jeżeli raz wycięło się jakiś organ z wielkiego stworzenia, to potrafi się wyjąć kolejny. Trudność sprawiała mi twarz zmarłej. Nie mogłem na nią patrzeć, naciągnąłem więc koszulkę na jej głowę.

Wschodzące słońce prędko nagrzało szopę i wkrótce zapłonęło w niej gorąco nie do zniesienia, tak że nie potrafiłem już myśleć o niczym prócz łyku zimnej wody ze studni. Pragnienie dopingowało mnie do pracy, kiedy więc na długo przed upływem czterech godzin usłyszałem zgrzyt klucza w zamku, niemal 71-

skończyłem zadanie. Orson wszedł do środka, wciąż był ubrany w roboczy kombinezon. Przez otwarte drzwi zobaczyłem poranne słońce, teraz już oślepiające. Zapowiadał się kolejny przepiękny, pogodny dzień. Lekki podmuch wślizgnął się do szopy, nim Orson zatrzasnął drzwi, i cudownie było go poczuć. - Uśmiech, Andy. - Pstryknął fotkę polaroidem. Dziwna była myśl, że najgorsza chwila mojego życia właśnie została uwieczniona na fotografii.

Mój brat wyglądał na zmęczonego -jego oczy zasnuwał melancholijny cień. Przerwałem pracę i odłożyłem nóż. Ponieważ większość czynności wykonywałem na kolanach, czułem straszliwy ból, usiadłem więc na czerwonej folii. Orson obszedł ciało dokoła, przyglądając się efektom mojej pracy.

- Pomyślałem, że może chce ci się pić - powiedział. Jego głos brzmiał teraz słabo, jakby był wyczerpany. - Dokończę to, chyba że ty chcesz.

Pokręciłem głową, gdy przypatrywał się wypatroszonym zwłokom.

- Niezła robota - pochwalił. Podniósł nóż i wytarł go o spodnie. - Idź się obmyć. - Wstałem, jednak Orson powstrzymał mnie przed zejściem z płachty. - Zdejmij buty - polecił.

Stałem w kałuży krwi. - I tak spalimy te ciuchy, więc po prostu rozbierz się tutaj. Ja się tym zajmę.

Zdjąłem ubranie i zostawiłem je na folii. Nawet bokserki i skarpety miałem zaplamione. Kiedy stałem nagi, moje ręce

były czerwone aż po łokcie, a twarz upstrzona plamkami krwi, chociaż nie było to nic, czego nie zdołałby zmyć zimny prysznic.

Podszedłem do drzwi i otworzyłem je. Światło słońca kazało mi zmrużyć oczy, gdy spojrzałem w głąb pustyni. Kiedy stanąłem na rozpalonej ziemi, Orson zawołał mnie po imieniu, a ja się odwróciłem.

- Nie chcę, żebyś mnie nienawidził - odezwał się.

72-

- A czego się spodziewasz? Po tym, jak mnie zmusiłeś, żebyś to oglądał, i kazałeś mi ją... pociąć.

- To dla mnie ważne, żebyś zrozumiał, co robię - powiedział.

- Czy możesz spróbować?

Spojrzałem na Shirley, nieruchomą na plastikowej płachcie, z koszulką do gry w kręgle wciąż zakrywającą jej twarz. „Co za bezgraniczne upokorzenie”. Poczulem lży napływające gwałtowną falą i rozbijające odrętwienie, jakie podtrzymywało mnie przez parę ostatnich godzin. Bez słowa zamknąłem drzwi. Po kilku krokach podeszwy stóp zaczęły mnie parzyć, pogałem więc do studni. Na bocznej ścianie zamontowany był natrysk. Napełniłem wodą kubel nad nim i wyciągnąłem czop. Kiedy lodowata woda uderzyła o ziemię, wryłem się stopami w błoto. Włosy na moich rękach pokrywała zaschnięta krew. Przez dziesięć minut szorowałem skórę, aż piekła, gdy srebrne sitko natrysku - osobliwość na tym rozległym pustkowiu - chlustało mi na głowę lodowatą wodę.

Zamknąłem odpływ i poszedłem w stronę chaty. Przez jakiś czas stałem na ganku nagi, pozwalając, by pałący wiatr suszył moją skórę. Wina, olbrzymia i zabójcza, błąkała się po peryferiach mojego sumienia. „Wciąż taki brudny”.

Zobaczyłem odrzutowiec, kreślący długą białą smugę nad pustynią. „Czy mnie widzisz?”, pomyślałem, mrużąc oczy, by dojrzeć odbicie słońca na dalekiej metalicznej tubie. „Czy ktoś patrzy w dół, na mnie, ze swojego maleńkiego okienka, kiedy ja patrzę na niego? Czy widzisz mnie i to, co zrobiłem?”. Gdy odrzutowiec zniknął mi z oczu, poczułem się jak dziecko - w łóżku już o ósmej trzydzieści w letni wieczór, kiedy nie jest jeszcze ciemno; inne dzieci bawią się w berka na ulicy, a ich śmiech dociera do mnie, podczas gdy ja płaczę i płaczę, aż zmorzy mnie sen.

Orson wyłonił się z szopy, niosąc kobietę zawiniętą w foliową płachtę. Uszedł z pięćdziesiąt jardów w głąb pustyni i cisnął ciało do dziury. Potrzebował tylko paru minut, by ją zakopać. Potem

73-

zawrócił się w kierunku chaty, a kiedy się zbliżał, dostrzegłem, że niesie mały styropianowy pojemnik.

- Czy ono tam jest? - spytałem, gdy wszedł na ganek.

Skinął głową i wszedł do chaty. Ruszyłem za nim. Zatrzymał się przy drzwiach do swojego pokoju i otworzył zamek.

- Nie możesz tu wejść - oświadczył. Nie uchylał drzwi.

- Chcę wiedzieć, co z nim robisz.

- Zamierzam je umieścić w zamrażarce.
- Pozwól mi obejrzeć twój pokój - powiedziałem. - Jestem ciekaw. Chcesz, żebym zrozumiał?
- Najpierw się ubierz.

Pobiegłem do pokoju i naciągnąłem parę dzinsów oraz czarny podkoszulek. Kiedy wróciłem, drzwi do pokoju Orsona były otwarte, a on stał w środku, przed zamrażarką.

- Czy teraz mogę wejść? - spytałem od progu.
- Tak.

Sypialnia Orsona była większa niż moja. Po mojej lewej stronie znajdowało się pojedyncze łóżko, schludnie zasłane czerwonym wełnianym kocem rozciągniętym od krawędzi do krawędzi. Obok łóżka, wzdłuż ściany, Orson umieścił kolejny regał, znacznie mniejszy, ale i tak wypchany książkami. Pod ścianą w głębi pokoju, poniżej niezakratowanego okna, stała zamrażarka skrzyniowa. Gdy wchodziłem, Orson sięgał do niej.

- Co tam jest? - spytałem.
- Serca - odpowiedział, zamykając wieko zamrażarki.
- Ile?
- Jeszcze nie dość.

- To trofeum? - Wskazałem na wycinek z gazety przypięty do ściany w pobliżu zamrażarki. Przebiegając wzrokiem po artykule, stwierdziłem, że nazwiska, daty oraz miejsca zostały zamazane czarnym pisakiem.

- „Na placu budowy znaleziono zmasakrowane zwłoki”
- przeczytałem na głos. - Mama byłaby dumna.

74-

- A czy ty, kiedy zrobisz coś, jak należy, nie pragniesz być doceniony?

Orson zamknął zamrażarkę na klucz i przeszedł na drugą stronę pokoju. Wyciągając się na łóżku, rozprostował ramiona i ziewnął. Potem ułożył się na czerwonym kocu i zapatrzył w ścianę.

- Czuję to zawsze, kiedy odchodzą - odezwał się. - Pustkę w środku. O tutaj. - Wskazał na serce. - Nie wymyśliłbyś tego. Sławny pisarz. Ja nie znaczę absolutnie nic. Jestem facetem w chacie na środku pustkowia i tyle. Oto obszar mojej egzystencji. - Zrzucił buty; ziarenka piasku wysypały się na kamienną podłogę. - Ale jestem czymś więcej niż to, co w tej zamrażarce
- powiedział. - To, co jest w tej zamrażarce, należy do mnie. Teraz to moje dzieci. Pamiętam każde narodziny.

Usiadłem i oparłem się o chropowate belki.

- Po dwóch dniach ta depresja zelżeje i znowu będę się czuł normalnie, jak każdy. Ale i to minie, a ja będę płonął tam, gdzie teraz jest nicość. Będzie mnie palić, żebym zrobił to ponownie. I zrobię. Cykl się powtarza. - Spojrzał na mnie z agonią w oczach, a ja usiłowałem mu nie współczuć, lecz przecież to mój brat.

- Czy ty słyszysz, co wygadujesz? Jesteś chory.
- Niegdyś też tak sądziłem. Doktryna stoicka doradza, by

żyć podług swej natury. Jeżeli usiłujesz być czymś, czym nie jesteś, zniszczysz sam siebie. Kiedy zaakceptowałem własną naturę z całą jej gwałtownością, pogodziłem się ze sobą. Przesłałem nienawidzić samego siebie i tego, co robię. Po zabójstwie byłem w znacznie gorszym stanie niż teraz. Rozważałem samobójstwo. Ale teraz spodziewam się depresji, a to pozwala mi ze spokojem podchodzić do rozpacz i poczucia straty.

- W trakcie tej autoanalizy nastrój mu się poprawiał. - Naprawdę czuję się lepiej, mając cię przy sobie, Andy. To trochę zaskakujące.

75

- Być może twoja depresja wynika z poczucia winy, którego należy się spodziewać po zamordowaniu niewinnej kobiety.

- Andy - odezwał się; jego głos poweselał, sygnalizując zmianę tematu. - Chcę ci powiedzieć o czymś, co mnie uderzyło, kiedy czytałem twoją pierwszą powieść. A przy okazji, była dobra. Twoje książki nie zasługują na krytykę, z jaką się spotykają. Są znacznie głębsze niż typowe krwawe historyjki. Tak czy owak, kiedy skończyłem Zabójcę i jego broń, uświadomiłem sobie, że robimy to samo.

- Nie. Ja piszę, ty zabijasz.

- Obaj mordujemy ludzi, Andy. Ty robisz to za pomocą słów na papierze, ale to cię nie rozgrzesza z tego, co masz w sercu.

- Tak się składa, że ludziom podoba się sposób, w jaki opowiadam o zbrodniach - odparłem. - Gdybym miał zacięcie do pisania poważnych książek, to bym to robił.

- Nie, w morderstwie, w furii jest coś, co cię intryguje. Ty oddajesz się tej obsesji poprzez pisanie. Ja przez działanie. Który z nas żyje zgodnie ze swoją prawdziwą naturą?

- Istnieje kolosalna różnica między tym, jak przejawiają się nasze obsesje - odpowiedziałem.

- A więc przyznajesz, że masz obsesję na punkcie morderstwa?

- Tylko dla ułatwienia w tej dyskusji. Ale moje książki nikomu nie robią krzywdy.

- Tego bym nie powiedział.

- Jak niby moje książki zabijają?

- Kiedy przeczytałem Zabójcę i jego broń, nie czułem się już dłużej samotny. Andy, ty myślisz tak, jak myślą zabójcy. Wyjaśniasz, dlaczego zabijają. Dziesięć lat temu, kiedy wyszła ta książka, byłem zdezorientowany i przerażony tym, co się działo w moim umyśle. Wtedy byłem bezdomny, spędzałem dni w bibliotece. Niczego nie wprowadzałem w życie, ale ten ogień w środku już zaczął się palić.

- Gdzie wtedy byłeś?

76-

Pokręcił głową.

- W mieście X. Nic ci nie powiem o mojej przeszłości. Ale każde słowo w tej książce potwierdzało pragnienia, jakie odczuwałem. Zwłaszcza mój gniew. Chodzi mi o to, że opisując głównego bohatera, musiałeś z bliska poznać wściekłość, z jaką

żyłem. I, oczywiście, znałeś ją... - Uśmiechnął się. - Mój bliźniak. Niestety, nie miałem możliwości pisania, co dałoby upust tej wściekłości, musieli więc ginąć ludzie. Ale twoja książka... Była inspirująca. To nawet zabawne, gdy o tym pomyśleć. Obaj chorujemy na to samo, tylko że twoja choroba uczyniła cię bogatym i sławnym, a moja zrobiła ze mnie seryjnego zabójcę.

- Powiedz mi coś - wtrąciłem, a on usiadł, podpierając się ręką. - Kiedy to się zaczęło?

Zawahał się, wyraźnie zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Osiem lat temu. W zimie osiemdziesiątego ósmego. Mieliśmy po dwadzieścia sześć lat i to był ostatni rok, kiedy byłem bezdomny. Zwykle sypiałem na dworze, bo nie ruszałem się z biblioteki aż do dziewiątej, kiedy ją zamykali, a potem w schroniskach brakowało miejsc. Jeżeli chce się przetrwać chłodną noc na ulicy, trzeba iść tam, gdzie palą się ogniska. Do dzielnicy przemysłowej, w pobliżu torów kolejowych. Rozładowywano tam wagony, wszędzie wałało się mnóstwo kawałków drewna. Bezdomni gromadzili drewno w beczkach po oleju i podtrzymywali ogień aż do rana, kiedy na nowo otwierano biblioteki i cukiernie.

Tej konkretnej nocy schroniska były przepelnione, kiedy więc zamknęli bibliotekę, poszedłem w stronę torów. To był długi marsz, ze dwie mile, może więcej. Przez całą drogę mi się pogarszało. Wpadłem we wściekłość. Ostatnio często tak się działo. Zwłaszcza w nocy. Budziłem się, klnąc i wrzeszcząc. Moje myśli koncentrowały się na bólu i torturach. Bez ustanku wałkowałem w głowie takie scenariusze. Nie potrafiłem się skupić. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

77-

Tak więc dotarłem do torów, a tam wszędzie były ogniska, ludzie tłoczyli się wokół nich w ciasnych kręgach. Nie mogłem znaleźć miejsca w pobliżu paleniska, usiadłem więc na obrzeżu jednego z nich. Wszędzie dokoła mnie ludzie spali pod kartonowymi pudłami i brudnymi kocami.

Czułem się coraz gorzej. Wpadłem w taki gniew, że nie mogłem usiedzieć spokojnie, wstałem więc i odszedłem od ognia. Przeszedłem na skraj skupiska, gdzie ludzie byli bardziej rozproszeni. Było późno, około północy. Prawie wszyscy spali. Jedyni przytomni tkwili przy ogniskach, a i oni byli zbyt pijani i zmęczeni, żeby zwracać uwagę na cokolwiek. Chcieli tylko utrzymać ciepło.

Niedaleko znajdowały się wagony towarowe, nieużywane od lat. Stałem w pobliżu jednego, kiedy zobaczyłem, że jakiś facet traci przytomność i pada na zwir. Nie miał niczego, żeby się ogrzać. Przyglądałem mu się. To był czarny mężczyzna. Brudny, stary i niewysoki. To zabawne. Pamiętam dokładnie, jak wyglądał, nawet jego czerwoną czapkę i podartą skórzaną kurtkę. Tak jak się pamięta ze szczegółami pierwszą dziewczynę, z którą się było. Cuchnął jak butelka bełta. Tym sobie pomagali, żeby przetrwać noc.

Nikt nie zwracał uwagi na nic prócz ogniska. Ponieważ facet był pijany, chwyciłem go za nogi i odciągnąłem za wagon. Nawet się nie obudził. Wypełniła mnie adrenalina. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie czułem. Rozejrzałem się za ostrym kawałkiem drewna, ale pomyślałem, że jeśli go zadźgam, będzie głośno umierał.

Kiedy zobaczyłem kamień, uśmiechnąłem się. Taki poręczny. Wielkości dwóch pięści. Delikatnie obróciłem mężczyznę na brzuch. Potem ściągnąłem mu czapkę i rozwalłem mu tył czaszki. Ani pisnął. Przeżyłem orgazm. Odrodziłem się na nowo. Zostawiłem trupa pod wagonem i wyrzuciłem kamień do rzeki. Kto by sobie zwracał głowę martwym bezdomnym? Całą

78-

noc chodziłem po ulicach, rozpierała mnie energia bez granic. W ogóle nie zmrużyłem oka. I tak to się zaczęło.

Jedno, czego się nie spodziewałem, to że ogień wkrótce powróci. Dwa dni później znowu mnie palił, silniejszy niż kiedykolwiek, domagając się kolejnej dawki.

Orson przeturlał się na plecy i wbił wzrok w sufit. Zrobiło mi się niedobrze.

- Teraz zamierzam cię zamknąć w pokoju, Andy, żebym mógł się trochę przespać.

- Mój Boże. Czy ty nie masz żadnych wyrzutów sumienia?

- spytałem.

Orson odwrócił się i popatrzył na mnie.

- Nie mam zamiaru prosić o wybaczenie za to, jaki jestem.

Dawno temu nauczyłem się, że poczucie winy nigdy mnie nie powstrzyma. Nie, żeby mi ono nie doskwierało. To znaczy, miałem... nadal mam sumienie. Po prostu zdaję sobie sprawę, że to bezcelowe pozwalać mu, żeby mnie dręczyło. Kluczową cechą prawdziwych zabójców, co musisz zrozumieć, jest to, że zabicie to ich natura, a nie da się zmienić czyjejś natury. Oni tym właśnie są. Tak funkcjonują. Nie prosiłem się, żeby być sobą. Pewne związki chemiczne, pewne wydarzenia mnie tworzą. To poza moją kontrolą, Andy, więc zdecydowałem się z tym nie walczyć.

- Nie. Coś w głębi ciebie krzyczy, że to złe.

Pokręcił głową ze smutkiem i pod nosem zacytował Shakespeare'a:

- „Juzem tak głęboko

W krwi zagrzązł, że wstecz iść niepodobieństwo,

W miejscu zaś grozi mi niebezpieczeństwo;

Trzeba więc dalej brnąć"*.

*tłum. Józef Paszkowski

-79-

Potem spojrział na mnie dziwnie, jakby coś przyszło mu do głowy. W jego głosie brzmiała szczerłość, która wyprowadzała mnie z równowagi bardziej niż wszystko, co mówił przez cały ranek:

- Wiem, że zapomniałeś. Ale pewnego dnia opowiem ci coś

i to sprawi, że wszystko nabierze sensu.

-Co?

- Dzisiaj jeszcze nie pora. Nie jesteś na to gotowy. Niegotowy, by wykorzystać to, co mówię.

- Orson...

Zwłóknął się z łóżka i skinął na mnie, żebym wstał.

- Zdrzemnij się trochę, bracie.

Rozdział 10

Dzień 10

Znowu czuję się wolny. Orson wypuścił mnie po południu, jestem więc na szczycie tego urwiska, o którym stale piszę, i spoglądam na spieczone pustkowie.

Znajduję się dobre czterysta stóp nad pustynią, siedzę na płaskim kamieniu i patrzę stąd na panoramę obejmującą siedemdziesiąt mil.

Wysoko nade mną krąży złoty orzeł. Ciekawe, czy gniazduje na jednym z tych nędznych jałowców na skraju urwiska.

Gdy spojrzę za siebie, pięć mil na wschód za chatą, dostrzegam coś, co wygląda jak droga. Zauważyłem trzy srebrne punkty pędzące cienkim szarym pasem, zakładam więc, że to samochody. Ale nic mi z tego nie przyjdzie. Nie miałyby znaczenia, nawet gdyby patrol policji znalazł się tuż obok chaty. Orson posiada mnie na własność. Zrobił mi zdjęcia, gdy rozcinałem tę kobietę.

Dziś rano zostawił je na moim biurku.

Ostatniej nocy znowu śniła mi się Shirley. Niosłem ją przez pustkowie, przez noc, i dostarczyłem ją wprost w ręce rodziny. Pozostawiłem ją śmiejącą się z mężem i trójgiem dzieci, w tej jej czerwono-szarej koszulce na kręgle.

Wczoraj zauważyłem znaczącą zmianę w zachowaniu Orsona.

81-

Nie jest już przygnębiony. Tak jak zapowiedział, to jego normalny okres. Lecz ogień powróci, a tego właśnie obawiam się bardziej niż czegokolwiek.

Biorę pod uwagę zabicie go. Teraz zaczyna mi ufać.

Wystarczyłoby, żebym wziął jedną z tych ciężkich podpórek do książek i walnął go tak jak on tego nieszczęsnego bezdomnego. Ale dokąd by mnie to zaprowadziło? Wierzę bez zastrzeżeń, że Orson posiada dosyć obciążających dowodów, by posłać mnie do celi śmierci, nawet gdybym go zabił. Poza tym ostatniej nocy dotarło do mnie coś przerażającego: w jednym ze swoich listów Orson groził, że ktoś dostarczy paczkę z dowodami na policję w Charlotte, chyba że on osobiście go powstrzyma - kto więc pomaga Orsonowi?

Rzuciłem notatnik na ziemię, zeskoczyłem z głazu i z uwagą wbiłem wzrok w podnóże zbocza. U stóp urwiska, po stronie niewidocznej z chaty, wpatrywał się we mnie jakiś mężczyzna na koniu. Chociaż stąd nie wydawał się większy niż brązowy punkcik na pustyni, dostrzegłem, że do mnie macha. Obawiając się, że zawoła, pomachałem mu w odpowiedzi, wsunąłem notat-

nik do małego plecaka i zląłem z urwiska tak prędko, jak tylko zdołałem.

Kilka minut zajęło mi lawirowanie po stromym zboczu, unikanie miejsc, gdzie opadało zbyt gwałtownie. Gdy schodziłem, odetkały mi się uszy, a na dół dotarłem bez tchu i z obolałymi nogami. Oparłem się o zakurzony głaz, dysząc ciężko.

Koń stał o dziesięć stóp ode mnie. Spojrzał na mnie, zarżał, a następnie zostawił pod sobą olbrzymią stertę łajna. Piekły mnie oczy od pyłu, więc przecierałem je, póki łzy nie zmyły drobin kurzu naniesionego wiatrem. Podniosłem wzrok na mężczyznę na koniu.

Nosił kowbojski kapelusz o barwie ciemnej czekolady, beżową kraciatą kurtkę zapinaną na guziki oraz brązowe spodnie do 82-

konnej jazdy. W jego twarzy, pooranej bruzdami i pomarszczonej, kryło się sporo wigoru, sugerując, że wcale nie jest tak stary, na jakiego wygląda, i że to lata ciężkiej pracy oraz konnej jazdy na wietrze i w słońcu postarzyły go przedwcześnie.

Sądziłem, że się odezwie, lecz zamiast tego on potężnie zaciągnął się skrętem. Zatrzymując dym w płucach, podał mi papierosa z marihuaną, ale pokręciłem głową. Po chwili wypuścił obłok słodko pachnącego dymu, który wiatr zaraz porwał i rozproszył w rozgrzanym powietrzu. Brązowe oczy mężczyzny stały się niewidoczne, gdy mrużył je, by mi się przyjrzeć.

- Myślałem, że pan to Dave Parker - powiedział. Głos miał ochryple i chłodny. - Niech mnie diabli, jeśli nie wygląda pan jak on.

- Ma pan na myśli właściciela chaty po drugiej stronie tego wzgórza?

- Jego. - Znów zaciągnął się skrętem.

- Jestem jego bratem - odparłem. - Skąd pan go zna?

- Skąd go znam? - spytał z niedowierzaniem, wciąż wstrzymując dym w płucach, a słowa wydobywały się prosto z ochryplego gardła. - Kiedyś to była moja chata. - Mówiąc, wypuszczał dym. - Nie wiedział pan?

- Dave nie mówił mi, od kogo ją kupił, a ja jestem tu dopiero od kilku dni. Nie widzieliśmy się sporo czasu.

- No kurde, wszystko, dokąd wzrok sięga, to moje. Mam rancho dziesięć mil stąd w tamtą stronę. - Wskazał na północ, w kierunku gór. - Czteryście sztuk bydła się tu pasie.

- Na tej pustyni?

- Ostatnio jest sucho, ale po porządnym deszczu indiańska trawa ryżowa ładnie się zieleni. Poza tym zaganiamy je też w góry. W sumie nigdy bym nie sprzedał tej chaty, tylko że pana brat zaoferował mi za nią niezłą sumkę. Stoi na samym środku mojej ziemi. No to mu sprzedałem chatę i dziesięć akrów. Do diabła, nie wiem, czemu ktokolwiek chciałby mieć tutaj chatę.

83-

Nie, żeby nie było tu co oglądać, ale w zimie nie ma sensu tu przyjeżdżać. Ale do diabła z tym, to jego forsa.

- Kiedy ją od pana kupił?
- Och, kurde. Lata już mi się mieszają. Chyba doktor Parker kupił ją w dziewięćdziesiątym pierwszym.
- Doktor Parker?
- Jest czegoś tam doktorem, co nie? Och, kurde, chyba historii? Nie jest aby doktorem historii? Nie rozmawiałem z facetem od dwóch lat, to mogę się mylić...
- On panu kazał zwracać się do siebie „doktor”? - przerwałem, zmuszając się do śmiechu, i odwracając uwagę mężczyzny od lawiny pytań. - Drań myśli, że jest kimś ważnym.
- Co nie - przyznał kowboj, także się śmiejąc.
Uśmiechnąłem się z ulgą, że udało mi się nie wzbudzić jego czujności, chociaż byłem pewien, że to nie tylko moja zasługa.
- Ciągłe uczy w tym college'u na północy? - zapytał mężczyzna. - Moja pamięć jest już guzik warta. Chyba w Vermont. Mówił, że uczy jesienią i wiosną, a lata lubi spędzać tutaj. Przy najmniej dwa lata temu tak było.
- Och. Tak, uczy. Na pewno. - Starąłem się zamaskować szok, by nie było go słychać w moim głosie.
Nawet za tysiąc lat nie spodziewałbym się natknąć na jakąkolwiek osobę na tym odludziu. To było jak światełko w tunelu i modliłem się, żeby Orson nie zobaczył tego kowboja przejeżdżającego tak blisko jego chaty.
- No to lepiej już pojedź - powiedział. - Do wieczora muszę objechać jeszcze kawał ziemi. Niech pan powie doktorowi Parkerowi, że się chciałem przywitać. A pan jak się nazywa?
- Mike. Mike Parker.
- Percy Madding.
- Miło było poznać, Percy - odparłem, podchodząc bliżej i ściskając jego dłoń w rękawicy.

84-

- Miło poznać, Mike. Może kiedyś wpadnę do was, chłopaki, z butelką tequili i garścią tego. - Pomachał trzymanym w rękę skrzętem, który zgasł już chwilę temu.
- Właściwie to wyjeżdżamy za kilka dni. Z powrotem na wschód.
- Och. Szkoda. No to bezpiecznej drogi, chłopaki.
- Dziękuję - odpowiedziałem. - Och, jeszcze jedno. Co to za pasmo górskie na północy i wschodzie?
- Wind River - poinformował mnie. - Najładniejsze góry w stanie. Nie ściągają tyłu cholernych turystów co Teton i Yellowstone.
Percy wyjął z kieszeni srebrną zapalniczkę, ponownie zapalił skrzęta i łagodnie trącił ostrogą bok konia.
- W drogę, Zachary - powiedział, po czym cmoknął na konia i pokłusował w dal.

Rozdział 11

Późnym popołudniem wróciłem do chaty, ociekając potem. Orson leżał na podłodze salonu z książką w ręku, nagimi plecami dotykając kamiennej posadzki. Ostrożnie przeszedłem nad nim

i osunąłem się na sofę.

- Co czytasz? - spytałem, wpatrując się w idealny zarys jego mięśni na brzuchu i klatce piersiowej. Drżały, gdy oddychał.

- Poemat, który właśnie zrujnowałeś. - Cisnął książkę na podłogę i jego spojrzenie skrzyżowało się z moim. - Muszę czytać wiersz od początku do końca, bez przerywania. Tak rozkwita poezja. Wehłania się ją w całości, a nie jako potrzaskane kawałki.

- Jaki poemat?

- Wydrążeni ludzie - odpowiedział niecierpliwie, wbijając wzrok w odkryty strop z belkami wpierającymi dach. Raptownie poderwał się z podłogi, podnosząc się wyłącznie siłą mięśni nóg. Usiadł obok mnie na sofie i bębnił palcami o kolana, przypatrując mi się łobuzerskim wzrokiem. Zastanawiałem się, czy zauważył kowboja.

- Idź się odśwież - odezwał się nagle.

- Dlaczego?

Zmrużył oczy. Nie musiał mnie prosić drugi raz.

86-

#

Spoglądając w boczne lustro, ujrzałem chatę kurczącą się w oddali. Słońce, które dopiero co skryło się za horyzontem, nadal krwawiło fioletoworóżowym światłem na zachodnim krańcu nieba. W ślad za konającym słońcem powierzchnia pustyni nabrała marsjańskiego czerwonego odcienia, a ja patrzyłem, jak ziemia staje się na nowo czarna i pozbawiona życia. Jadąc na wschód, spoglądałem prosto przed siebie. Noc pochłoneła góry Wind River.

Gnaliśmy prymitywną drogą, a wstęga pyłu ciągnęła się za nami jak smuga kondensacyjna za odrzutowcem. Orson nie odezwał się słowem, odkąd wsiedliśmy do samochodu. Opuściłem szybę w oknie po swojej stronie, a wieczorne powietrze chłodziło moją spieczoną słońcem twarz.

Orson wcisnął pedał hamulca i samochód gładko się zatrzymał. Przed nami ciągnęło się kilkaset stóp pustej autostrady, tej samej, którą widziałem z urwiska. Mój brat sięgnął w dół, z podłogi u swoich stóp podniósł parę kajdanek i upuścił je na moje kolana.

- Załóż kajdanki na prawy nadgarstek, a drugą obręcz przy-
mocuj do drzwi.

Nałożyłem kajdanki tak, jak polecił.

- Co my tu robimy? - spytałem.

Nachylił się nade mną i sprawdził, czy kajdanki dobrze trzymają, po czym wyłączył silnik. Raptownie nastąpiła cisza, ponieważ wiatr ucichł już wcześniej, o zmierzchu. Spoglądałem na Orsona, gdy on patrzył prosto przed siebie. Był ubrany w kolejny niebieski roboczy kombinezon i takie same skórzane buty. Ja miałem na sobie identyczny kombinezon, tyle że brązowy. Jedna z czterech szaf w korytarzu, łączącym sypialnię z salonem,

była ich pełna.

87-

Zarost Orsona zaczął się uwidaczniać, rysując cień na jego twarz w taki sam sposób jak na mojej. Takie subtelne drobiazgi tworzą najsilniejszą więź między bliźniakami i gdy obserwowałem Orsona, poczułem przeblysk zażyłości w cząstce serca, która już dawno temu zamknęła się na tego rodzaju miłość. Ale to nie był człowiek, którego niegdyś znałem. „Jesteś potworem”.

Utrata brata była niczym strata kawałka własnego ciała, jednak gdy spoglądałem na niego w tej chwili, czułem się jak kaleka śniący koszmar o tym, że odrasta mu kończyna - potworna, niezależna od jego woli.

- Często widzisz się z mamą? - zapytał Orson, nie spuszczać wzroku z autostrady.

- Jeżdżę do Winston dwa razy w miesiącu. Chodzimy na lunch i odwiedzamy grób taty.

- Co nosi? - spytał, wciąż obserwując drogę, ani na chwilę nie przenosząc spojrzenia na mnie.

- Nie rozu...

- Jej ubrania. Jakie stroje wkłada?

- Przeważnie sukienki. Tak jak kiedyś.

- Czy nosi kiedykolwiek tę niebieską w słoneczniki?

- Nie wiem.

- Kiedy o niej śnię, właśnie to ma na sobie. Raz pojechałem się z nią zobaczyć - powiedział. - Jeździłem tam i z powrotem po Race Street, obserwując dom i wypatrując, czy nie dojrzę jej na podjeździe albo przez okna. Jednak ani przez chwilę nie było jej widać.

- Dlaczego się nie zdecydowałeś mieć to za sobą?

- Co miałbym jej powiedzieć? - Umilkł na chwilę i przełknął ślinę. - Czy ona w ogóle o mnie pyta?

Już prawie miałem skłamać, lecz nie potrafiłem znaleźć wymówki, żeby troszczyć się o jego uczucia.

-Nie.

88-

- Czy kiedykolwiek rozmawiasz z nią o mnie?

- Jeżeli to robię, to tylko o czasach, gdy byliśmy mali. Ale nie wydaje mi się, żeby jeszcze lubiła nawet tamte historie.

Na autostradzie pojawiły się światła auta jadącego na północ, tak daleko od nas, że nie byłem w stanie rozróżnić poszczególnych lamp.

- Ten samochód dojedzie tu dopiero za dziesięć minut

- oznajmił. - Wciąż jest spory kawał stąd. Te drogi są długie i proste, odległości bywają mylące.

Ręka pulsowała mi z bólu w uścisku metalowej obręczy.

Krew nie docierała do palców, ale się nie skarżyłem. Rozmasowałem je, póki mrowienie nie ustąpiło.

- Czego tak naprawdę ode mnie chcesz? - spytałem, ale Orson tylko wpatrywał się w te przybliżające się światła, jakbym

w ogóle się nie odezwał. - Orson - powiedziałem. - Czego ty...

- Mówiłem ci pierwszego dnia. Udzielam ci nauk.

- Uważasz, że czytanie przez cały dzień cholernych nudnych książek stanowi naukę?

Spojrzał mi prosto w oczy.

- Książki nie mają tu nic do rzeczy. Z pewnością do tej pory już to pojąłeś.

Uruchomił silnik i potoczyliśmy się w stronę autostrady.

W ciemności, gdyż na niebie nie pozostał nawet ślad światła, przejechaliśmy przez asfalt i zatrzymaliśmy się na poboczu. Patrzyłem przez przednią szybę na światła drugiego auta, które po raz pierwszy zdawały się przybliżać. Zdezorientowany popatrzyłem na Orsona.

- Nie ruszaj się - powiedział. Zatrzymał wóz, otworzył drzwi i wysiadł. Wyjął z kieszeni białą chusteczkę do nosa i przywiązał ją do anteny. Potem zatrzasnął drzwi i wetknął głowę przez otwarte okno. - Andy - pogroził mi. - Ani słowa.

Przysiadł na skraju maski, krzyżując ręce na piersi. Podniosłem szybę i starałem się uspokoić własne obawy, ale mogłem się

89-
tylko gapić przed siebie, modląc się, żeby samochód nas minął. Po chwili usłyszałem jego silnik.

Potem światła pojawiły się tuż obok nas.

Minął nas rozpędzony minivan. W lusterku zobaczyłem, jak rozbłyskują jego światła hamowania. Van zawrócił, tocząc się ku nam pomалу, i zahamował po przeciwnej stronie. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i pojawiło się światło pochodzące z wnętrza auta. „Dzieci na tylnym siedzeniu”. Mężczyzna w naszym wieku wysiadł, powiedział coś do żony i pewnym krokiem ruszył w kierunku Orsona. Jego dzieci przyglądały się przez przyciemnione szyby.

Mężczyzna miał na sobie szorty khaki, mokasyny i czerwoną koszulkę polo z krótkim rękawem. Wyglądał jak prawnik zabierający rodzinę na wakacje za miasto.

- Kłopot z samochodem? - zapytał, przecinając żółtą linię i zatrzymując się na wyciągnięcie ręki.

Mój brat uśmiechnął się.

- Tak, przydałby się olej.

Przez przednią szybę dostrzegłem kolejną parę świateł sunących na północ.

- Czy mogę pana podwieźć albo pożyczyć komórkę? - zaproponował mężczyzna.

- Właściwie ktoś już po nas jedzie - odparł Orson. - Nie chciałbym sprawiać panu kłopotu.

„Dzięki ci, Boże”.

- No cóż, chciałem tylko zaproponować pomoc. Kiepskie miejsce na awarię.

- Rzeczywiście. - Orson wyciągnął rękę. - Tak czy owak, dziękuję.

Mężczyzna uśmiechnął się i uścisnął dłoń mojego brata.

- No to chyba pojedę dalej. Mam nadzieję zdążyć do Yellowstone przed północą. Dzieciaki dostały bzika na punkcie tego przekłętego gejzera.

90-

- Bezpiecznej drogi - powiedział Orson.

Mężczyzna wrócił na drugą stronę drogi i na powrót wspiął się do swojego vana. Mój brat pomachał do dzieciaków na tylnym siedzeniu, a one zachichotały i zadowolone pokiwały mu w odpowiedzi. Gdy van odjechał, widziałem w bocznym lusterku, jak jego tylne światła zaczynają zanikać.

Następny samochód był już teraz blisko. Zwolnił, zanim nas minął, po czym zahamował na poboczu po naszej stronie drogi, zatrzymując się zaledwie dziesięć stóp od przedniego zderzaka buicka Orsona. Zza kierownicy czarnego forda pikapa - jednego z ogromnych nowych modeli z szeregiem oślepiających dalekosiężnych reflektorów zamontowanych nad szoferką - wyskoczył potężny mężczyzna z okazałym brzuchem piwosza. Zostawił furgonetkę na biegu, a jej przednie światła wypalały mi oczy. Jakaś ballada country ryczała z głośników, a kiedy kierowca szedł chwiejnym krokiem w kierunku Orsona, mogłem poznać, że jest pijany. Dwaj inni mężczyźni wygramolili się na zewnątrz od strony pasażera i także podchodzili do mego brata.

- Witam, panowie - odezwał się Orson, gdy go otoczyli.

Każdy z mężczyzn delektował się porcją tytoniu do żucia upchniętą między zębami a dolną wargą. Dwaj pasażerowie nosili kowbojskie kapelusze, a kierowca trzymał sfatygowaną czapkę drużyny Redskins; długie włosy, splątane i tłuste, opadały mu na twarz.

- Coś nie w porządku z wozem? - zapytał kierowca. Splunął na drogę, otarł sobie usta wierzchem dłoni, a rękę wytarł w czarny podkoszulek z niebiesko-srebrnym emblematem Forda na przedzie. Minęło nieco czasu, odkąd ostatnio się golił.

- Nie wiem - odpowiedział Orson. - Miałem nadzieję, że zatrzyma się ktoś, kto zna się co nieco na mechanice.

Dwaj pasażerowie zanieśli się pijackim śmiechem, a kierowca łypnął na nich i też się uśmiechnął. Ich zęby było szaropomarańczowe z powodu nadmiernego upodobania do tytoniu, ale 91-

pomijając niedostatki męskiej higieny, żaden z nich nie wyglądał na więcej niż trzydzieści lat.

- Skąd jesteś, chłopstasiu? - spytał jeden z pasażerów.

Orson otaksował wzrokiem wysokiego, chudego mężczyznę po lewej i uśmiechnął się.

- Z Missouri.

- Daleko od domu, co nie? - skwitował tamten, po czym pociągnął łyk piwa z puszki.

- Tak, rzeczywiście - odparł Orson. - I byłbym wdzięczny za pomoc.

- To cię może coś kosztować - powiedział kierowca. - To cię może kosztować całkiem sporo. - Znów obejrzał się na koleż-

ków i wszyscy się zaśmiali.

- Nie chcę żadnych kłopotów.

- Ile masz forsy? - zapytał barczysty mężczyzna stojący pośrodku. Z ciemnymi krzaczastymi bokobrodami i owłosionym brzuchem, widocznym między czarnymi dżinsami a poplamioną tłuszczem białą koszulką, wydawał się tak obrzydliwie zaniedbany, że w wyobraźni niemal czułem jego smród przez przednią szybę.

- Nie wiem - stwierdził Orson. - Będę musiał iść po portfel i zobaczyć.

Orson ostrożnie wyminął kierowcę i skierował się do bagażnika, uśmiechając się i mrugając do mnie, gdy mijał moje okno.

Usłyszałem odgłos otwieranego bagażnika, a następnie szelest plastikowej folii.

Kierowca przyłapał mnie na tym, że przypatruję mu się przez przednią szybę.

- Na co się, do cholery, gapisz, chłoptasiu? - powiedział.

Orson ponownie minął moje drzwi i zatrzymał się po prawej stronie maski.

Trzej mężczyźni spoglądali na niego podejrzliwie, chociaż byli zbyt pijani, by zauważyć, że teraz ma na sobie czarne rękawiczki.

92-

- Twój przyjaciel dostanie łomot, jeśli dalej będzie się tak na mnie gapił.

- Jest nieszkodliwy - odparł Orson. - Słuchajcie, mogę wam dać dwadzieścia dolarów. Czy to wystarczy?

Oślupiały kierowca zmiażdżył go wzrokiem.

- Pokaż no portfel - odezwał się w końcu.

- Dlaczego?

- Kurwa mać, powiedziałem, daj mi swój portfel.

Orson zawahał się.

- Głupi jesteś, chłopcze? Chcesz dostać po dupie?

- Słuchajcie, chłopcy, mówiłem, że nie chcę żadnych kłopotów.

Orson pozwalał, by jego głos emanował strachem.

- No to wyskakuj z forsy, tępy gnojku - rzucił otyły środkowy pasażer. - Potrzeba nam więcej piwa.

- Naprawicie mój samochód?

Mężczyźni wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Mam więcej niż dwadzieścia dolarów - Orson błagał.

- Przynajmniej zajrzyjcie pod maskę i zobaczcie, co się popsuło.

Orson przeszedł na przód buicka. Sięgając przez atrapę, pociągnął za dźwignię i podniósł potężną maskę. Potem wrócił tam, gdzie stał wcześniej - po prawej stronie auta, obok mnie.

Nie widziałem teraz niczego prócz brata, wciąż rozmawiającego z mężczyznami.

- Tylko rzućcie okiem - nalegał Orson. - No, chłopcy, jeżeli znacie się chociaż trochę na samochodach...

- Znam się na samochodach - odpowiedział głos. - Durny

miastowy dupek. Gówno wiesz o czymkolwiek, co nie?

Buick skrzypnął i osiadł, jakby ktoś przykleknął na zderzaku.

- Sprawdź chłodnicę - odpowiedział Orson. - Coś sprawia, że silnik się przegrzewa.

Samochód znów się zakoleł.

93-

- Nie, w środku - ciągnął Orson. - Coś się chyba stopiło.

Musisz przysunąć się bliżej, żeby zobaczyć. Odsuńcie się, chłopcy. Zasłaniacie mu światło.

Stłumiony głos powiedział:

- Nie wiem co, do cholery...

Orson raptownie zatrzasnął maskę. Dwaj pasażerowie wrzasnęli i odskoczyli z przerażeniem. Krople krwi trysnęły na przednią szybę. Orson podniósł maskę i grzmotnął nią jeszcze raz. Kierowca na moment rozpląszczył się na aucie, plamiąc szybę krwią, gdy osuwał się na ziemię.

- Dawaj dubeltówkę! - krzyknął grubas, ale nikt się nie poruszył.

- Tym się nie martwicie, chłopcy - Orson odezwał się takim samym nieśmiałym głosem. - Ja mam broń. - Wycelował swój rewolwer w dwóch mężczyzn. - Mam nadzieję, że nie jesteście zbyt naprani, żeby nie wiedzieć, co to jest. Ty - zwrócił się do szczupłego - podnieś głowę kumpla. - Tamten upuścił puszkę z piwem. - No dalej, nie ugryzie cię. - Mężczyzna podniósł głowę, leżącą na ziemi, za długie brudne włosy. - Tędy, chłopcy - polecił Orson. - Przejdźcie z boku auta. O tak.

Mężczyźni minęli drzwi od strony kierowcy, a Orson przeszedł obok moich. Odwróciłem się, żeby wyrzeć przez tylną szybę, ale kłapa bagażnika była uniesiona. Orson wcale go nie zamykał.

- Przepraszamy za ten portfel...

- Do środka - rozkazał Orson. Samochód nie drgnął. - Czy mam wam obu przestrzelić rzepki i sam was tam zawlec? Wolałbym raczej, żebyście nie zakrwawili całego auta, jeżeli da się tego uniknąć. - Kiedy rozległ się odgłos odciąganej kurka, samochód nagle zatrząsł się, bo mężczyźni niezdarnie gramolili się do bagażnika.

- Głupi, głupi chłopcy - powiedział Orson. - Byłoby dla was lepiej, gdybyście wszyscy trzej zajrzeli pod tę maskę. - Zamknął bagażnik.

94-

Orson ruszył w kierunku furgonetki, a ja usłyszałem, jak chłopaki zaczynają chlipać. Później wrzeszczeli, walili i kopali wewnątrz bagażnika. Gdy Orson wszedł do auta i wyłączył światła, dotarła do mnie nużąco powolna ballada wciąż rozlegająca się z czarnego forda; solo na gitarze hawajskiej z pobrzękiem rozlewało się po pustyni. Dopiero gdy moje oczy na nowo przywykły do ciemności, muzyka ucichła.

Drzwi kierowcy w buicku otworzyły się i Orson sięgnął na tylne siedzenie, wyjmując kantówkę i zwój sznura. Zamknął drzwi i powiedział:

- Jeżeli nie przestaną, powiedz im, że ich zabijesz.
- Spójrz. - Wskazałem na drogę i parę przednich świateł, które właśnie się pokazały.

Orson odwiązał chusteczkę z anteny i pobiegł z powrotem do furgonetki. Ponownie wsiadł do szoferki, włączył bieg i pozwolił jej się potoczyć kilka stóp, zanim skierowała się wprost na wschód, w środek pustkowia.

Przez parę chwil Orson pracował przy czymś wewnątrz szoferki. Mężczyźni nadal skamleli; upojenie alkoholem potęgowało ich lęk, sprawiając, że ich błagania były bardziej rozpaczliwe. Nie odzywałem się do nich ani słowem, a światła wciąż się zbliżały.

Ford popędził w głąb pustyni. Obserwowałem go przez przednią szybę, a dalej przez okna po stronie kierowcy. Po dziesięciu sekundach skrył się w nocnym mroku. Orson biegiem wrócił do samochodu, zadyszany. Podniósł kciuki do góry, pokazując mi, że wszystko gra, i przeciągnął martwego kierowcę na tył buicka. Po chwili pojawił się przy moim oknie.

- Potrzebna mi twoja pomoc - oznajmił, otwierając drzwi. Zdjął mi kajdanki i wręczył kluczyki od samochodu. Gdy szliśmy na tył buicka, słyszałem już w oddali zbliżający się wóz i widziałem tylne światła furgonetki, która nie całkiem jeszcze zniknęła -jarzące się czerwone oko gasnące w ciemności. Myślnami wracałem do tamtej szczęśliwej rodziny. „Pozwoliliśmy im 95-

odjechać. Pozwoliliśmy im odjechać". Spojrzałem w dół, ale na buicku wciąż jeszcze nie było tablic rejestracyjnych.

Orson wskazał na kierowcę leżącego na ziemi i powiedział:

- Kiedy ci powiem, otworzysz bagażnik i wrzucisz go tam. Możesz to zrobić?

Przytaknąłem.

- Panowie! - zawołał Orson. - Kłapa jest otwarta, ale będę celował w was z rewolweru. Któryś choćby piśnie, a zacznę strzelać.

Orson spojrzał na mnie i dał znak skinieniem głowy. Otworzyłem bagażnik, nie patrząc na mężczyzn we wnętrzu ani na zwłoki, które miałem podnieść. Dźwignąwszy kierowcę z ziemi, zrzuciłem jego bezwładne, ciężkie, bezgłowe cielsko na dwóch mężczyzn. Następnie zatrzasnąłem kłapę i z powrotem wsiedliśmy do auta.

Orson uruchomił buicka po tym, jak minął nas przejeżdżający samochód. Zapaliły się światła w aucie, a ja stęknąłem, gdy spojrzałem na swój brązowy kombinezon przesiąknięty krwią, która zbierała się i sączyła w dół przez szorstką tkaninę aż do moich butów. Wrzasnąłem na Orsona, żeby zatrzymał samochód. Chwiejnie wygramoliłem się na zewnątrz, upadłem na kolana i turlałem się po ziemi, szorując ręce piachem, aż krew zbiła się w grudki.

Z wnętrza auta dobiegł mnie głos Orsona. Mój brat walił ręką w kierownicę, a jego tubalny śmiech grzmiał w nocnym powietrzu.

Rozdział 12

Gdy wracaliśmy do chaty, mężczyźni nie przestawali tłuc o wnętrze bagażnika. Orson delectował się ich hałaśliwym strachem. Ilekroć wrzasnęli, przedrzeźniał i naśladował ich głosy, często prześcigając ich w błaganiach.

Wpatrując się w zakurzoną drogę oświetloną reflektorami samochodu, spytałem Orsona, co zrobił z furgonetką. Uśmiechnął się szeroko.

- Umocowałem kierownicę sznurem, więc pikap będzie jechać prosto, a tamtą deskę wetknąłem między przednie siedzenie i pedał gazu. - Orson zerknął na swój luminescencyjny zegarek. - Przez najbliższe pół godziny przejedzie dwadzieścia pięć mil po pustkowiu. Później dotrze do gór i tam stanie, chyba że po drodze walnie w jelenia. Ale musiałyby to być naprawdę spory samiec, żeby zatrzymać to monstrum na kółkach. W końcu ktoś go znajdzie. Może za parę dni, może za kilka tygodni. Ale wtedy to już nie będzie miało znaczenia, bo ci chłopcy będą wachać pustynne kwiatki od spodu. Miejscowi stróże prawa zapewne dowiedzą się, skąd przyjechali i dokąd zmierzali. Zdadzą sobie sprawę, że coś zaszło tam na drodze, ale co z tego? Jutro po raz pierwszy od tygodni spadnie deszcz i zmyje z szosy całą krew. Tylko dwa samochody nas widziały i oba miały oznaczenia spoza stanu, zatem tylko przejeżdżały. To będzie nierozwiązana sprawa zaginięcia, a sądząc po chamskim 97-

usposobieniu tych młodzieńców, szczerze wątpię, żeby ktokolwiek się tym przejął.

Dojechalśmy, a Orson zatrzymał auto obok szopy. Kiedy wysiedliśmy, zawołał mnie. Stojąc przed maską buicka, podniósł ją i skinął na mnie, żebym zajrzał do środka. Reflektory zamocowane na szopie oświetliły metalową jamę, w którą spojrzałem.

- Że co? - spytałem, wpatrując się w porzewiały silnik.

- Też ci się spodoba. Patrz. - Kilka cali od krawędzi maski, od spodu, przyspawany był kawałek metalu długi na trzy stopy.

- To stare ostrze kosiarki do trawy - wyjaśnił Orson. - Ostre jak brzytwa. Zwłaszcza pośrodku. Gdyby jego głowa znalazła się odrobinę dalej na prawo, odpadłaby czysto za pierwszym zatrzaśnięciem.

Ostrożnie dotknąłem ostrza palcem wskazującym. Było ostre i zabrudzone krwią, która zachlapała też cały silnik.

- Robiłeś już wcześniej tę sztuczkę z maską? - zapytałem.

- Sporadycznie.

Jeden z mężczyzn wrzasnął z wnętrza bagażnika:

- Wypuść mnie, skurwysynu!

Orson zaśmiał się.

- Skoro tak grzecznie poprosił. Idź, otwórz. - Rzucił mi kluczyki. - Słyszycie, chłopcy? - krzyknął, mierząc w stronę bagażnika. - Otwieram. Ani drgnijcie.

Podniosłem klapę, a Orson stał z bronią wycelowaną w mężczyzn. Gdy się odsunąłem, szepnął:

- Idź po kajdanki.

Zerknąłem do środka wyłożonego folią bagażnika - makabryczne widowisko. Kierowca został wciśnięty w głąb przestronnego kufra, ale zanim to się stało, jego krew wsiąkała w jego towarzyszy. Spoglądali na mnie, gdy przechodziłem obok; ich oczy błagały o zmiłowanie, którego ja nie mogłem im ofiarować. Chwyciłem kajdanki z podłogi przy siedzeniu pasażera i wróciłem do Orsona.

98-

- Rzuć im kajdanki - polecił. - Chłopcy, skujcie się razem.

- Wal się - odwarknął barczysty.

Orson odciągnął kurek i przestrzelił mu nogę. Gdy tamten wył i wyrzaskiwał przekleństwa, Orson skierował broń na drugiego mężczyznę.

- Poproszę o imię - powiedział.

-Jeff.

Mężczyzna dygotał, zasłaniając twarz dłońmi, jakby mogły zatrzymać kule. Jego przyjaciel jęczał i skowyczał przez zęby, zaciskając ręce na udzie.

- Jeff - zaczął Orson. - Sugeruję, żebyś przejął inicjatywę i przykuł się do kumpla.

- Tak, proszę pana - odparł Jeff, a kiedy przykuwał własną dłoń, Orson odezwał się do rannego mężczyzny, który teraz zaciskał zęby, usiłując nie krzyknąć.

- Jak się nazywasz? - zapytał Orson.

Mężczyzna odpowiedział przez zaciśnięte zęby:

- Wilbur.

- Wilbur, wiem, że odczuwasz potworny ból, i żałuję, że nie mogę ci powiedzieć, iż wkrótce będzie po wszystkim. Ale nie będzie. - Orson czule poklepał go po ramieniu. - Ja tylko chciałem cię zapewnić, że ta noc dopiero się zaczęła i im bardziej będziesz mi się stawiał, tym gorzej na tym wyjdiesz.

Kiedy Jeff i Wilbur byli już skuci, Orson rozkazał im wyjść.

Wilbur miał kłopot z poruszaniem nogą, mój brat polecił mi więc wywlec go z bagażnika. Wilbur wrzasnął, gdy wyciągnąłem go na ziemię, a Jeff upadł na niego, miażdżąc mu zranione udo. Porzuciwszy swoje kowbojskie kapelusze w bagażniku, obaj mężczyźni pomału stanęli na nogi. Orson poprowadził ich w kierunku tylnej ściany szopy. Kiedy otworzył drzwi, powiedział, żebym zawinął kierowcę w plastikową folię i usunął go z bagażnika.

- Nie podniosę go w pojedynkę - odparłem. - Krew się wszędzie rozchlapie.

99-

- No to tylko go zamknij. Ale musimy go wydostać, zanim zacznie cuchnąć.

Cofnąłem się do samochodu i zamknąłem klapę. Wracając do szopy, poczułem, jak kluczyki podzwaniają mi w kieszeni. Wpatrując się w brązowe auto, kryjące się za światłem reflektorów, pomyślałem: „Mógłbyś odjechać. W tej chwili. Wsiadaj do wozu, przekręć kluczyk i wyjedź z powrotem na autostradę.

Pewnie jest tam jakieś miasteczko, może ze trzydzieści czy czterdzieści mil stąd. Znajdziesz posterunek policji, sprowadzisz tu kogoś. Być może ich ocalisz". Wsunąwszy rękę do kieszeni, wetknąłem palec w kółko przy kluczykach. Przez sosnową ścianę przeniknął głos Orsona, ubliżającego jęczącemu człowiekowi w szopie.

„Jedź". Ruszyłem w stronę siedzenia kierowcy. „Cholera". Maską była nadal podniesiona, opuściłem ją więc ostrożnie, aż zamknęła się z cichym metalicznym trzaskiem, którego Orson mógł nie usłyszeć z wnętrza szopy. Mocno ściskając kluczyk między kciukiem a palcem wskazującym, trzęsącymi się rękoma otworzyłem drzwi samochodu i usiadłem na siedzeniu kierowcy. „Kluczyk do stacyjki. Sprawdź hamulec ręczny. Nie zatrzasuj drzwi, dopóki nie ruszysz. Przekręć kluczyk. Przekręć kluczyk".

Coś zastukało w okno. Wzdrygając się, spojrzałem na Orsona, który stał przy drzwiach od strony pasażera, przez szybę celując mi w głowę z rewolweru.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? - zapytał.

- Już idę - odpowiedziałem. - Szedłem. - Wyjąłem kluczyki ze stacyjki i wysiadłem z auta. - Masz. - Rzuciłem mu kluczyki i ruszyłem w kierunku szopy.

„Nie zabijaj mnie. Proszę. Udawaj, że to się nie wydarzyło".

Zatrzymał mnie przy tylnych drzwiach.

- Zastanawiam się, czy cię nie zabić - oznajmił. - Ale masz teraz szansę, żeby mnie od tego odwieść. Idź pierwszy.

100-

Wszedł za mną do szopy i zamknął za nami drzwi na klucz; wcześniej już zdążył nałożyć mężczyznom obroże i osobno przykuć ich łańcuchami do słupa. „Już to widziałeś. Nie może być tak okropnie jak z Shirley. Nie może. Pozwoliliśmy rodzinie odjechać. Pozwoliliśmy rodzinie odjechać. Te dzieciaki zobaczą jutro gejzer Old Faithful. Tego się trzymaj".

Orson wyciągnął swój ręcznie wykonany nóż i włożył taśmę do kamery wideo, tkwiącej w kącie na czarnym trójnogu. Nie pamiętam, żebym widział kamerę w noc z Shirley.

Kiedy Orson zauważył, na co patrzę, odezwał się:

- Hej, muszę coś mieć, żeby się uwiecznić. - Przeszedł z nożem w rękę na środek pomieszczenia, podczas gdy Wilbur jęczał na podłodze.

- Jeff- odezwał się Orson. - Jesteś bystrzejszy niż ten twój krnąbrny przyjaciel. Znam cię dopiero od czterdziestu minut, ale to już jest oczywiste. - Obejrzał się na mnie i polecił: - Przyciągnij tu folię, Andy.

Podszedłem do kąta, gdzie czekały schludnie poskładane co najmniej dwa tuziny foliowych płacht. Na półce obok dostrzegłem kartonowe pudełko pełne świec wotywnych i zastanawiałem się, do czego Orson może ich używać.

- Słuchaj - powiedział Jeff - proszę, tylko posłuchaj...

- Daruj sobie, Jeff. To na nic. Normalnie poddałbym was obu

próbie, ale przez wasze maniery na drodze obaj automatycznie oblaliście. A więc skoro to ustaliliśmy, to wstańcie, panowie. Jeff wstał, ale Wilbur tylko się szamotał, próbując się podnieść. Na podłodze już pojawiła się niewielka plama krwi. Rozpostarłem folię w pobliżu słupa i mężczyźni usiedli. Zdezorientowany Jeff spoglądał na folię pod sobą.

- Jeff- mówił dalej Orson. - Jak długo znasz Wilbura?

- Całe życie.

- Zatem to może być dla ciebie trudna decyzja.

101-

Opierałem się o podwójne drzwi; Orson obejrzał się na mnie.

- Siadaj, Andy. Działasz mi na nerwy.

Gdy usiadłem na ogrodowym krzeselku, Orson odwrócił się z powrotem do Jeffa i pokazał mu nóż oraz rewolwer.

- Jeff, zła nowina jest taka, że tej nocy obaj umrzecie. Nieco lepsza wiadomość jest taka, że to ty zdecydujesz, komu się trafi łatwy sposób, a komu zabawny. Opcja A. Mój brat zastrzelił cię z tego magnum. Jeżeli wybierzesz broń, musisz zginać pierwszy. Opcja B. Wezmę ten cudowny nóż i wytnę ci serce, podczas gdy ty będziesz patrzył. - Orson uśmiechnął się. - Nie śpiesz się, przemyśl to.

Brat podszedł do mnie, gdy mężczyźni wpatrywali się jeden w drugiego, siedząc na folii - Jeff zapłakany, Wilbur na granicy utraty przytomności.

Orson nachylił się i wyszeptał mi do ucha:

- Którękolwiek z nich zastrzelisz, wyświadczysz mu łaskę.

Nic nie poczuje. Nawet nie zamierzam kazać ci patrzeć, co dziś w nocy zrobisz z tym nożem. Możesz wracać do domu i położyć się do łóżka.

Przeszedł na środek pomieszczenia i popatrzył na mężczyzn.

- Jeff, zadam ci pytanie...

Jeff szlochał.

- Czemu nie...

- Jeżeli następne słowa z twoich ust nie będą brzmiały: „zastrzelisz mnie” albo „zastrzelisz jego”, obu wam wykroję serca.

Decyduj.

- Zastrzel mnie - załkał Jeff, ściągając wargi i odsłaniając zepsute zęby.

Wilbur, wciąż trzymając się za nogę, łypnął na Orsona.

Mój brat przeszedł do tylnych drzwi i powiedział:

- Andy, przemyślałem to i zostawiam ci broń z tylko jedną kulą. Nie chciałbym, żebyś im obu wyświadczył przysługę.

- Opróżnił bębenek i ponownie załadował pojedynczy nabój.

102-

- Za uchem, Andy. Gdziekolwiek indziej, a możesz go nie zabić.

Będzie tylko leżał i cierpiał. - Orson położył broń na podłodze. - Z rozkoszą zostałbym i popatrzył, ale po tym incydencie z panną Tanner, cóż... Wróć, kiedy usłyszysz wystrzał. Nie próbuj niczego tak heroicznego jak niezastrzelenie go albo zniszczenie broni. Mam inne i musielibyśmy rozgrywać naszą małą gierkę

od nowa. Myślę, że stawka wzrosła, bo teraz masz sześćdziesiąt procent szans przeciwko sobie. A jeśli to cię nie przekonuje, pozwól, że ujmę to tak. Jeżeli cokolwiek pójdzie źle, ukarzę naszą matkę. Zatem... Zostawię cię z twoim zadaniem.

- Jeff. - Orson zasalutował mu nonszalancko. - To pierwszy raz mojego brata, więc znieś to jak mężczyzna. Nie skamlaj i nie błagaj, żeby do ciebie nie strzelał, bo jeszcze mógłbyś go przekonać, a wtedy musiałbyś umrzeć po mojemu. A daję ci słowo - dodał, uśmiechając się do Wilbura - że „po mojemu” to główniany sposób umierania. - Orson wyszedł i zamknął drzwi na zasuwę. Zostałem sam z moją ofiarą.

Wstałem i powlokłem się po broń; podniosłem ją i zabrałem z powrotem na krzesło. Sposób, w jaki Jeff na mnie patrzył, wydawał się czymś nierealnym. Nigdy dotąd nikt tak się mnie nie bał.

Usiadłem, żeby zebrać myśli. Dłonie pocily mi się na metalu. Jeff przyglądał się mnie, a ja jemu. Wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem - nasze oczy, które w innym miejscu czy czasie mogłyby być serdeczne lub obojętne, teraz były tylko posepnie wrogie. „To go uchroni przed torturami”.

Kiedy się podniosłem, nogi miałem jak z galarety, niczym w tych sennych koszmarach, gdy trzeba uciekać, ale kończyny odmawiają posłuszeństwa. Ruszyłem w stronę Jeffa. „To dla jego własnego dobra. Działaj profesjonalnie, chłodno i szybko”. Wilbur, nawet cierpiący, wyklinał mnie, ziewając cuchnącym oddechem. „Czy ty to robisz naprawdę?”

103-

- To kawał? - Jeff zaśmiał się sztucznie. - To fajny kawał.

Czy to nie fajny kawał, Wilbur? A teraz chodźmy. Musimy być u Charliego przed północą.

Unosząc broń prawą ręką, wyciągnąłem ją w kierunku Jeffa i usiłowałem wycelować, ale trzęsły mi się dłonie. Przysunąłem się więc bliżej, by pomimo drżenia mieć przynajmniej dobry widok na głowę Jeffa.

- Nie strzelaj mi w twarz - błagał, gdy łyzy na nowo wezbrały w jego oczach. Ukłakł i pochylił się do przodu jak muzułmanin modlący się z twarzą do ziemi w kierunku Mekki. Brudne jasne włosy opadały mu na oczy, prawą rękę miał wyciągniętą i wciąż przykutą do Wilbura. Dotknął skóry za uchem. - Tutaj - powiedział łamiącym się głosem. - Stań blisko, jeśli musisz.

„Nie zrobisz tego”.

Przybliżyłem się jeszcze o krok. Jego twarz znajdowała się teraz ledwie o cale od moich butów. Zacisnął pięści i jęknął, szykując się na śmierć. Obiema rękoma ustabilizowałem broń, a mój palec trafił na spust.

Nacisnąłem, lecz rozległ się tylko głuchy stuk.

Jeff ciężko dyszał.

- Przepraszam - powiedziałem, a gdy jego plecy unosiły się i opadały targane gwałtownym oddechem, cofnąłem się. Bębenek w Smith & Wesson .357 obraca się przeciwnie do ruchu

wskazówek zegara. Orson załadował komorę odpowiadającą jedenastej zamiast drugiej. „Zrobiłeś to celowo, draniu”. Wsunąłem nabój do właściwej komory, przytknąłem lufę za uchem Jeffa i nacisnąłem spust.

Zwiotczał i upadł na lewy bok. Nie usłyszałem huku wystrzału ani nie czułem, jak poruszył się mój palec, ale na folię trysnął strumień ciemnej krwi. W ciągu pięciu sekund otoczył głowę i szyję Jeffa karmazynową aureolą, odbijającą na czerwono światło żarówki. Widziałem jego prawe oko, otwarte, lecz puste, bez śladu duszy czy woli. Kiedy kałuża sięgnęła na drugą połowę

104-
płachty, Wilbur szarpnął się do tyłu, wlokąc za sobą ciało Jeffa i wykrzykując jego imię. „Nie analizuj tej chwili. Nie zniósłbyś tego”.

Tylne drzwi otworzyły się i wszedł Orson. Na jego twarzy pojawił się wyraz zachwytu, gdy spoglądał na płachtę. Wyjął z kieszeni polaroida i sfotografował mnie spoglądającego w dół - na Jeffa.

- Ta chwila... - zaczął, ale nie dokończył myśli. Jego oczy błyszczały radością. - Mój Boże, Andy. - Podszedł i wyjął mi broń z rąk. Obejmując mnie ze łzami w oczach, poklepał po plecach. - To jest miłość, Wilbur. Najprawdziwsza. - Orson puścił mnie i otarł sobie oczy. - Teraz możesz iść, jeśli chcesz, Andy - oznajmił. - Będziesz mile widziany, jeśli zostaniesz, ale wiem, że zapewne nie zechcesz tego oglądać. Nie będę cię zmuszał. Gdy Orson patrzył na Wilbura, dostrzegałem, że jego umysł odrywa się od tego, co właśnie zrobiłem. Górę wzięło zaaferowanie następną ofiarą, a jego oczy błyszczały jak u drapieżnika skupionego na celu. Przeszedł na drugą stronę pomieszczenia i wrócił z oselką. Następnie usiadł na betonie i zaczął przesuwac ostrzem noża po kamieniu, przywracając mu ostrość brzytwy, jaką miał przed wypatroszeniem Shirley Tanner. „Zabiłeś ludzką istotę. Nie, przestań. Przestań myśleć”.

- Zostajesz czy wychodzisz? - zapytał, podnosząc na mnie wzrok.

- Wychodzę - odpowiedziałem, patrząc, jak Wilbur obserwuje nóż, zgrzytający na oselce, a szykowany dla niego. Zastanawiałem się, czy Orson wygłosi swoją przemowę o nożu, gdy już pójdę.

Orson odłożył narzędzie na podłogę i odprowadził mnie do drzwi. Kiedy je otworzył, z radością wyszedłem na zewnątrz. Wilbur wyciągał szyję, żeby wyjrzeć na pustynię, a Orson to zauważył.

- Coś cię tam zainteresowało, Wilbur? - zapytał, obracając się na progu. - Cóż, popatrz sobie. - Dobrze się napatrz na to

105-
nocne niebo, gwiazdy i księżyc, bo już nigdy więcej ich nie zobaczysz. Nigdy.

Lodowate spojrzenie Orsona przeniosło się z powrotem na mnie.

- Zobaczymy się rano, bracie.

Zatrzasnął mi drzwi przed nosem i zamknął je na klucz.
Powlokłem się w stronę chaty. Słaby odgłos ostrza na osetce
przenikał przez ściany szopy.

Przedemną czarna bryła chaty rozpierała się na tle grana-
towego nieba. Pustkowie w świetle księżyca znowu stało się
niebieskie. Pomyślałem o moim cichym pokoiku w chacie. Tej
nocy będę spał. To osłabiające odrętwienie stało się moim kołem
ratunkowym.

Gdy wszedłem na ganek i sięgnąłem do klamki, pierwszy
krzyk wydostał się z szopy i rozdarł łagodną noc. Nie potrafiłem
sobie wyobrazić bólu, który to spowodował, a kiedy już wsze-
dłem do środka i zamknąłem za sobą drzwi, modliłem się, żeby
ściany chaty stłumiły odgłosy dzieła Orsona tak, by nie docierały
do moich uszu.

Rozdział 13

Jedenastego dnia nie opuszczałem pokoju. Orson zajrzał po
południu. Ja jednak nie spałem. Byłem przytomny już od brzasku.
Przyniósł mi kanapkę z szynką oraz kieliszek porto i postawił je
na nocnym stoliku. Leżałem na boku, twarzą do niego, wpatrując
się w pustkę. Przygnębienie, które zawsze dopadało go po za-
bójstwie, było wyraźnie widoczne w jego opuchniętych oczach
i przygaszonym głosie.

- Andy - odezwał się, lecz ja mu nie odpowiedziałem. - To
część tego wszystkiego. Depresja. Ale jesteś na to przygotowa-
ny. - Przykucnął i spojrzał mi w oczy. - Mogę ci pomóc przez to
przejść.

Krople deszczu zabębniły o blaszany dach. Musiałbym pod-
nieść się z łóżka, żeby wyrzeć na zewnątrz, ale światła, które
nieśmiało przesączało się przez kraty w oknie, daleko było do
jaskrawości popołudnia na pustyni. Łagodne i szare, kryło się po
kątach. Terpentynowa woń mokrej bylicy przesycala powietrze
na pustyni i w moim pokoju.

- Teraz z tobą skończyłem - oznajmił. - Możesz jechać do
domu.

Przebiegł mnie prąd wywołany nadzieją. Odszukałem spoj-
rzeniem jego oczy.

- Kiedy?

- Spakuj się dzisiaj, wyjedziesz jutro.

107-

Usiadłem na łóżku i postawiłem sobie talerz na kolanach.

- Lepiej się czujesz?

Odgryzłem kęs kanapki z wędzoną szynką i twierdząco ski-
nąłem głową.

- Tak myślałem - powiedział, podchodząc do drzwi. Gdy
je otworzył, chłodny powiew wdarł się do pokoju. - Zamykam
drzwi na klucz. Obiad przyniosę ci później. Proszę jedynie o to,
żebyś był spakowany, zanim zaśniesz dziś w nocy.

Kiedy sobie poszedł, zamknąłem oczy i zobaczyłem jezioro
Norman - komary brzęczące tuż nad powierzchnią, bladonie-
bieskie niebo odbijające się w spokojnej wodzie. Znów mogłem

poczuć zapach sosen i żywej, pełnej życia ziemi. Nawoływania przedrzeźniaczy, naśladowujących inne ptaki, oraz śmiech dzieci odbijające się echem na drugim brzegu jeziora wypełniły martwe powietrze w chacie. Wszystko to mogłem zmienić w sen. „Jeszcze nie jestem w domu”. Moje powieki podniosły się znowu na dźwięk ponurej rzeczywistości - odgłos kroków Orsona kręcącego się po chacie i deszcz zalewający pustkowie.

Dzień 11

Powiedziałbym, że zbliża się północ. Leje tak, jak przez cały dzień. Burzowe chmury przesłoniły księżyc, pustynia jest więc niewidoczna - poza chwilami, gdy błyskawica przecina niebo. Ale pojawia się bez grzmotu. Serce burzy znajduje się o całe mile stąd.

Mój marynarski worek jest spakowany. Sądzę, że Orson czeka, aż zasną. W ciągu ostatniej godziny kilkakrotnie słyszałem, że jego kroki zbliżają się do moich drzwi i zatrzymują, jakby nasłuchiwał mojego poruszenia. Trochę mnie to niepokoi, zwłaszcza że był dzisiaj taki uprzejmy. Choć to dziwne, ufam mu. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale nie wydaje mi się, żeby mnie skrzywdził, szczególnie po zeszłej nocy. To go naprawdę poruszyło.

108-

Mam nadzieję, że to ostatni wpis, jaki kiedykolwiek zanotuję w tej chacie. Zapisując te stronicie, zachowałem w jakimś stopniu zdrowe zmysły i autonomię, ale nie spisałem wszystkiego, co się tutaj wydarzyło. Powód jest taki, że pragnę zapomnieć. Niektórzy ludzie znajdują w sobie dosyć tchórzostwa, by utracić całe lata dzieciństwa. Spychają przykre sprawy do podświadomości, tak że z czasem zżera ich to pomału, od środka, drobnymi, bezbolesnymi ukąszeniami.

Taka koncepcja stłumienia to mój wzór. Pragnę zapomnieć wydarzenia nie do opisania, rozgrywające się w trakcie minionych jedenastu dni. Z ochotą zapłacę cenę w postaci okresów depresji, wściekłości i zaprzeczania, którym przeznaczony jest nękać mnie w ciągu nadchodzących lat. Nic nie może być bardziej niszczące niż rzeczywiste wspomnienia tego, co ujrzałem i zrobiłem.

Napisałem swoje nazwisko u dołu notatki i trzykrotnie złożyłem kartkę z notesu. Następnie podszedłem do worka i wepchnąłem ją między brudne ubrania wraz z innymi zapiskami, które zachowałem. Zgasilem lampę na nocnym stoliku i wślizgnąłem się pod koc. Bębnienie deszczu o blaszany dach działało skuteczniej niż fiołka pigulek nasennych, kołyszając mnie do snu.

#

Błyskawica rozdarła ciemność i zobaczyłem białka oczu Orsona. Stał w moim pokoju, ociekając wodą. Kiedy niebo znowu ogarnęła czerń, moje tętno przyśpieszyło i usiadłem na łóżku.

- Orson, przerażasz mnie. - Mój głos przebił się przez po-brzękiwanie kropel o dach.

- Nie bój się - powiedział. - Przyszedłem zrobić ci zastrzyk.

- Z czego?

109-

- Z czegoś, co pomoże ci zasnąć. Jak to, które dostałeś w motelu.

- Jak długo tu stoisz?

- Niedługo. Przyglądałem ci się, gdy spałeś, Andy.

- Czy mógłbyś zapalić światło? Proszę.

- Wyłączyłem generator.

Serce wciąż nie przestawało mi łomotać jak oszalałe, chwyciłem więc pudełko zapalek z nocnego stolika i zapaliłem lampę naftową. Gdy podkręciłem płomień, ściany nabrały ciepłej barwy, a strach w moim sercu zelżał.

Orson miał na sobie dzinsy i zielone poncho, zupełnie mokre.

- Muszę ci to podać - oświadczył, pokazując strzykawkę.

- Pora wyjeżdżać.

- Czy to naprawdę konieczne? - spytałem.

- Najzupełniej. - Podszedł o krok bliżej. - Podwiń rękaw.

Podciągnąwszy rękaw koszulki powyżej ramienia, odwróciłem głowę, gdy Orson dziabnął mnie igłą. Ból był ostry, ale przelotny i nawet nie poczułem wyjmowania igły. Kiedy ponownie spojrzałem na brata, pokój już się zamazywał, a moja głowa bezwolnie opadła z powrotem na poduszkę.

- Nie zostało ci teraz wiele czasu - powiedział Orson, gdy moje powieki same się zamykały. Jego głos zdawał się odległy jak grzmot burzy. - Kiedy się obudzisz, będziesz się znajdował w motelowym pokoju w Denver, bilet na samolot będzie leżał na komodzie, a magnum zamknięte w twoim worku. W tej chwili mogę ci powiedzieć, że mamie nic nie grozi, a dowody, jakie mam przeciwko tobie, znajdują się w bezpiecznym miejscu, w moim posiadaniu. Dotrzymałeś swojej części umowy. Ja dotrzymam swojej. Myślę, że ten etap mamy już za sobą, ale powiem to jeszcze raz. Nikomu nie mów, co robiłeś ani gdzie, jak ci się zdaje, byłeś. Ani słowa o mnie lub Shirley Tanner, albo o Wilburze i chłopakach. Przez cały czas odpoczywałeś na Arubie. I nie trać energii, wracając tutaj, żeby mnie szukać. Mogłeś

110-

wydedukować umiejscowienie tej chaty, ale zapewniam cię, że opuszczę to miejsce razem z tobą.

W ciągu najbliższych miesięcy mogą się wydarzyć rzeczy, których nie zrozumiesz, o których nigdy by ci się nie śniło. Ale, Andy, nigdy nie zapominaj o jednym: wszystko, co się dzieje, dzieje się z jakiegoś powodu i to ja będę miał ten powód pod kontrolą. Nigdy w to nie wątp. Zobaczysz mnie znowu, chociaż upłynie trochę czasu. Do tej pory żyj swoim życiem. Dopadnie cię poczucie winy, lecz musisz je pokonać. Pisz swoje książki, ciesz się sukcesem, tylko zachowaj mnie w myślach.

Jego twarz była rozmazana, jednak zdawało mi się, że widzę uśmiech. Bębnienie deszczu przycichło i nawet głos Orsona, jego elokwentny, łagodny szept, stał się ledwie zrozumiały.

- Prawie odpłynąłeś - powiedział. - Widzę, że masz oczy jak szparki. Chcę ci coś zostawić, skoro się żegnamy, a ty wpadasz

w tę błogą nieświadomość. Wiem, że lubisz poezję. Studio-
wałeś Frosta na pierwszym roku naszego college'u. Wtedy go
nie znosiłem; teraz go uwielbiam. Zwłaszcza jeden konkretny
wiersz. Ciekawe jest w nim to, że każdy sądzi, iż on się odnosi
właśnie do niego. Jest recytowany na zakończenie szkoły i dru-
kowany w rocznikach, więc choć wszyscy wybierają tę samą
drogę, mogą rościć sobie pretensje do wyjątkowości, skoro ko-
chają ten wiersz. Teraz już się zamknę i niech Bob ukołysze cię
do snu.

Powieki mi opadły i nie zdołałbym ich unieść, nawet gdybym
chciał. Głos Orsona dotarł do moich uszu i chociaż nie usły-
szałem już ostatniej zwrotki, poddając się mocy narkotyku, nie
mogłem oprzeć się myśli, że Droga niewybrana bez dwóch zdań
była jego drogą.

„Dwie drogi w żółtym lesie szły w dwie różne strony:

Żałując, że się nie da jechać dwiema naraz

I być jednym podróżnym, stałem, zapatrzony

111-

W głąb pierwszej z dróg, aż po jej zakręt oddalony,

Gdzie wzrok nikał w gęstych krzakach i konarach;

Potem ruszyłem drugą z nich, nie mniej ciekawą,

Może wartą wyboru z tej jednej przyczyny,

Że, rzadziej używana, zarastała trawą;

A jednak mogłem skrócić tak w lewo, jak w prawo:

Tu i tam takie same były koleiny,

Pełne liści, na których w tej porannej porze

Nie znaczyły się jeszcze śladów czarne smugi!"*.

"tłum. Stanisław Barańczak

Część II

Rozdział 14

Zdumiało mnie, że taki tłum wcisnął się do księgarni 9th Street Books, choć miała tyle wolnej przestrzeni co kawiarnia. Ta przedstawicielka wymierającego gatunku prywatnych księgarni wyglądała jak biblioteka w rezydencji. Chociaż zajmowała dwa piętra, druga kondygnacja służyła tylko jako przestrzeń magazynowa, podest zaś, zawieszony dziesięć stóp nad podłogą, obiegał księgarnię, umożliwiając dostęp do niekończących się półek ze stosami książek.

Zdjąłem okulary w złotych oprawkach i przygryzałem końcówkę zausznika, wsparty łokciami o drewniany pulpit, czytając ostatnie zdanie ze Spiekoty:

- „Sizzle skonał i trafił tam, gdzie jego miejsce, do piekła".

Dziękuję.

Kiedy zamknąłem książkę, tłum zareagował oklaskami.

Adrienne Phelps, właścicielka 9th Street Books, podniosła się z krzesła w pierwszym rzędzie.

- Już dwudziesta pierwsza - szepnęła, stukając palcem w zegarek.

Odszedłem od pulpitu, gdy drobna kobieta o wąskich ustach,

z kruczoczarnymi włosami i słodko złowrogą twarzą przysunęła sobie mikrofon do ust.

- Niestety, skończył nam się czas - oznajmiła zebranym.

- Z przodu znajduje się witryna z książkami pana Thomasa, a on 115-

był tak miły, że podpisał pięćdziesiąt egzemplarzy Spiekoty, więc także są na sprzedaż. Pożegnajmy go oklaskami.

Odwracając się do mnie z uśmiechem, zaczęła klaskać. Tłum się przyłączył i przez dziesięć sekund staccato owacji wypełniało starą księgarnię, ostatni przystanek mojej obejmującej dwanaście miast trasy promującej książkę w Stanach.

Gdy tłum wyległ z księgarni i rozproszył się na ulicy, moja agentka, Cynthia Mathis, podniosła się z krzesła i przeszła po podniszczonej drewnianej podłodze w moją stronę. Wyminąłem wielbiciela spragnionego autografu i dołączyłem do niej.

- Dziś wieczorem przeszedłeś sam siebie, Andy - powiedziała, gdy się objęliśmy.

Skropiona perfumami przywołującymi zapach bzu, Cynthia stanowiła ucieleśnienie wszelkich cech, jakie posiada każda nowojorska elegancka kobieta sukcesu. Mając pięćdziesiąt lat, nie wyglądała nawet na czterdzieści. Jej włosy, wpadające w mglistą szarość, były długie, a ona nosiła je ciasno zwinięte w kok z tyłu głowy. Muśnięcie różu rozjaśniało jej gładkie policzki, kontrastując z czernią kostiumu.

- Dobrze cię widzieć - odezwałem się, gdy się od siebie odsunęliśmy. Ostatnio widziałem Cynthię, zanim zacząłem Spiekotę, i dziwnie było znowu rozmawiać z nią osobiście.

- Zrobiłam nam rezerwację w „II Plazza” - powiedziała.

- Dzięki Bogu, bo umieram z głodu.

Jednak otaczało nas co najmniej pięćdziesiąt osób, czekających na indywidualną dedykację i kilka sekund pogawędki. Drzwi księgarni, wiodące do mojej kolacji, zdawały się odległe o całe mile, ale zganilem sam siebie, że przecież to właśnie uwielbiam, na to tak ciężko pracowałem. A zatem przykleiłem do twarzy uprzejmy uśmiech, wziąłem głęboki wdech i ruszyłem w stronę oczekującego tłumu, licząc na to, że jego zainteresowanie nie potrwa długo.

116-

#

Wysoki włoski sommelier wręczył mi korek z rubinową plamą. Wyczułem aromat wilgotnej końcówki korka, gdy sommelier nalewał mi wino. Zakołysałem kieliszkiem, upiłem łyk, a kiedy ponownie skinałem głową, napełnił oba kieliszki ciemnobursztynowym Latour, które czekało na ten moment przez czternaście lat.

Kiedy sommelier odszedł, zjawił się nasz kelner, który z intrygującymi szczegółami opisał nam kilka potraw. Potem zostawił dwie burgundowe karty dań. Przedzierając się przez włoskie nazwy, sączyłem aksamitne wino i rozmyślałem o fioletowych winogronach dojrzewających na francuskiej wsi oraz o podziem-

nych piwniczkach.

Światła śródmieścia tworzyły łagodną, pełną blasku atmosferę „II Piazza”. Restauracja, mieszcząca się na trzydziestej piątej kondygnacji Parker-Lewis Building, zajmowała róg drapacza chmur, więc najlepsze stoliki znajdowały się wzdłuż dwóch ścian z oknami wychodzącymi na miasto. Siedzieliśmy przy jednym z tych stolików oświetlonych blaskiem świec, a ja wpatrywałem się w wody East River daleko pod nami, sunące pod Mostem Brooklyńskim. Śledziłem wzrokiem światła barki mozolnie płynącej w górę rzeki na przekór prądowi czarnej wody.

- Wyglądasz na zmęczonego - powiedziała Cynthia.

Podniosłem wzrok.

- Zwykle uwielbiałem spotkania autorskie, ale teraz mnie męczą. Chcę wrócić do domu.

- Andy - zaczęła, a po jej poważnym tonie mogłem poznać, co nadciąga. Dobrze znałem Cynthię. Moje zniknięcie w maju podkopało jej wiarę we mnie. - Słuchaj, próbowałam z tobą porozmawiać o tym, co się stało, ale ty zawsze bagatelizowałeś to jako...

- Cynthio...

117-

- Andy, jeżeli pozwolisz wyrzucę to, co mi leży na wątrobie i będziemy to mieć za sobą.

Kiedy się nie odezwałem, mówiła dalej:

- Rozumiesz, co mnie zmartwiło w twoim wymknięciu się gdzieś na południowy Pacyfik?

- Tak - odparłem, gładząc kciukiem i palcem wskazującym nóżkę kieliszka.

- Jeżeli po prostu sobie wstaniesz od biurka i wyjedziesz w trakcie pisania książki, nie dbam o to. Nie jestem twoją matką. Ale ty zniknąłeś, kiedy książka wyszła. Nie muszę ci mówić, jakie to dla ciebie ważne, żebyś był dostępny w ciągu tego pierwszego tygodnia. Jesteś znanym pisarzem, Andy. To właśnie wywiady i spotkania pomagają tworzyć zainteresowanie. Początkowe wyniki sprzedaży były niższe niż przy Przecież to zbrodnia. Przez chwilę nawet wyglądało, że to może być kłapa.

- Cynthio, ja...

- Mówię tylko, żebyś nie wyciął znowu takiego numeru. Pomijając spotkania w księgarniach, które twój wydawca odwołał, musiałam też obdzwonić mnóstwo ludzi z mediów i powiedzieć im, dlaczego nie przyjedziesz. A ja nie miałam pojęcia. Nie stawiaj mnie więcej w takiej sytuacji. - Kelner szedł w naszą stronę, lecz Cynthia dała mu znak ręką, żeby zaczekał. - Boże, Andy, nawet do mnie nie zadzwoniłeś, że wyjeżdżasz - wyszeptała z pasją, marszcząc brwi i ze wzburzeniem unosząc ręce. - Czy tak trudno jest podnieść cholerną słuchawkę?

Nachyliłem się i odpowiedziałem spokojnie:

- Byłem wypalony. Potrzebowałem przerwy i nie wydawało mi się, że muszę prosić o pozwolenie. Cóż, wtedy tak sądziłem; myliłem się i przepraszam. To się już nie powtórzy.

Upiła spory łyk wina. Dokończyłem swój kieliszek, po którym poczułem ciepły rumieniec na policzkach. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej dłoni.

Miała zmęczone oczy.

118-

- Cynthia. Przepraszam, dobrze? Wybaczysz mi?

- Lepiej poukładaj też sprawy ze swoim redaktorem.

- Ale czy ty mi wybaczysz?

Błady uśmiech pojawił się na jej wargach.

- Tak, Andy.

- Dobrze. Zamówmy coś.

#

Cynthia zamówiła duszoną jagnięcinę w sosie z czerwonym pieprzem, a kiedy kelner postawił przed nią talerz, jej szkliste oczy rozpromieniły się. Po chwili sam patrzyłem z zadowoleniem, jak zjawia się przed mną moje główne danie - mostaccioli, suszone na słońcu pomidory, kapary oraz opiekane przegrzebki. Pod warstwą makaronu lśnił różowy sos z wódką. Zanim kelner nas zostawił, otworzył jeszcze drugą butelkę Bordeaux i ponownie napełnił kieliszki.

Przegrzebki przeszły aromatem słodkich pomidorów, a gdy jeden z nich rozpływał się na moim języku, ziarenko piasku zachrząściło mi między zębami. Wypiłem łyk wina, smakując nutę śliwki, mięsa i tytoniu. Spłynęło niczym jedwab. Doświadczając idealnej równowagi między apetytem i jego zaspokajaniem, pragnąłem, by ta chwila trwała jak najdłużej.

Gdy zrobiło się całkiem późno, moją uwagę przykuło miasto. Sączenie wyjątkowego wina w jednej z wytworniej szych nowojorskich restauracji i obserwowanie mnóstwa świateł lśniących na drapaczach chmur i domach to fantastyczny sposób na spędzenie wieczoru. W samym środku nieustannego migotania wiedziałem, że otaczają mnie miliony ludzi, dzięki czemu miasto stawało się miejscem niegościnnym dla samotnego lęku, który nade mną wisiał.

- Andrew? - Cynthia zachichotała z udawanym angielskim akcentem. - Za dużo wina jak na ciebie.

119-

Odwracając się pomału od okna ku Cynthii, zauważyłem, że restauracja kołysze się przed oczami. Zaczynało mi szumieć w głowie.

- To piękne miasto - powiedziałem z uczuciem.

- Powinieneś znaleźć tu mieszkanie.

- Do diabła, nigdy w życiu.

- Sugerujesz, że jest jakiś problem z moim miastem?

- Nie muszę sugerować. Po prostu ci mówię. Wy, Jankesi, jesteście w gorącej wodzie kąpani.

- A to świadczy o naszej niższości wobec rozleniwionego Południa?

- My, południowcy, znamy wartość dobrze spędzonego dnia.

Nie wiń nas za to. Zdaje mi się, że to trochę jankeska zazdrość...

- Uważam, że słowo „Jankes” brzmi obraźliwie.
- To dlatego, że masz w głowie błędną definicję.
- Oświeć mnie, proszę.
- Dobrze. Jankes - rzeczownik określający każdego, kto mieszka na północ od Wirginii, a zwłaszcza nieokrzesanych, zacofanych ludzi z Północy, którzy mówią o wiele za szybko, nie pojmują koncepcji mrożonej herbaty i barbecue, a na stare lata przenoszą się na Florydę.

Cynthia zaśmiała się; jej brązowe oczy błyszczały. Spojrzałem w nie. Były przekrwione. Odwróciłem się do okna; moje serce łomotało pod oksfordzką koszulą i szafranowym krawatem.

- Andy?
- Nic mi nie jest - powiedziałem, starając się złapać oddech.
- Co się dzieje?
- Nic. - Wyglądając przez okno na Queens, usiłowałem się pozbierać, znów okłamując samego siebie.
- Ostatnio wydajesz się taki zmieniony - stwierdziła, podnosząc kieliszek do ust.
- Jak to?

120-

- Nie wiem. Skoro dzisiaj widzimy się po raz pierwszy od prawie roku, to być może moja ocena jest nietrafna.
 - Proszę - powiedziałem, nadziejąc przegrzebka na widelce. - Oceniaj, ile chcesz.
 - Od czasu twoich wakacji zauważam w tobie zmianę. Nic drastycznego. Ale znam cię na tyle długo, żeby wiedzieć, kiedy coś jest nie tak.
 - Co, twoim zdaniem, jest nie tak, Cynthia?
 - Trudno to ująć w słowa - odparła. - To tylko wrażenie. Kiedy latem zadzwoniłeś do mnie po powrocie, coś się zmieniło. Zakładałam, że obawiasz się trasy promocyjnej. Ale nawet w tej chwili czuję emanującą z ciebie tę samą aurę zobojętnienia.
- Dopiłem kolejny kieliszek wina.
- Rozmawiaj ze mną, Andy - prosiła. - Nadal jesteś wypalony?
 - Nie. Wiem, że to cię naprawdę martwi.
 - Jeżeli chodzi o kobietę, to mi powiedz, a ja odpuszczę. Nie chcę wścibiać nosa w twoje osobiste...
 - Nie chodzi o kobietę - odpowiedziałem. - Posłuchaj, nic mi nie jest. Nic nie możesz zrobić.

Uniosła kieliszek i wyjrzała przez okno.

Nasz kelner przyszedł po talerze. Opisał nam uroki diabolicznego sufletu malinowo-czekoladowego, jednak było już późno, a ja miałem wylot z lotniska La Guardia jutro o ósmej trzydzieści rano. Cynthia zapłaciła rachunek i zjechaliśmy windą na ulicę. Zbliżała się północ. Nie potrafiłem sobie wyobrazić porannego wstawania. Wypiłem o wiele za dużo.

Wezwałem taksówkę dla Cynthii. Zanim wsiadła do auta, pocałowałem ją w policzek. Powiedziała mi, żebym zadzwonił do

niej w przyszłym tygodniu, a ja obiecałem, że to zrobię. Gdy jej taksówka odjeżdżała, Cynthia wpatrywała się we mnie przez tylną szybę; jej poważne oczy przeszły we mnie na wskroś, docierając do korzeni mojego niepokoju.

121-

„Nawet nie masz pojęcia”.

Kiedy jej taksówka zniknęła, ruszyłem chodnikiem i mijając kilka bloków, nie napotkałem żywego ducha. Niewidoczna, brudna East River płynęła do Atlantyku. Czułem woń zatechłej, zanieczyszczonej wody. Przemknęły cztery karetki; ich syreny rozbrzmiewały między budynkami. Mój hotel znajdował się zaledwie dziesięć domów dalej, miałem więc nadzieję, że przechadzka w chłodną wrześnieową noc mnie otrzeźwi.

Obawiałem się powrotu do domu. Od połowy czerwca podróżowałem po kraju, wypełniając dni wystąpieniami i spotkaniami, które zakotwiczały mnie w teraźniejszości. Ani przez chwilę nie pragnąłem samotności. Moje myśli mnie przerażały. Teraz wiedziałem, że gdy wrócę do Karoliny Północnej, do powolniejszego tempa życia, tortura zacznie się na nowo. Nie miałem książki do napisania. Nie miałem nic do roboty prócz mieszkania w swoim domu nad jeziorem. Prócz istnienia. I bałem się, że te dwa tygodnie, których przeżyciu zaprzeczałem przez całe lato, powrócą do mnie.

Kiedy mój umysł dryfował z powrotem na pustkowiu, narzucałem sobie obrazy jadeitowo zielonego morza, piasku o barwie kości słoniowej i palącego słońca. Wyraźnie widziałem pokryty stiukiem dom na plaży oraz werandę, z której obserwowałem krwistoczerwone zachody słońca chowającego się w morzu. Miałem świadomość, że to oszustwo, ale człowiek uczyni wszystko, żeby wytrzymać z samym sobą.

Rozdział 15

Początek października dał mi rześkie, czyste dni nad jeziorem Norman oraz nieznośne noce w łóżku. Każdego ranka i wieczoru przez godzinę łowiłem ryby z pomostu. Wczesnym popołudniem pływałem, nurkując w głąb mrocznej niebieskiej toni, niosącej już chłodne ukłucia nadciągającej zimy. Niekiedy pływałem nago dla samego poczucia wolności, jakie czułem, niczym dziecko w chłodnym łonie, nienarodzone, nieświadome. Zbliżając się do powierzchni po głębokim zanurzeniu, udawałem, że odrażająca świadomość zakopana w zakamarkach mojego umysłu ulotni się, gdy tylko wypłyne i znajdzie się w złocistym powietrzu. „To jest prawdziwe tylko pod wodą”, myślałem, oddalając się od dna jeziora. „Powietrze mnie oczyści”.

Któregoś popołudnia, leniuchując na końcu pomostu i popijając Jacka Danielsa oraz Sun-Drop, obserwowałem spławik kołyszący się na powierzchni jeziora. Początek października w Karolinie Północnej to idealna pora, a niebo przybrało lazurowy odcień, kiedy słońce schyliło się bliżej horyzontu. Trzymałem w dłoni wędkę, czekając, aż biało-czerwony spławik zanurzy się pod wodą, gdy usłyszałem odgłos kroków na trawie.

Odłożyłem wędkę i obejrzałem się w stronę brzegu, by ujrzeć Waltera wchodzącego na pomost. Miał na sobie okulary słoneczne i jasny garnitur; kurtkę przerzucił przez lewe ramię i rozluźnił krawat.

123-

Byłem w domu od dwóch tygodni. Choć Walter często dzwonił, rozmawiałem z nim tylko dwa razy w sposób ogólnikowy. Za każdym razem rozłączałem się najszybciej, jak się dało, nie ujawniając żadnych informacji o swoim majowym zniknięciu oraz zbywając jego pytania. Samotność i zapomnienie były moimi jedynymi pragnieniami, lecz patrząc, jak mój najlepszy przyjaciel idzie po pomoście z zasepioną twarzą, wiedziałem, że go zraniłem.

Walter zatrzymał się parę kroków ode mnie i rzucił szarą kopertę na wyblakłe od słońca deski. Spojrzał na mnie i mogłem zobaczyć swoje odbicie w jego okularach. Usiadł obok mnie na skraju pomostu i teraz nasze nogi dyndały nad wodą.

- Twoja powieść dobrze się sprzedaje - rzekł. - Cieszę się.

- To ulga.

Gdy zająłem się kopertą, Walter powiedział:

- Nigdy jej nie otworzyłem.

- Nie musisz mi tego mówić.

- Coś się złapało.

Chwyciłem wędkę i szarpnąłem ją do tyłu, ale spławik wynurzył się ponownie bez naprężania żyłki. Kiedy ją zwijałem, spławik się nie poruszał.

- Cholera, spory był. To bass wielkogębowy. - Cisnąłem wędkę na pomost i podniosłem szklaneczkę. - Chodź - powiedziałem, wstając.

Choć powietrze było łagodne, promienie słońca padające bezpośrednio przez cały długi dzień rozgrzały powierzchnię pomostu jak betonowy chodnik w środku lata. Parzyła mi podszwy stóp.

- Wejdźmy do środka. Przyniosę ci piwo.

W kąpielówkach pobiegłem po podejście w kierunku brzegu, zeskoczyłem na trawę i czekałem. Walter nadszedł ospałym krokiem, w swoim zwykłym tempie. Razem przeszliśmy po wąskim

124-

zielonym zboczem wznoszącym się od brzegu do domu. Nie kosiłem trawy od dwóch tygodni, wyrosła więc na kilka cali powyżej kostek, tworząc delikatny, gęsty dywan.

Kiedy wspinaliśmy się po stopniach na taras, rzuciłem okiem na las po prawej. Pomyślałem o zakopanych tam zwłokach, które wyróciły moje życie do góry nogami. Przez moment na nowo przeżywałem znalezienie tamtej kobiety - woń, strach, paniczną gorączkę odkrycia.

W domu podałem Walterowi butelkę piwa z lodówki i zaprowadziłem do salonu. Jeszcze nie tak wstawiony, jak chciałem być, zmieszałem kolejną porcję whisky z wodą sodową, podczas gdy gość wyciągnął się na sofie.

- Przepraszam, że nie wpadłem - powiedziałem znad barku.
- Promocja książki cię wykończyła, he?
- Po prostu nie byłem w nastroju, żeby bez przerwy stykać się z tyloma ludźmi. Przez cały czas być na widoku. - Wrzuciwszy kilka kawałków lodu do szklanki i napelniwszy ją w połowie cytrusowym napojem, a w połowie burbonem, zamieszałem swojego drinka, przeszedłem do salonu i usiadłem na skórzanym fotelu naprzeciwko Waltera.

Jego wzrok spoczął na Brązie nr 2, spoglądającym na nas znad kominka w całej swojej pretensjonalnej chwale. Walter uśmiechnął się znacząco, jednak napięcie między nami kazało mu powstrzymać się od komentarza.

- Wiem - powiedziałem. - Prawdziwy szajs. Loman. Mam ochotę kopnąć tego gnojka w tyłek. Nie wiem, dlaczego to tu trzymam. Wcale nie jest tak, że się z nim zzywam. Przeciwnie, z każdym dniem nienawidzę go bardziej.

- Gdzieś w głębi ducha na pewno wiedziałeś, że to pacykarz. Musiałeś. Powinieneś był mnie słuchać, chłopie.

- Wiem, wiem. - Ziewnąłem. Kiedy Walter wyjdzie, zaraz padnę. - Jak rodzinka?

125-

- Ach. Obowiązkowe pytanie. Mają się dobrze. Ostatnio staram się spędzać z nimi więcej czasu. Mniej w redakcji. Właściwie to za dwie godziny muszę być na szkolnym przedstawieniu. Trzydzieścioro sześciolatków na scenie. Wyobrażasz to sobie?

- Co wystawiają?

- Mameta. - Roześmialiśmy się. Zawsze się śmialiśmy, gdy przebywaliśmy razem. - Jenna, biedactwo, strasznie się tym denerwuje. Ostatniej nocy położyła się do łóżka z Beth i ze mną, zapłakana. Usnęliśmy, pocieszając ją. Obudziliśmy się w kałuży.

- Oooch. - Zadygotałem. - Dreszczyk emocji rodzicielstwa. Za żadne skarby nie chciałbym, żeby mnie to spotkało.

- Mówisz poważnie? - zapytał Walter, zrzucając eleganckie buty i balansując butelką na piersi.

- Jeszcze jak. Wszyscy mi współczują, kiedy im mówię, że nie chcę się żenić ani mieć dzieci. Ale to nie jest jakaś żalosna rezygnacja. Po prostu tak się składa, że wiem na sto procent, iż nie ma tam nigdzie ani jednej osoby, przy której chciałbym się budzić dzień w dzień. Poza tobą, oczywiście. Z tobą bym się ożenił, Walterze. Serio.

Zaśmiał się z życzliwością.

- Karen wycięła ci numer, ale nie zawsze będziesz czuł rozgorczenie.

- Skąd, u diabła, możesz wiedzieć, jak zawsze będę się czuł?

- Ponieważ to niemożliwe, żeby ktoś przeszedł przez życie, nie zakochując się znów i znów.

„Jakież to smutne. On naprawdę sądzi, że pragnę jego życia. Myśli, że jestem Gatsbyem tęskniącym za swoją Daisy. Być może jestem”.

- Byłem zakochany w Karen - powiedziałem. Wzruszenie ścisnęło mi gardło, ale je stłumiłem. - I dokąd mnie to zaprowadziło? No więc kochałem ją i myślałem, że chcę z nią spędzić resztę życia. Czuję tak przez dwa lata, aż raptem okazało się,
126-

że ona nie i że nie chce mieć już ze mną nic wspólnego. Nawet przyjaźni. Powiedziała, że byłem etapem. Cholernym etapem. To zmarnowane dwa lata mojego życia. Na myśl o tym, co mógłbym w tym czasie napisać, aż mnie trzęsie. - Pokręciłem głową i pociągnąłem łyk kwaśnego napoju. - Coś ci powiem. To będzie prawdziwy cud, jeżeli kiedykolwiek się ożenię, bo wcale tego nie szukam. Po prostu nie sądzę, żeby tak się stało, a dwa lata po Karen... do diabła, całkiem mi z tym dobrze. Świetny ze mnie kumpel.

- Ugryzłeś zgniłe jabłko i teraz ci się zdaje, że wszystkie jabłka tak smakują, ale tak nie jest - oznajmił z pewnością siebie człowieka, który wie, że ma rację.

- Może niektórzy ludzie po prostu lubią smak zgniłych jabłek.

Jego twarz spochmurniała.

- Przepraszam. Nie wiem, dlaczego taki ze mnie dupek. W tej chwili jestem ociupinkę uchlany.

- Hej, ludzie przechodzą w życiu przez różne etapy. Ciesz się, że nie jesteś pełnoetatowym dupkiem jak Bill York.

- Ten skurczybyk nadal jest u ciebie adiustatorem?

- Aha. To palant. Dzisiaj obsztorcował mnie za to, że wcześniej wyszedłem.

- Ty prowadzisz to czasopismo. Wylej go.

- Gdyby nie był takim dobrym redaktorem, już dawno bym go odstrzelił. Ale nie płacę mu za to, żeby był przyzwoitą istotą ludzką. Dopóki skutecznie sprawia, że tekst jest idealny, może sobie być księciem ciemności.

- Boże, podziwiam twoje zasady.

Znowu się zaśmialiśmy. Na krótką chwilę zapadła cisza, ale ponieważ nastąpiła po naszym śmiechu, nie wprowadziła nas w zakłopotanie. Walter podniósł na mnie wzrok znad piwa.

- Andy - odezwał się. - Chcesz mi opowiedzieć, co się dzieje?

127-

Spojrzałem Walterowi w oczy i zapragnąłem wszystko wyjawić. Chęć opowiedzenia drugiemu człowiekowi, gdzie byłem i co robiłem, była przytłaczająca.

- Po prostu sam nie wiem.

- Czy to ma coś wspólnego z wycieczką, którą zrobiłeś sobie w maju?

Wstrzymałem oddech, namyślając się.

- Chyba można tak powiedzieć.

- Chodzi o podatki? - zapytał. - Masz kłopoty z urzędem skarbowym? Serio.

- Oczywiście, że nie. - Zaśmiałem się.

- Z czego nie możesz mi się zwierzyć? - Jego oczy zmrużyły się, a ja wzruszyłem ramionami. - No to mów.
- Chciałbyś zaryzykować więzieniem albo własnym bezpieczeństwem, żeby się dowiedzieć, co mi się przydarzyło?
Usiadł i odstawił na wpół opróżnioną butelkę na podłogę.
- Wiem, że ty byś to dla mnie zrobił.
Żołądek ścisnął mi się na myśl o pustyni. Dokończyłem drinka i popatrzyłem w piwne oczy Waltera. Jego siwe włosy znacznie urosły od maja.
- Wiesz, że mam brata bliźniaka?
- Wspominałeś. On zniknął, zgadza się?
- Mieliliśmy po dwadzieścia lat. Po prostu któreś nocy wyszedł z naszego pokoju w akademiku. Powiedział: „Nie zobaczysz mnie przez jakiś czas”.
- Założę się, że było ci ciężko.
- Tak, było ciężko. Skontaktował się ze mną w maju. Walterze, nie możesz nikomu o tym powiedzieć. Ani Beth, ani...
- A komu miałbym mówić?
- Pamiętasz tę czarnoskórą nauczycielkę, która zaginęła zeszłej wiosny?
- Ritę Jones?

128-

Przełknąłem ślinę. „Mów dalej, a będzie w to wplątany. Przemysł to. Jesteś zbyt spity, żeby podejmować tę decyzję”.

- Ona leży pochowana w moim lesie.

Twarz Waltera zbieleła.

- Mój brat, Orson, ją tam umieścił. Szantażował mnie. Powiedział mi, że jest umazana moją krwią i że nóż, którym ją zabił, jest ukryty w moim domu. Przysięgał, że powiadomi policję, jeżeli nie przyjadę się z nim spotkać. Groził mojej matce.

- Jesteś pijany.

- Chcesz zobaczyć trupa?

Walter wpatrywał się we mnie wzrokiem podszytym niedowierzaniem.

- On ją zabił?

-Tak.

- Dlaczego?

- Bo to psychopata - odpowiedziałem, walcząc z drżeniem rąk.

- Czego on od ciebie chce?

Łzy napłynęły mi do oczu i nie potrafiłem ich powstrzymać. Pocięły mi po policzkach, a gdy je otarłem i podniosłem wzrok na Waltera, oczy znów napełniły mi się łzami.

- Okropnych rzeczy - odparłem. Wargi mi się trzęsły, gdy łzy spływały po nich i dalej w dół po mojej brodzie.

- Dokąd pojechałeś?

- Na pustynię w Wyoming.

- Dlaczego?

Nie odpowiedziałem, a Walter dał mi chwilę na pozbieranie się. Nie powtórzył pytania.

- Gdzie on teraz jest?

- Nie wiem. Może być gdziekolwiek w kraju.

- W ogóle nie poszedłeś na policję?

- On groził naszej matce! - Mój głos niósł się aż na piętro. - A poza tym, co miałbym powiedzieć? „Mój brat bliźniak 129-

zabił Ritę Jones i zakopał ją na moim podwórku. Och, a przy okazji, cała jest w mojej krwi, zamordowano ją moim kuchennym nożem, a mój brat zniknął, ale przysięgam, że ja tego nie zrobiłem!”.

- Jaki miałeś wybór? - zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

- Cóż, jeżeli to, co mówisz, to prawda, ludzie nadal będą umierać, dopóki nie zostanie złapany. Następni w kolejce mogliby być Beth albo John David. Czy to cię nie martwi?

- Martwi mnie to - odparłem - że nawet gdybym zdołał znaleźć Orsona, przywlec go na posterunek i powiedzieć detektywom, co on zrobił, wyszedłby jako wolny człowiek. Nie mam dowodów, Walterze. Guzik znaczyłoby w sądzie to, że ja wiem, iż Orson to psychopata, że widziałem, jak torturuje i zabija. Liczy się to, że na Ricie Jones znajduje się moja krew.

- Widziałeś, jak popełnia morderstwo? - zapytał Walter.

- Naprawdę patrzyłeś, jak kogoś zabija?

Łzy ponownie napłynęły mi do oczu.

- Kogo on...

- Nie chcę już więcej o tym rozmawiać.

- Ale mówisz, że...

- Nie będę o tym rozmawiał! - Zerwałem się z krzesła i podszedłem do okna wychodzącego na trawnik i dalej na jezioro. Na skraju lasu żółte topole zaczynały przyodziewać się w złoto, a czerwone dęby i klony wkrótce miały zapłonąć w lesie konającymi liśćmi. Oparłem czoło o szybę, po której spływały łzy, pozostawiając za sobą rozmazany ślad.

- Co mogę zrobić? - spytał Walter. Jego głos znowu brzmiał łagodnie.

Pokręciłem głową. „Ja też zamordowałem. Wyciąłem kobiecie serce i strzeliłem mężczyźnie w głowę, ponieważ Orson mi kazał”. Słowa odbijały się rykoszetem w mojej głowie, ale nie potrafiłem powiedzieć Walterowi, co uczyniłem.

130-

Z jakiegoś powodu uznałem, że wystarczy, jeżeli dowie się o Orsonie i o tym, gdzie byłem.

- Każdej nocy mam koszmary. Nie mogę pisać. To, co widziałem...

- Musisz z kimś porozmawiać. Coś takiego może cię niszczyć przez...

- Rozmawiam z tobą - uciałem, patrząc, jak po drugiej stronie jeziora jakaś łódka ciągnie za sobą dętkę, i zastanawiając się, co tak naprawdę myśli Walter.

On także podszedł do okna i obaj oparliśmy się o szybę.

- Ona jest tam - powiedziałem, wskazując w kierunku drzew.
- W płytkim grobie.

Staliśmy przy oknie bez końca. Myślałem, że Walter może dopytywać się o więcej szczegółów, lecz on milczał, a ja byłem mu za to wdzięczny.

Wkrótce musiał wyjść. Czekąco go przedstawienie córki. Wyobraziłem sobie Jennę na scenie oraz Waltera i Beth na widowni, rozpromienionych. Przysięgam, że to trwało ledwie sekundę, ale przeszła mnie zazdrość.

Rozdział 16

Jeanette Thomas mieszkała samotnie w podupadającej okolicy w Winston-Salem w Karolinie Północnej, w tym samym domu w rustykalnym stylu, w którym dorastali jej synowie i gdzie zmarł jej mąż. Kiedy byłem dzieckiem, dzielnica tętniła życiem klasy średniej, ale teraz, gdy powoli jechałem Race Street w swoim czerwonym CJ-7, zdumiewałem się, jak bardzo okolica się zmieniła. Podwórza otaczały ogrodzenia z zardzewiałych łańcuchów, a niektóre domy obróciły się w ruinę. Wydawało się, że na każdym ganku siedzi jakaś starsza osoba w bujanym fotelu, machając do nielicznych przejeżdżających samochodów. Ta okolica służyła wielu swoim mieszkańcom za ostatnią strefę niezależności, a większości z nich pozostało zaledwie parę lat do przeniesienia się do domu starców.

Zbliżając się do domu matki, nie mogłem powstrzymać się od wspomnienia, jakie to miejsce było niegdyś. W czasach mojego dzieciństwa na ulicach roiło się od dzieciaków i w wyobraźni zobaczyłem je teraz - jeżdżące na rowerach i wynalazkach skleconych z kawałków drewna, śmiejące się, walczące ze sobą, ścigające furgonetkę z lodami, objeżdżającą swój rewir w upalne letnie popołudnia. Kraina z bajki, odziana w cieniste zielone drzewa i buzująca młodzieńczą energią, była światem moim i Orsona. Wspinaliśmy się na drzewa, szukaliśmy drogi w chłodnym mroku rowów odwadniających i przeprowadzaliśmy ekspedycje 132-

do zakazanego lasu, który graniczył z naszą dzielnicą od północy. Zakładaliśmy tajne stowarzyszenia, budowaliśmy domki na drzewach, a któreś zimowej nocy tu, na opuszczonym boisku do bejsbola, kurzyliśmy nasze pierwsze papierosy. Ponieważ był to jedyny dom mojego dzieciństwa, wspomnienia jawiły się wyraźne i przytłaczające. Zalewały mnie za każdym razem, gdy tu wracałem, teraz zaś, gdy okolica zamieniła się w miasteczko duchów, moje dzieciństwo wydawało się o wiele bardziej efektowne. Obecny apatyczny upadek sprawiał, że wspomnienia nabierały jeszcze więcej głębi i blasku.

Matka zawsze parkowała auto na początku podjazdu, żeby nie wracać do skrzynki na listy. Kiedy zobaczyłem jej samochód lekko wystający na ulicę, uśmiechnąłem się i zaparkowałem przy krawężniku przed domem. Wyłączyłem silnik jeepa i otworzyłem drzwi przy akompaniamencie zgrzytliwego jęku dmuchawy do liści. Wysiadłem i zatrzasnąłem drzwiczki.

Po drugiej stronie ulicy jakiś staruszek siedział na krześle na ganku, pykając fajkę i przyglądając się, jak na jego trawniku grupka nastolatków zgarnia dmuchawą liście w brązowy stos. Pomachał do mnie, a ja odpowiedziałem tym samym. „Pan Harrison. Mieliśmy po dwanaście lat, kiedy dowiedzieliśmy się o pańskiej subskrypcji »Playboya«. Wykradaliśmy czasopismo przez trzy miesiące z rzędu. Czekać na dostawę, codziennie sprawdzaliśmy pańską skrzynkę na listy w drodze powrotnej ze szkoły. Przyłapał nas pan w czwartym miesiącu. Przez cały tydzień wypatrywał pan zza zasłony, czekając, by zidentyfikować złodziei. Wypadł pan z domu jak burza z zamiarem zawleczenia nas do naszej matki, aż nagle zdał pan sobie sprawę, że wtedy dowiedziałyby się, co z pana za sprośny staruch.

- Dobra, macie już trzy! - wrzasnął pan, a potem wyszeptał: - Będę je zostawiał na ganku za domem, kiedy już skończę. Co wy na to? Przynajmniej pozwólcie mi skorzystać z tego, na co wydałem pieniądze.

133-

Nas to zadowalało".

- Hej! - zawołał jakiś mężczyzna szarej hondzie, która zatrzymała się na środku ulicy.

Zszedłem z krawężnika i podszedłem do samochodu.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytałem.

Oszacowałem, że mógł mieć ze dwadzieścia sześć lub dwadzieścia siedem lat. Jego włosy były intensywnie czarne, a chuda twarz o ostrych rysach gładka jak pupa niemowlaka i biała. Wnętrze jego wozu aż cuchnęło płynem do mycia szyb. Nie podobały mi się oczy tego gościa.

- Pan Andrew Thomas? - zapytał.

„Zaczyna się”.

Od czasu publikacji mojej pierwszej powieści stale prowadziłem rachubę - pomijając konferencje, festiwale literackie i inne wystąpienia publiczne, był to trzydziesty trzeci raz, kiedy zostałem rozpoznany.

Przytaknąłem.

- Coś takiego! Właśnie czytam pana książkę. Hm, Spalarnia.

Nie, ach, znam jej tytuł...

- Spiekota.

- Właśnie. Uwielbiam ją. Właściwie to nawet mam ją ze sobą. Czy mógłby pan, hm, tego...

- Czy chciałby pan, żebym ją podpisał?

- Mógłby pan?

- Z przyjemnością.

Sięgnął do tylnej podłogi auta, chwycił wydanie mojej najnowszej książki w twardej oprawie i wręczył mi je. „Pewnie wyglądam, jakbym miał przy sobie pióro”. Czasami spotkanie wielbicieli bywa rozczarowujące.

- Ma pan pióro? - spytałem.

- Cholera, nie mam... Och, chwileczkę.

Otworzył schowek i wyciągnął krótki, tępy ołówek. Chyba

ostatnio grał w minigolfa. Biorąc do ręki ołówek, zerknąłem na 134-

obwolutę Spiekoty - złowrogo uśmiechniętą twarz, pochłanianą przez płomienie. Nie byłem szczególnie uszczęśliwiony projektem obwoluty, lecz nikt nie przejmuje się tym, co myśli autor.

- Chce pan, żebym ją tylko podpisał? - spytałem.

- Czy mógłby pan... podpisać ją dla mojej dziewczyny?

- Oczywiście. - „Zamierzasz podać mi jej imię czy będę musiał pytać?” Muszę pytać. - Jak ma na imię?

- Jenna.

- J-E-N-N-A?

-Tak.

Położyłem książkę na dachu jego auta i nabazgrałem imię dziewczyny oraz jedną z trzech dedykacji, które zawsze stosuję:

„Dla Jenny - niech zadrzą ci ręce, a serce zabije szybciej. Andrew Z. Thomas”. Zamknąłem książkę i oddałem mu ją.

- Będzie zachwycona - powiedział, włączając bieg. - Bardzo panu dziękuję.

Uścisnąłem jego chłodną, kościstą dłoń i cofnąłem się na chodnik.

Gdy już pojechał, przeszedłem przez niestrzyżony trawnik matki do frontowych drzwi. Porywisty wiatr przeciskał się między drzewami i łaskotał mnie w plecy. Poranne niebo było ponure, zasnuwane nierównymi chmurami przypominającymi wielkie materace, które w ciągu nadchodzących miesięcy mogą wypełnić się śniegiem. Pośrodku trawnika, na przekór ołowianemu październikowemu niebu, klon srebrzysty eksplodował ognistopomarańczową barwą.

W miarę jak zbliżałem się, krocząc po trawie, dom wydawał mi się coraz bardziej nędzny. Rynny, przepelnione liśćmi, zaczynały się odrywać od dachu, a deski, którymi obłożone były ściany, łuszczyły się i wypaczały. Nawet podwórze zamieniło się w dżunglę i nie miałem wątpliwości, że mama zwolniła firmę strzygącą trawniki, którą dla niej wynająłem. Była nieznośnie uparta w swoim oporze przed przyjęciem jakiegokolwiek 135-

finansowej pomocy. Próbowałem kupić jej nowy dom po tym, jak Hollywood nabyło Zabójcę i jego broń, lecz ona odmówiła. Nie pozwalała mi płacić swoich rachunków, kupić samochodu czy choćby wysłać ją na morską wycieczkę. Nie byłem pewien, czy stała za tym duma, czy brak rozeznania, ile zarobiłem pieniędzy, ale irytowało mnie to niebotycznie. Upierała się, by żyć z ołówkiem w ręku ze swojej nauczycielskiej emerytury oraz małej polisy na życie po tacie, która już się prawie skończyła. Wszedłem na ganek od frontu i zadzwoniłem do drzwi. Przez uchylone okno dobiegał głos Boba Barkera z teleturnieju Dobra cena. Usłyszałem, jak matka ciągnie taboret po podłodze, żeby dosięgnąć judasza.

- To ja, mamó - zawołałem przez drzwi.

- Andrew, czy to ty?

- Tak jest, psze pani.

Trzy zasuwki stuknęły i drzwi stanęły otworem.

- Kochanie! - Jej twarz rozpromieniła się, jakby chmura odsłoniła słońce. - Wejdz - powiedziała, uśmiechając się. - Uściskaj mamusię.

Wszedłem do środka i objęliśmy się. W wieku sześćdziesięciu pięciu lat wydawała się drobniejsza za każdym razem, gdy ją odwiedzałem. Jej włosy siwiały, lecz zawsze nosiła je długie, upięte z tyłu w koński ogon. Zbyt luźna, zielona sukienka upstrzona białymi kwiatkami wisiała na jej kruchej postaci niczym niemodna tapeta.

- Dobrze wyglądasz - stwierdziła, przyglądając się badawczo mojej talii. - Widzę, że zgubiłeś ten zapasowy tłuszczyk. - Uśmiechając się, uszczypnęła mnie w brzuch. Panicznie się bała, że nagle przytyję sześćset funtów i zostanę uwięziony w domu. Koszmarem było przebywanie z nią, gdy miałem choćby najmniejszy ślad nadwagi. - Mówiłam ci, że nie trzeba wiele, żeby zrzucić te boczki. Wiesz, one naprawdę wcale nie są atrakcyjne. Tak się dzieje, kiedy spędza się cały czas przy biurku, na pisaniu.

136-

- Podwórce nie wygląda dobrze, mam - powiedziałem, przechodząc do salonu i siadając na sofie. Matka podeszła do telewizora i wyłączyła fonię. - Czy firma od koszenia trawników już nie przyjeżdża?

- Zwolniłam ich - odparła, zasłaniając ekran, z rękoma wspartymi na biodrach. - Za dużo sobie liczyli.

- Ty za to nie płaciłaś.

- Nie potrzebuję twojej pomocy - oznajmiła. - I nie mam zamiaru się o to sprzeczać. Wypiszę ci czek na sumę, którą mi dałeś. Przypomnij mi, żebyś mi go dała, zanim wyjdiesz.

- Nie wezmę go.

- No to pieniądze się zmarnują.

- Ale podwórce wygląda okropnie. Trzeba je...

- Ta trawa i tak zeschnie i obumrze. Nie ma teraz potrzeby zaprzętać sobie nią głowy.

Westchnąłem i rozparłem się wygodniej na zakurzonej, zapadniętej sofie, gdy matka zniknęła w kuchni. Dom pachniał stęchlizną, starym drewnem i zaśniedziałym stołowym srebrem. Nad ceglany kominkiem wisiało portretowe zdjęcie rodzinne, zrobione latem tego roku, gdy Orson i ja skończyliśmy liceum. Zdjęcie miało szesnaście lat i to rzucało się w oczy. Tło poczerwieniało, a nasze twarze wyglądały na bardziej różowe niż cieliste.

Wyraźnie pamiętam ten dzień. Orson i ja kłóciliśmy się o to, kto założy brązowy garnitur taty. Żaden nie chciał ustąpić, mama więc rzuciła monetą i ja wygrałem. Rozwścieczony Orson nie pozwolił zrobić sobie zdjęcia, dlatego mama i ja sami poszliśmy do fotografa. Miałem na sobie brązowy garnitur ojca, a ona fioletową sukienkę, teraz czarną na odbarwionej fotografii. Dziwnie było patrzeć na matkę i samego siebie stojących tam samotnie na

czerwonym tle - połowę rodziny. „Minęło szesnaście lat i nic się nie zmieniło”.

Wróciła z kuchni do salonu, niosąc mrożoną herbatę.

137-

- Proszę bardzo, kochanie - powiedziała, podając mi chłodną, zaparowaną szklanę.

Upiłem łyk, rozkoszując się jej talentem do przyrządzania najlepszej herbaty, jaką kiedykolwiek kosztowałem. Smakowała idealnie słodko - bez goryczy, nie za słaba, o barwie przejrzystego mahoni. Matka usiadła w bujanym fotelu i naciągnęła kołdrę na chude nogi, których poskręcane żyły kryły się pod cielistymi rajstopami.

- Dlaczego nie przyjeżdżałeś przez cztery miesiące? - spytała.

- Byłem zajęty, mam - odparłem, odstawiając herbatę na szklaną ławę przed kanapą. - Miałem trasę promocyjną książki i inne rzeczy, więc przez cały czas nawet nie wracałem do Karoliny Północnej.

- Cóż, przykro mi, że mój syn w swoim bardzo ważnym rozkładzie zajęć nie znajduje czasu, żeby przyjechać i zobaczyć się z matką.

- Przepraszam - powiedziałem. - Naprawdę mi przykro.

- Powinieneś bardziej się liczyć z innymi.

- Będę. Przepraszam.

- Przestań to powtarzać - ucięła. - Wybaczam ci. - Potem odwróciła się do telewizora, mówiąc: - Kupiłam twoją książkę.

- Nie musiałaś jej kupować, mam. Mam w domu trzydzieści egzemplarzy. Mogłem ci jeden przywieźć.

- Nie wiedziałam.

- Czytałaś ją?

Zachmurzyła się, a ja już znałem odpowiedź.

- Nie chcę ranić twoich uczuć - zaczęła - ale ona nie jest taka jak twoje pozostałe książki. Nawet nie dojrzałam do końca pierwszego rozdziału, gdy ją odłożyłam. Wiesz, że nie znoszę przeklinania. A ten Sizzle był po prostu okropny. Nie mam ochoty czytać o człowieku, który podpala ludzi wokół siebie. Nie wiem, dlaczego ty to piszesz. Ludzie zapewne sądzą, że cię maltretowałam.

138-

- Mam, ja...

- Wiem, piszesz to, co się sprzedaje, ale to niekoniecznie oznacza, że musi mi się podobać. Ja po prostu wolałabym, żebyś dla odmiany napisał coś przyjemnego.

- Niby co? Co byś chciała, żeby napisał?

- Historię miłosną, Andrew. Coś ze szczęśliwym zakończeniem. Wiesz, ludzie czytają też historie miłosne.

Roześmiałem się w głos i podniosłem szklanę.

- A więc uważasz, że powinienem zająć się pisaniem romanów? Powiem ci jedno, moi wielbicieli byliby zachwyceni.

- Teraz jesteś niemły - powiedziała, gdy popijałem herbatę.

- Powinieneś się wstydzić. Wyśmiewasz się z własnej matki.

- Nie wyśmiewam cię, mamó. Myślę tylko, że jesteś zabawna. Znowu spochmurniała i odwróciła się do telewizora. Choć uparta i zadziorna, pod zewnętrznymi pozorami zrzędlivosti moja matka była boleśnie wrażliwa.

- Czy odwiedziłeś już grób taty? - spytała po chwili.

- Nie. Chciałem pojechać z tobą.

- Dziś rano przy nagrobku leżały kwiaty. Piękna kompozycja. Wyglądały na świeże. Jesteś pewien, że nie...

- Mamó, chyba bym wiedział, gdybym dziś rano położył kwiaty na grobie taty.

Jej pamięć krótkotrwała pogarszała się. Zapewne sama wczoraj zaniósła bukiet.

- Cóż, dziś rano tam były - powiedziała. - Zanim się zachmurzyło. Siedziałam z godzinę, rozmawiając z nim. Ma ładne miejsce pod magnolią.

- Tak, to prawda.

Wpatrując się w kudłaty oliwkowy dywan pod moimi stopami, w pochylony stół jadalny obok kuchni oraz pierwsze drzwi w korytarzu, prowadzące na dół do piwnicy, wyczuwałem nas czworo poruszających się po tej martwej przestrzeni, po tym staroświeckim domu duchów - odczuwałem obecność

139-

ojca i Orsona równie mocno jak matki, siedzącej przede mną we własnej osobie. Dziwne, ale to zapach spalonego tosta tak mnie poruszył. Matka uwielbiała przypieczony chleb i chociaż zapach przypalonego śniadania pochodził sprzed paru godzin, uczynił ten podupadający budynek moim domem, a mnie na nowo małym chłopczykiem - na trzy bezlitosne sekundy.

- Mamó - zacząłem i omal nie wypowiedziałem jego imienia. Na czubku języka miałem „Orson”. Pragnąłem, by mi przypomniawszy, że kiedyś byliśmy beztroskimi dziećmi; malcami, którzy się bawili.

Oderwała wzrok od wyciszonego telewizora.

Ale nie zapytałem. Ona usunęła go z myśli. Kiedy wcześniej popełniałem błąd i mówiłem o nim, ona natychmiast zamykała się w sobie. Złamało ją to, że Orson odszedł, że trzynaście lat temu zerwał wszelkie więzi z naszą rodziną. Z początku radziła sobie z tym bólem, zaprzeczając, że w ogóle był jej synem. Teraz, po latach, że kiedykolwiek się urodził.

- Nic takiego - powiedziałem, a ona powróciła do oglądania teleturnieju. Sam zatem odnalazłem dla siebie wspomnienie. „Orson i ja mamy po jedenaście lat, jesteśmy sami w lesie. Lato, drzewa obsypane liśćmi. Znajdujemy sfatygowany płócienny namiot, wilgotny i zatęchły, ale jesteśmy nim zachwyceni. Wygarnawszy liście ze środka, przekształcamy go w tajną fortecę i bawimy się tam codziennie, nawet w czasie deszczu. Ponieważ nie mówimy o nim dzieciakom z sąsiedztwa, namiot należy wyłącznie do nas, a my kilkakrotnie wymykamy się nocą z domu i obozujemy tam z latarkami i śpiworami, aż do rana polując na świetliki. Potem biegniemy do domu i wskakujemy

do łóżek, zanim mama albo tata się obudzą. Nigdy nie zostajemy nakryci i na koniec lata mamy słoik pełen jeńców - żywe nocne światełko na skrzyni z zabawkami, ustawionej pomiędzy naszymi łózkami".

140-

Siedzieliśmy z mamą do południa, oglądając chciwych uczestników teleturnieju. Wspomnienie zatrzymałem dla siebie.

- Andrew - odezwała się, gdy program się skończył. - Czy na dworze nadal jest zimno?

- Jest chłodno - odpowiedziałem - i trochę więcej.

- Wybrałbyś się ze mną na spacer? Liście są takie piękne.

- Z przyjemnością.

Poszła do sypialni po płaszcz, a ja w tym czasie wstałem i przeszedłem przez jadalnię do tylnych drzwi. Otworzyłem je i znalazłem się na ganku na tyłach domu. Zielona farba odłaziła wszędzie, łuszczące się płatki pokrywały deski.

Mój wzrok błędził po zarośniętym podwórku, rozjaśniając się na widok huśtawki, którą pomagaliśmy ojcu budować. Nie byłby dumny z tego, jak dbam o jego żonę. „Ale ona jest uparta jak diabli, a ty o tym wiedziałeś. Wiedziałeś lepiej niż ktokolwiek”.

Opierając się o barierkę, spojrzałem trzydzieści jardów dalej, w las, który zaczynał się raptownie tam, gdzie kończyła trawa.

Coś we mnie drgnęło. Jakbym zobaczył świat jako negatyw fotografii - w czerni i szarości. Dwaj chłopcy przedzierają się między drzewami w kierunku czegoś, czego nie mogę dojrzeć.

Wstrząsnął mną przelotny obraz - żar końcówki papierosa jarzącego się w tunelu. Coś istniało tam, w lesie, w mojej głowie, i to wprawiało mnie w niepokój.

Nie mogłem się uwolnić od myśli, że o czymś zapomniałem.

Rozdział 17

Wyjechałem od matki przed zmrokiem i przez czterdzieści mil drogi między Winston-Salem a moim domem nad jeziorem w pobliżu Davidson rozmyślałem o Karen. Zwykle wypędzałem ją z myśli przy pierwszym przeblysku wspomnienia, ale tej nocy pozwoliłem jej pozostać, a spoglądając na znajomą drogę wijącą się między zagajnikami i pastwiskami, wyobrażałem sobie, że siedzi obok mnie w jeepie.

„Jedziemy do domu. Trwa właśnie jedna z tych przyjemnych chwil ciszy. Godzinę później wchodzimy razem przez frontowe drzwi mojego domu. Rzucasz płaszcz na ławkę przy fortepianie, a ja idąc do kuchni po butelkę wina, chwytam twoje spojrzenie i widzę, że tej nocy wcale nie myślisz o winie. A zatem bez muzyki czy świec, bez przerwy na odświeżenie się, idziemy na górę do sypialni i kochamy się, zasypiamy, budzimy się i zaczynamy od nowa, i znów zasypiamy. Tej nocy budzę się jeszcze raz, czuję twój oddech obok mnie i uśmiecham się na myśl o zrobieniu śniadania. Rano jesteś wyśmienitym towarzystwem przy kawie, oboje siedzimy w szlafrokach, jezioro migocze w porannym słońcu...”

Mówiłem na głos do pustego fotela, a do Davidson pozostało jeszcze piętnaście mil.

Niedawno usłyszałem, że Karen czyta rękopisy dla małego wydawnictwa w Bostonie i mieszka z rzecznikiem patentowym. Zamierzała się pobrać w Boże Narodzenie na Bermudach. „Spróbuj 142-

tak, Andy: około dwudziestej trzydziestej otworzysz frontowe drzwi, wejdiesz do swojego domu i pójdziesz prosto na górę, do łóżka. Samotnie. Nie będziesz miał nawet ochoty się napić”.

#

Obudził mnie rozdzierający uszy ryk muzyki ze stereo w salonie piętro niżej. Głośniki nastawione na pełny regulator wypełniały dom Milesem Davisem. Była druga nad ranem. Leżałem bez ruchu pod nakryciem, w całkowitej ciemności, myśląc: „Ktoś jest w domu. Jeżeli włączysz światło, zobaczysz go stojącego w nogach łóżka, a jeśli się poruszysz, on dowie się, że nie śpisz, i cię zabije. Proszę, Boże, niech się okaże, że to jakiś skok napięcia albo że coś nawaliło w obwodach. Tylko że ja nie mam płyty Milesa Davisa...”.

Muzyka trzęsła szybami w oknach. Wyciągnąłem lewą rękę do nocnej szafki i otworzyłem szufladę, oczekując, że lada moment oślepią mnie światła, po czym z miejsca nastąpi atak niewyobraźnego bólu. Natrafiłem ręką na subkompaktowego glocka kaliber 40, mój nowy pistolet. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy załadowałem nabój do komory, schowałem więc broń pod nakrycie i odsunąwszy zamek, namacałem przez okno wyrzutowe półpłaszczowy pocisk z otworem, gotowy do wystrzelenia. Przez dwie minuty leżałem w łóżku, pozwalając oczom przywyknąć do ciemności. Potem rozejrzałem się po pokoju, mrużąc powieki, żeby intruz nie zobaczył białek moich oczu. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że jestem sam. „Chyba że siedzi w szafie”. Przetoczyłem się na drugą stronę łóżka i sięgnąłem po telefon, żeby zadzwonić pod 911. Miles grzmiał ze słuchawki. „Och, Jezu”.

Opuściłem stopy na dywan i podkradłem się do drzwi, myśląc: „Nie schodź tam. Orson może być w każdym miejscu domu. Wiem, że to on. Proszę, niech to będzie sen”.

143-

Odsłonięty korytarz na piętrze biegł przez całą długość salonu, a moja sypialnia znajdowała się na końcu. Przy drzwiach zatrzymałem się i wyrząłem na pusty korytarz. „Za ciemno, żeby zobaczyć cokolwiek na dole w salonie”. Dostrzegłem jednak czerwone i zielone światełka stereo rozbłyskujące w pobliżu schodów. Przez wysokie okna salonu widziałem drzewa, jezioro oraz dalekie niebieskie światło na końcu przystani Waltera. „Dziś w nocy mogę zginąć”.

Z palcem na włączniku światła nie potrafiłem się zdecydować, czy włączyć przycisk oświetlający korytarz. „Może on jeszcze nie wie, że wstałem. Nie będę go o tym powiadamiał”.

Troje otwartych drzwi prowadzi do ciemnych pokoi po prawej stronie holu, po lewej zaś znajduje się dębowa balustrada. Serce waliło mi jak młot kowalski. „Do schodów”. Pognałem

przez korytarz, gdy So What zagłuszało odgłos moich kroków. Przykucnąwszy u szczytu schodów, pomimo lodowatego potu szczypiącego mnie w oczy, wpatrywałem się przez balustradę w rozległy salon. Patrzyłem na kanapę, mały fortepian, barek, kominek - niewyraźne, rozmyte kształty tonące w cieniu na dole. Dalej znajdowały się miejsca, których nie mogłem dojrzeć - kuchnia, hol wejściowy, mój gabinet. „On może być gdziekolwiek”. Powstrzymując fale historycznego dygotania, tak silnego, że nawet nie kładłem palca na spuście, pomyślałem: „Robi to, żeby mnie nastraszyć. To go kręci”.

Gniew zajął miejsce przerażenia. Podniosłem się, jak burza zbiegłem po schodach i wpadłem do salonu.

- Orson! - wrzasnąłem, przekrzykując muzykę. - Czy wyglądam, jakbym się bał? NO, DALEJ!

Podszedłem do stereo i wyłączyłem je. Otoczyła mnie zięjąca cisza, zapaliłem więc lampę obok stereo, a jej łagodne, ciepłe światło podniosło mnie na duchu. Nasłuchiwałem, wpatrywałem, lecz niczego nie usłyszałem ani nie zobaczyłem. Wzięłem pięć głębokich wdechów i oparłem się o ścianę, żeby

144-

powstrzymać odradzający się strach. „Wyjdź przez kuchnię na taras. Wydostań się stąd. Być może on tylko sobie z tobą pogrywa. Może już poszedł”.

Gdy ruszyłem w stronę tylnego wyjścia, coś w wykuszu między kuchnią a salonem sprawiło, że się zatrzymałem. Na szklanym stoliku stała kasetka wideo bez opisu. Podniosłem ją, ponownie obejrzałem się przez ramię na korytarz na piętrze, a następnie na hol wejściowy. Żadnego poruszenia. Chciałem przeszukać gabinet oraz trzy pokoje gościnne na piętrze, ale nie miałem śmiałości wędrować po własnym domu ze świadomością, że on czai się w jakimś kącie czy zakamarku, czekając, aż nieświadomie przejdę obok niego.

Zawróciłem do stereo i kina domowego, włożyłem kasetę do magnetowidu, włączyłem telewizor i usadowiłem się na sofie tak, żeby móc obserwować ekran, jednocześnie mając oko na większą część salonu.

Ekran jest niebieski, później czarny. W prawym dolnym rogu pojawiają się data i godzina: 30.10.96, 11.08. „To dzisiaj. Nie, teraz to już wczoraj”.

Słyszę głos, potem dwa głosy, tak ciche i przytłumione, że podkręcam głośność.

- Czy chciałby pan, żebym ją podpisał?

- Mógłby pan?

- Z przyjemnością.

- Ma pan pióro?

- Cholera, nie mam... Och, chwileczkę.

- Chce pan, żebym ją tylko podpisał?

- Czy mógłby pan... podpisać ją dla mojej dziewczyny?

- Oczywiście. Jak ma na imię?

- Jenna.

- J-E-N-N-A?

- Tak. Będzie zachwycona. Bardzo panu dziękuję.

145-

Ekran wciąż jest ciemny. Odgłos silnika samochodu wprawia telewizor w drgania i wtedy pojawia się pierwsze ujęcie - przez tylną szybę jadącego auta i z odległości stu stóp. To ja, wchodzący po schodach do domu matki. Ekran robi się czarny i cichy. Wciąż jest 30.10.96, teraz godzina 11.55. Obraz rozjaśnia się, kamera powoli filmuje panoramę ciemnego pomieszczenia. „Och, Boże”. Betonowe ściany i podłoga. Przedmioty w pomieszczeniu zdradzają miejsce: dwa czerwone rowery, zniszczona trampolina do ćwiczeń, plastikowa biała choinka, całe góry kartonowych pudeł oraz kilka stosów płyt - to mała, pozbawiona okien piwnica w domu matki.

Kamerzysta zatrzymuje się przy ujęciu przedstawiającym czternaście stopni wiodących na górę, a potem obraz upiornie podskakuje, kiedy filmujący wchodzi po schodach. Pierwsze drzwi w korytarzu otwierają się ze skrzypieniem, a kamera robi zbliżenie na moją twarz, gdy siedzę w milczeniu na kanapie u matki, oglądając wyciszony telewizor.

- Taki dobry syn, odwiedza matkę - szepcze głos. Potem kamerzysta zamyka drzwi i na palcach schodzi do piwnicy. Ustawivszy kamerę na szczycie sterty płyt naszego ojca, Orson przykuca przed nią; schody znajdują się teraz za nim, a ekran ciemnieje.

Obraz powraca, ukazując to samo ujęcie piwnicy. Jest 30.10.96, godzina 19.25. Orson nachyla się do obiektywu i mówi szeptem:

- Właśnie wyszedłeś, Andy.

Uśmiecha się. Ma na sobie roboczy kombinezon, chociaż w kiepskim świetle piwnicy nie potrafię określić jego koloru.

- Nie chcę, żebyś się martwił, Andy - szepcze Orson. - To śledzenie ciebie jest tylko chwilowe. W rzeczy samej, kiedy w tej chwili oglądasz to w swoim salonie około drugiej nad ranem, ja znajduję się setki mil dalej, jadąc do stolicy tego wielkiego państwa. A gdy tam skończę, na długi czas wtopię się na powrót

146-
w bezimienne masy. - Orson dwukrotnie kicha. - Ponieważ nie potrafisz trzymać buzi na kłódkę, rozważam posłanie mojego przyjaciela, żeby złożył wizytę Walterowi i jego ślicznej rodzinie. Czy to by cię zmartwiło? Chyba już spotkałeś Luthera. - Uśmiecha się. - To twój fan. - Orson wyjmując z kieszeni zwój drutu. - Za moment pomyślisz, że masz to wszystko na taśmie. Cóż, miałeś to wszystko na taśmie. Pamiętaj o tym. Możemy zacząć? - Orson podnosi kamerę i dalej mówi szeptem, wspinając się po schodach. - Wściekłość, którą zaraz poczujesz, wyzwoli cię, Andy. Pomyśl o tym w ten sposób. Och, jeszcze jedno: oglądaj jutro rano wiadomości.

Otwiera drzwi na korytarz. Gdzieś w głębi domu matka śpiewa. Orson zatrzaskuje drzwi, otwiera je i znów nimi trzaska, po

czym zbiega po schodach na dół. Ponownie odstawia kamerę na stos płyt i znika z ekranu, kryjąc się gdzieś w półmroku, wśród niezliczonych pudeł. Teraz mam tylko widok na schody i fragment nagiej betonowej ściany.

Cisza. U szczytu schodów otwierają się drzwi.

- Andrew, wróciłeś?

Głos matki rozbrzmiewa w piwnicy, a ja zaczynam się trząść, bezwiednie kręcąc głową. Matka schodzi pięć stopni, zatrzymuje się i teraz widzę jej nogi. Bezustannie mruczę do siebie: „nie”, jak gdyby to miało ją zaprowadzić z powrotem te kilka stopni w górę.

- Andrew? - woła.

Żadnej odpowiedzi. Po trzech kolejnych stopniach matka pochyla się, żeby zajrzeć w głąb piwnicy. Przez kilka sekund przypatruje się rzędom rupieci, po czym prostuje się i ciężko wspina po schodach na górę. Jednak odgłos jej kroków urywa się, zanim matka dociera do drzwi, ona zaś znowu wraca w to samo miejsce i spogląda prosto w kamerę. Widzę zmieszanie na jej twarzy, ale jeszcze nie towarzyszy mu strach.

147-

Matka ostrożnie schodzi na sam dół schodów i zatrzymuje się przed kamerą. Nadal ma na sobie tę zieloną sukienkę, lecz jej białe włosy są teraz rozpuszczone. Z zaciekawieniem wpatruje się w obiektyw. Wyrażna zmarszczka rysuje się między jej brwiami.

- CZEŚĆ, MAMO! - wrzeszczy Orson.

Matka zagląda za kamerę. Strach na jej twarzy mnie zabija, a gdy matka krzyczy i biegnie do schodów, kamera roztrzaskuje się na betonowej podłodze.

Po tym, jak ekran ponownie zrobił się niebieski, jeszcze przez pięć sekund siedziałem w kompletnym szoku. „On zabił naszą matkę. On...” Poczulem zapach płynu do mycia szyb. Twardy metalowy przedmiot grzmotnął mnie w tył głowy.

#

Leżąc na plecach obok kanapy i podnosząc wzrok na okna, zobaczyłem, że do rana zostało już ledwie parę godzin - purpurowo-granatowa poświata jutrzeńki powoli wypierała z nieba ciemność. Gdy z trudem gramoliłem się, żeby stanąć na nogi, bolesny guz z tyłu głowy pulsował bezlitośnie.

Telewizor wciąż był włączony. Ukląkłem i nacisnąłem przycisk wysuwania kasyety w magnetowidzie, lecz taśma została już usunięta.

Odwiesiwszy słuchawkę telefonu w kuchni, powlokłem się po schodach do sypialni. Odłożyłem glocka do szuflady, a sam położyłem się na pościeli, zbierając siły przed tsunami rozpacz, które miało mnie pochłoniąć. Zamknąłem oczy i próbowałem płakać, lecz ból był zbyt intensywny, zbyt surrealistyczny. „Czy to mógł być jakiś nowy koszmarny sen? Może lunatykując,

148-

zszedłem na dół i walnąłem się w głowę. Śniłem pokręcony sen. Istnieje taka możliwość. Tego się trzymaj. Ona śpi. Mógłbym do niej teraz zadzwonić i ją obudzić. Odbierze telefon, poirytowana moim brakiem manier. Ale odbierze i tylko to się liczy". W ciemności sięgnąłem po telefon i wybrałem numer do matki.

Telefon dzwonił i dzwonił.

Rozdział 13

W zimny i rześki poranek Halloween świat obserwował Waszyngton, gdy lokalna policja, FBI, tajne służby oraz rzesze dziennikarzy oblegały Biały Dom. Zaczęło się przed świtem.

O godzinie czwartej trzydzieści rano jakaś biegaczka uprawiająca jogging na East Street zauważyła stos kartonowych pudeł ustawionych na zmrożonej trawie w parku Ellipse, w pobliżu miejsca, gdzie znajduje się Narodowe Drzewko Bożonarodzeniowe. Po powrocie do domu zadzwoniła pod 911.

Zanim przyjechała policja, tajne służby już wkroczyły na scenę i natychmiast pojawiło się podejrzenie, że pudełka mogą zawierać materiały wybuchowe. Prezydent został więc wywieziony w bezpieczne miejsce, personel Białego Domu ewakuowany, a długi na ćwierć mili odcinek East Street za Białym Domem zamknięty.

W Waszyngtonie złe wieści szybko się rozchodzą. Przed ósmą rano ekipy wiadomości lokalnych i sieci ogólnokrajowych już obozowały wzdłuż perymetru ustanowionego przez policję w odległości dwustu jardów od pudeł. Historia trafiła do wszystkich kanałów informacyjnych w kraju, a przed dziewiątą cały świat oglądał, jak robot brygady antyterrorystycznej toczy się w kierunku złowieszczej sterty kartonowych pudełek.

Przez dwie godziny kamery robiły zbliżenia na techników, w kombinezonach chroniących przed wybuchem, wykorzystujących robota oraz aparat rentgenowski do zbadania każdego 153-

pudełka z osobna. Kiedy któreś z nich zostało przebadane, lądowało we wnętrzu opancerzonej ciężarówki. Każde było otwierane, lecz kamery znajdowały się za daleko, żeby stwierdzić, co -jeśli coś w ogóle - znajdowało się w środku. Pudeł było co najmniej z tuzin, antyterrorystyci zaś każde z nich traktowali tak, jakby zawierało bombę atomową. Ta dokładność sprawiała, że zadanie było uciążliwe, i upłynęło jedenaście godzin, zanim zbadano ostatnie i opancerzona ciężarówka odjechała.

Rozpoczęły się spekulacje. Co mieściło się w pudłach, skoro nie była to bomba? Czy to żart? Czy próba zamachu na prezydenta? Plotki i niepotwierdzone doniesienia krążyły w mediach, dopóki o trzynastej trzydzieści FBI nie złożyło oświadczenia, a East Street znowu została otwarta.

Agent specjalny Harold Trent zwrócił się do rzeszy reporterów. Przemawiał do morza mikrofonów, a za nim na tle październikowego nieba widniały tyły Białego Domu. Dwanaście pudeł, z których większość miała pojemność od jednej do trzech

stóp sześciennych, zostało przejętych przez FBI. Nie znaleziono żadnych urządzeń wybuchowych. Wewnątrz każdego z pudełek znajdowało się coś, co wyglądało jak ludzkie serce, oraz kartka z odpowiadającym mu nazwiskiem.

Reporterzy zasypali go gradem pytań: Czy to nazwiska prawdziwych ludzi? Czy te nazwiska zostaną ujawnione? Czy są jacyś podejrzani? Dlaczego pudła pozostawiono w pobliżu Białego Domu? Agent Trent nie chciał snuć teorii. Śledztwo dopiero się rozpoczęło, a FBI zbierze specjalny zespół współpracujący ze stanową oraz lokalną policją, póki osoba lub osoby za to odpowiedzialne nie zostaną aresztowane.

Agent Trent wziął głęboki wdech. Jego wyczerpanie już wyraźnie dawało się zauważyć na ekranie, który pokazywał jego obraz w moim salonie. Spoglądał w kamery i wypowiadał słowa, które w ciągu kolejnych dni będą bez ustanku powtarzane w mediach niczym popularna reklama.

154-

- Przed nami długa droga - powiedział. - Potrzeba będzie czasu na zweryfikowanie, czy to rzeczywiście serca osób zaginionych lub znanych ofiar morderstw. Modłę się, aby tak nie było, ale wydaje się, że to robota seryjnego zabójcy. A jeżeli tak jest, to będzie on nadal zabijał, dopóki nie zostanie ujęty. - Stanowczy czarnoskóry agent odszedł od mikrofonów, podczas gdy reporterzy wykrzykiwali pytania, które on zignorował.

Naród był zafascynowany, media zaś podsycaly jego obsesję. Spekulacje szerzyły się jak pożar, gdyż kraj zakochał się we własnym strachu. Jeszcze zanim FBI potwierdziło, że serca mają związek z autentycznymi morderstwami, media splodziły i wydały na świat potwora.

Ku przerażeniu lekarzy nazwano go „Kardiochirurgiem” - od tej pory już na dobre napiętnując tę zawodową specjalizację. Nikt nie potrafił wypowiedzieć tego słowa bez przywoływania obrazów agentów FBI, Waszyngtonu i antyterrorystów ładujących kartonowe pudła - dzieło szaleńca - do opancerzonej ciężarówki. To dziwne uczucie: być jedynym, który wie.

Rozdział 19

Mgła chłostała mnie po twarzy, gdy moja łódź kierowała się na środek jeziora. Niczego nie słyszałem wśród bulgoczącego turkotu silnika, który zamontowałem na rufie przeciekającej łódki. Wieczne niebo straszło deszczem, gdy tak sunąłem po ołowianej tafli, wypatrując na opustoszałym jeziorze łodzi Waltera.

Pół mili od swojej przystani wyłączyłem silnik. Zewsząd osaczyła mnie chłodna, mroczniejsza cisza i byłem ciekaw, czy zdążę do domu, zanim się rozpada. Chociaż wzdragałem się na myśl o wypływaniu na jezioro, ale nie mogłem już rozmawiać z Walterem w swoim domu bez obawy, że Orson nas podsłuchuje.

Usłyszałem skrzypienie łodzi Waltera, jeszcze zanim ją zobaczyłem. Nerwy miałem w strzępach i żałowałem, że nie wlałem w siebie paru drinków dla kurażu przed tym, co miałem mu do

powiedzenia. Walter zatrzymał swoją równie marną łódkę obok mojej, przerzucił sznur i związał je razem.

- Co tam? - zapytał, gdy silnik ucichł.

- Oglądasz wiadomości?

- Owszem.

Wyjął paczkę marlboro light z brązowego nieprzemakalnego płaszcza i wsunął papierosa do ust. Rzuciłem mu zapalniczkę, którą wydobyłem z kieszeni swojego niebieskiego deszczowca.

156-

- Dzięki - powiedział, wydmuchując kłęb dymu kącikiem ust i odrzucając mi zapalniczkę. - Dziennikarze są w siódmym niebie - stwierdził. - Można to wyczytać na ich ambitnych buźkach. Założę się, że posikali się z radości, kiedy dostali cynk.

- Myślisz, że dostali cynk, hę?

- Och, ktokolwiek podłożył te pudła, doskonale wiedział, co robi. Zapewne obdzwonił z tuzin gazet i stacji telewizyjnych po tym, jak już je podrzucił. Założę się, że powiedział im, iż na tyłach Białego Domu znajduje się bomba. Później ta biegaczka zadzwoniła pod 911, potwierdzając historyjkę, no i bach... Media oszalały. - Walter zaciągnął się papierosem i mówił dalej, wydmuchując dym. - Jasne, że jedyną osobą bardziej niż prasa uradowaną z powodu tych serc jest ten żalosny kutafon, który je tam zostawił. Zapewne siedzi sobie teraz przed telewizorem i trzepie kapucyna, patrząc, jak naród z wypiekami na twarzy chłonie każdy szczegół jego...

- To Orson - oznajmiłem.

Walter zaciągnął się papierosem, starając się wyglądać na niewzruszonego.

- Skąd wiesz? - zapytał, lekko pokaszując przy wydechu.

- On przechowuje serca. W jego chacie w Wyoming stała zamrażarka pełna serc. To jego trofea, jego pamiątki.

- Andy...

- Walterze, posłuchaj mnie przez moment.

Podmuchał nasze łódki, a kropla deszczu pacnęła mnie w twarz.

„Jak powiedzieć facetowi, że naraziło się jego żonę i dzieci?”

- Ta sprawa w Waszyngtonie - zacząłem - to małe piwo.

Moja matka nie żyje. Orson udusił ją zeszłej nocy. Nagrał to na wideo... To jest... - Przerwałem, żeby się opanować. - Wybacz.

Ale zdaje mi się, że naraziłem cię na niebezpieczeństwo.

Walter pytająco przechylił głowę.

157-

- Nie wiem skąd, ale Orson wie albo podejrzewa, że opowiedziałem ci o pustyni.

- O Chryste! - Walter cisnął papierosa do wody. Niedopałek syknął, gdy Walter ukrył twarz w dłoniach.

- Nie powinienem był nic ci mówić...

- Masz cholerną rację, nie powinienem.

- Posłuchaj...

- Co powiedział?

- Walterze...

- Co powiedział, do ciężkiej cholery? - Jego głos poniósł się po jeziorze. W wodzie tuż obok nas plusnęła jakaś ryba.

- Dokładna treść nie jest...

- Wal się. - Otarł łzy z twarzy. - Co powiedział? Pokręciłem głową.

- Czy wspomniał o mojej rodzinie? Łzy, pierwsze tego dnia, popłynęły mi z oczu, gdy pokiwałem głową.

- On wspominał o mojej rodzinie? Walter z trudem łapał oddech.

- Tak mi...

- Jak mogłeś do tego dopuścić, Andy?

- Ja nie chciałem...

- Co mówił twój brat? Chcę znać każde słowo, każdą sylabę, co do litery, i nie waż się twierdzić, że dokładna treść nie ma znaczenia. Gadaj!

- Powiedział, że ponieważ nie potrafię trzymać gęby na kłódkę... - Zamknąłem oczy. „Chcę umrzeć”.

- Dokończ!

- Rozważa posłanie swojego przyjaciela, żeby złożył ci wizytę. I twojej „ślicznej rodzinie”.

Walter obejrzał się w kierunku swojej przystani i domu, skrytego za pomarańczowym listowiem. Mżyło już, nakryłem więc głowę kapturem płaszcza. We wnętrzu mojej łodzi zebrał się już cal wody.

- Kim jest ten jego przyjaciel? - zapytał.

- Nie mam pojęcia.

- Czy to... - Znowu zaczął mieć problemy z nabraniem powietrza.

- Walterze, zamierzam się tym zająć.

-Jak?

- Mam zamiar zabić Orsona.

- A więc wiesz, gdzie on jest?

- Mam pewne przypuszczenia.

- Daj znać FBI.

- Nie. Orson nadal może mnie posłać do więzienia. A ja nie mam zamiaru dać się zapuszkować.

Nasze łodzie kołysały się na niespokojnej wodzie. Poczulem mdłości.

- Znajdę Orsona - oświadczyłem. - Pojedziesz ze mną?

- Żeby ci pomóc go zabić?

-Tak.

Parsknął sardonycznym śmiechem.

- Czy to się dzieje naprawdę? To znaczy, chyba ci odbiło?

- Na to wygląda.

Mżawka przeszła w deszcz. Trząśłem się.

- Muszę wracać do domu - powiedział. - Mam iść z Johnem Davidem i Jenną, będą się bawić w „cukierek albo psikus”.

- Czy pojedziesz ze mną? - spytałem raz jeszcze.
- Sam się domyśl.
- Rozumiem.
- Nie. Nie, nie rozumiesz. Niczego nie rozumiesz. -Łzy znów popłynęły mu po twarzy, ale za chwilę zdołał zapanować nad sobą. - Wyjaśnijmy sobie coś, dobrze? Nie dzwoń do mnie. Nie przychodź do mojego domu. Nie wysyłaj mi e-maili. Nie myśl o mnie. Nie rób żadnej z tych cholernych rzeczy, przez które ten

159-
potwór z piekła rodem mógłby sądzić, że jesteśmy przyjaciółmi. Czy to jasne?

- Tak, Walterze. Chcę, żebyś...

- Ani słowem się do mnie więcej nie odzywaj. Dawaj sznur. Rozwiązałem nasze łódki i rzuciłem koniec sznura. Walter włączył silnik przyczepny i oddalił się, szerokim łukiem zawracając w stronę swojej przystani.

Było już prawie ciemno, a deszcz uderzał równomiernie i mocno w powierzchnię jeziora. Ja także uruchomiłem silnik i popłynąłem w kierunku własnego pomostu. Gdyby w grę nie wchodziło bezpieczeństwo Waltera i jego rodziny, wróciłbym do domu po to, by się zabić.

Rozdział 20

Niemal całą powierzchnię ścian mojego gabinetu zajmują okna, a ponieważ pokój wystaje poza obrys domu, sięgając między drzewa, mam wrażenie, jakbym godziny poświęcone na pisanie spędzał w lesie. Moje biurko dotyka największej tafli szkła z widokiem na las, nie rozprasza mnie więc nic prócz przemykającej od czasu do czasu łani albo szarego lisa. Znad biurka nie widzę nawet jeziora, a stało się tak nie bez przyczyny; widok wody działa na mnie hipnotyzująco i tylko kradłby mi cenny czas.

Otaczało mnie mnóstwo książek, chaotycznie poukładanych na zapelnianych półkach i leżących w stosach na podłodze. W jednym kącie pokoju znajdował się przytłaczający stos listów od wielbicieli oraz ludzi proszących o recenzje. Olbrzymi, zawsze otwarty słownik spoczywał na pulpicie. Po jednej stronie przy drzwiach stała gablotka z egzemplarzami pierwszych wydań oraz tłumaczeń moich powieści, a po drugiej wisiała na ścianie - oprawiona w małą złotą ramkę - fotokopia mojego pierwszego czeku ze skromnymi tantiemami.

Wpatrzony w czarny las, gdy strugi deszczu spływały meandrami po szybie, siedziałem przy biurku, czekając, aż otworzy się strona internetowa. To miała być już piąta akademicka witryna, jaką sprawdzałem. Skupiałem swoje poszukiwania na wydziałach historii uczelni w New Hampshire i Yermont, ale w miarę

161-
kolejnych niepowodzeń zaczynałem się zastanawiać, czy tamtemu kowbojowi nie szwankowała pamięć. Franklin Pierce, Keene State, uniwersytety w New Hampshire i Plymouth nic mi nie dały. Być może „Dave Parker” to tylko bzdurny wymysł Orsona.

Kiedy załadowała się strona Woodside College, kliknąłem na zakładkę „Wydziały”, następnie „Historia” i w końcu na „Wykładowcy Wydziału Historii (alfabetycznie)”.

Czekając na odpowiedź serwera, rzuciłem okiem na zegar na biurku: była dziewiętnasta pięćdziesiąt pięć. „Nie żyje od dwudziestu czterech godzin. Czyś ty ją tak po prostu zostawił w tej brudnej piwnicy?” Biorąc pod uwagę jego numer w Waszyngtonie, nie sądziłem, żeby Orson utrudniał sobie życie taszczeniem naszej matki ze sobą. Złożenie jej ciała na zewnątrz domu byłoby czasochłonne i ryzykowne. Poza tym matka była odludkiem i bywało, że całymi dniami z nikim się nie kontaktowała. „Mój Boże, ona może leżeć w tej piwnicy z tydzień, nim ktoś ją odnajdzie”. Policja musiałaby mnie zawiadomić. Myśl o zgłoszeniu jej zabójstwa nawet nie powstała mi w głowie, ponieważ, o ile się orientowałem, Orson raz jeszcze mnie wrobił. „Matkobójstwo. To wydaje się nienormalne nawet wśród zwierząt”. Nie byłem w stanie zastanawiać się, dlaczego to zrobił. Znów ogarnęło mnie odrętwienie.

U góry strony ze spisem wykładowców widniał krótki akapit wychwalający zdolności i wysokie kwalifikacje czternaściorga profesorów, tworzących kadre wydziału historii. Przejrzałem go, po czym przewinałem listę.

„Skurczybyk”.

„Dr David L. Parker”, głosił wpis.

Chociaż jego nazwisko było powiązane z linkiem, strona nie otworzyła się, kiedy na niego kliknąłem. „Czy to ty? Czy znalazłem cię dzięki jednej krótkiej pogawędce z naćpanym kowbojem z Wyoming?”

162-

Dzwonek do drzwi zaskoczył mnie. Nie spodziewałem się towarzystwa. Zabrałem pistolet z biurka (wszędzie go teraz ze sobą nosiłem) i przeszedłem długim korytarzem oddzielającym gabinet od kuchni i reszty domu. Minałem salon i skręciłem do holu, odbezpieczając broń, zatrzymałem się przy matowym owalnym oknie tuż przy drzwiach.

Dzwonek rozległ się ponownie.

- Kto tam? - zapytałem.

- Cukierek albo psikus!

„Dziecięce głosiki”. Opuściłem broń i wetknąłem ją za tył paska wilgotnych dzinsów. Ponieważ mój dom stał samotnie na dziesięciu akrach lasu, na końcu długiego podjazdu, więc w Halloween dzieciaki rzadko zapuszczały się do moich drzwi po słodycze. W tym roku nawet nie kupiłem dla nich cukierków. Otworzyłem drzwi. Zamaskowany chłopczyk w kostiumie Zorro wycelował we mnie broń. Jego siostra była aniołkiem - w kusym białym szlafrocuku, ze skrzydłami z tektury i aureolą ze srebrnej folii. Za nimi stał mężczyzna o posępnej twarzy, w brązowym płaszczu przeciwdeszczowym, trzymający parasol. Walter. „Dlaczego...”

- Daj cukierka albo cię zastrzelę - oznajmił John David. Ja-

sne włosy czterolatka wystawały spod czarnej bandany. Miał przekrzywioną maskę, mógł więc patrzeć tylko przez jedno wycięcie na oko, ale dzielnie trzymał się roli. - Będę strzelał - ostrzegł mnie ponownie i zanim zdążyłem się odezwać, pociągnął za spust. Gdy plastikowy kurek stuknął raz po raz, krzywiłem się, trafiany każdą kulką. Zatoczywszy się do holu, upadłem na kolana.

- Dlaczego, J.D., dlaczego? - wystękałem, trzymając się za brzuch, i zwałem się na podłogę, uważając, by zza paska nie wypadł mi glock. John David chichotał.

- Patrz, tato, dopadłem go. Idę zobaczyć, czy już nie żyje.
163-

- Nie, J.D. - Walter powstrzymał go, kiedy zmartwychwstałem. - Nie wchodź do domu.

Wróciłem do drzwi, uchwyciłem wzrok Waltera i spojrzałem na siedmioletniego aniołka.

- Pięknie wyglądasz, Jenno - powiedziałem. - Sama zrobiłaś kostium?

- Dzisiaj w szkole - odparła. - Podoba ci się moja różdżka? - Wyciągnęła długi patyk z błyszczącą tekturową gwiazdką przyklejoną na końcu.

- Przejdź się z nami - zaproponował Walter. - Zostawiłem auto przy skrzynce na listy.

- Zobaczę, czy nie znajdę jakichś słodczy dla...

Zaszeleścił papierową torbę, którą trzymał w prawej ręce.

- Mają mnóstwo słodczy. Chodź.

Włożyłem buty, chwyciłem kurtkę oraz parasol z szafy, zamknąłem za sobą drzwi na klucz i wyszedłem na zewnątrz.

Szliśmy chodnikiem, a kiedy dotarliśmy do podjazdu, Walter podał swój parasol Jennie.

- Kotku, idźcie z J.D. troszkę z przodu, przed nami, dobrze?

- Czemu, tatusiu?

- Muszę pomówić z wujkiem Andym.

Wzięła parasol.

- Masz iść ze mną, J.D. - powiedziała, zadzierając nosek przed bratem.

- Nieeee!

- Idź z nią, synu. Będziemy zaraz za wami.

Jenna pognęła przodem, a John David pobiegł za nią i dał nura pod parasol. Zaśmiali się, a ich cienkie dźwięczne głosiki niosły się w lesie. Zabawkowa broń chłopczyka wystrzeliła trzykrotnie.

Walter schował się pod moim parasolem i ruszyliśmy po podjeździe ocienionym szpalerem sosen. Czekałem, aż zacznie mówić, a deszcz bębnił o parasol nad nami. Wieczór pachniał mokrym igliwem.

164-

- Beth się pakuje - wyszeptał. - Zabiera stąd dzieciaki.

- Dokąd?

- Powiedziałem jej, żeby mi nie mówiła.

- Ona wie o...

- Nie. Wie, że coś grozi dzieciom. To wszystko, co musi wiedzieć.

- Przestań! - John David wrzasnął na siostrę.

- Dzieci! - Walter zawołał grubym głosem. - Zachowujcie się.

- Tato, Jenna...

- Nie chcę tego słuchać, synu.

Zastanawiałem się, gdzie ulotnił się gniew Waltera na mnie.

- Czy naprawdę wiesz, gdzie on jest, Andy? - zapytał szeptem.

- Mam jego prawdopodobne alter ego w Nowej Anglii. Nie mogę mieć pewności, póki się tam nie znajdę, ale myślę, że to on.

- Zatem jesteś zdecydowany jechać?

- Tak.

Zatrzymał się i odwrócił się do mnie.

- Zamierzasz go zabić? Ukryć go w jakiejś dziurze, gdzie nikt go nigdy nie znajdzie?

- Taki mam plan.

- I nie masz skrupułów, żeby zabić własnego brata?

- Żadnych.

Ruszyliśmy dalej. Miałem okropne przeczucie.

- Zadzwoń na policję, prawda? - zapytałem.

- Że co?

- Opowiedziałeś im o Orsonie.

- Nie, Andy.

- Ale zamierzasz.

Pokręcił głową.

- Dlaczego nie? - spytałem.

165-

- Podejdz tu, Jenno! - krzyknął Walter. Dzieci odwróciły się i przybiegły z powrotem do nas, tak nisko trzymając parasol, że nie było ich spod niego widać. Walter zabrał parasol od Jenny i podniósł go wyżej.

- Jenno, pokaż wujkowi Andy'emu tatuaż, jaki zrobili ci w szkole.

- Och, pewnie! - odparła, przypominając sobie o nim. - Zobacz, Andy, czy nie jest fajny?

Jenna podciągnęła rękaw kostiumu i pokazała delikatną wewnętrzną stronę prawego przedramienia. Kolana ugięły się pod mną. Od łokcia aż po jej małe nadgarstek ciągnął się napis wykonany różowym niezmywalnym pisakiem: „Pssst”.

Podniosłem wzrok na Waltera. Miał oczy pełne łez.

- Dobrze, dzieciaki. - Uśmiechnął się mimo wszystko. - Już. Teraz biegnijcie przodem. Dajcie nam porozmawiać.

Jenna wzięła parasol i razem z Johnem Davidem pobiegli przodem, podczas gdy my szliśmy dalej. Skrzynka na listy znajdowała się już niedaleko.

- Miała go, kiedy wróciła ze szkoły - mówił Walter. - Beth go zauważyła, gdy zakładała jej kostium. Cholerna nauczycielka nic o nim nie wiedziała. Jenna powiedziała, że jakiś miły pan

rysował dzieciom tatuaże na Halloween. Nie widziała go nigdy wcześniej.

- Jezu, Walterze. Ja...

- Nie chcę twoich przeprosin ani twojego współczucia - wyszeptał. - Jadę z tobą. Przyszedłem ci to powiedzieć. Razem pochowamy Orsona.

Dzieci dobiegły już do białego cadillaca. Zatrzymaliśmy się dziesięć stóp od końca podjazdu i Walter odwrócił się w moją stronę.

- No to kiedy wyjeżdżasz? - zapytał.

- Za dzień lub dwa. Muszę jechać, zanim znajdą matkę.

166-

Jego oczy złagodniały.

- Andy, chcę, żebyś wiedział, że tak mi prz...

- Ja też nie chcę twojego współczucia - przerwałem mu. - To nie pomoże żadnemu z nas w tym, co musimy zrobić.

Skinął głową i obejrzał się przez ramię na Jennę i Johna Davida. Cisnąwszy parasol na bok, rzucali zwiernym z podjazdu w moją skrzynkę na listy, ani razu w nią nie trafiając.

Rozdział 21

W przeddzień mojego wyjazdu do Vermont wypadały nasze trzydzieste piąte urodziny i Orson przysłał mi własnoręcznie wykonaną kartkę. Ułożył kolaż z fotografii - wszystkie zostały zrobione w przyprawiającym o mdłości pomarańczowym oświetleniu jego szopy. Było tam zbliżenie skatowanej buciorami twarzy Shirley Tanner, zdjęcie całej postaci Jeffa w dziurze wykopanej na pustyni, Wilbur na czerwonej plastikowej folii, ukazany od pasa w górę - z wnętrzościami na wierzchu.

Poniżej kolorowego kolażu widniał napis nabazgrany bez wątpienia ręką Orsona: „Co można dać facetowi, który ma wszystko?” Na odwrocie napisał: „Nic. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin od Shirley i ferajny”.

#

Woodside to położona u stóp gór miejscowość w środkowo-zachodniej części Vermont, oddzielona od wielkich miast Północy przez Góry Zielone na wschodzie, zaś na zachodzie przez górskie pasmo Adirondacks w stanie Nowy Jork. W jesienny dzień wygląda niczym kwintesencja amerykańskiego krajobrazu, zapierając dech wspaniałymi widokami łagodnych wzgórz, niekończących się łańcuchów górskich oraz urokliwego miasteczka uniwersyteckiego przycupniętego w dolinie.

168-

Wedle słów pracownika stacji benzynowej, spóźniliśmy się o trzy tygodnie. Wtedy lasy mieniły się najbardziej jaskrawymi barwami od trzydziestu lat. Teraz na drzewach pozostała już ledwie garść liści, zbrązowiałych i suchych, a błękitne niebo lśniło dziwnie kontrastując z zimową szarością krajobrazu. Vermont w listopadzie kryło w sobie posmak takiego samego sztywnego piękna co zwłoki wystrojone do ostatniego pożegnania.

Za opłotkami Woodside, na skraju Gór Zielonych, Walter

i ja zbliżaliśmy się do zajazdu. Jadąc długim, krętym podjazdem widziałem ogromny biały dom usadowiony w połowie zbocza. Na okalającej go werandzie dał się dostrzec jakiś ruch - to puste bujane fotele kołysały się w podmuchach surowego wiatru.

Walter zatrzymał cadillaca na żwirowym parkingu przylegającym do pożółkłego trawnika za domem. Stało tam zaledwie siedem innych aut, a ja poczułem ulgę, że znaleźliśmy się poza granicami miasteczka, w którym mieszkał Orson. Już prawie mieliśmy wybrać motel w śródmieściu Woodside z powodu bliskości uniwersyteckiego kampusu, lecz ryzyko nieplanowego natknięcia się na Orsona było zbyt wielkie.

Powlekliśmy nasze walizy po schodach na werandę i osunęliśmy się na bujane fotele. Górski stok opadał tysiąc stóp w dół od miejsca, w którym siedzieliśmy, zaś słońce późnego popołudnia oświetlało las nagich drzew w dolinie poniżej. Obnażone gałęzie poruszały się na wietrze, a ja wyobrażałem sobie, jak trzy tygodnie temu szelest liści wypełniał powietrze. Po drugiej stronie doliny, ciągnącej się dwadzieścia mil na zachód, mogłem dostrzec terytorium stanu Nowy Jork oraz piętrzący się tam majestatyczny łańcuch gór Adirondacks.

Las przesyciała woń dymu z palonego drewna. Siedząc w chłodzie, nasłuchując i obserwując, wyczułem zniecierpliwienie Waltera.

Po chwili odezwał się:

169-

- Za zimno, żeby tak tkwić na dworze. Zamelduję nas. - Wstał i podniósł swoją walizkę. - Zamierzasz tu siedzieć? - zapytał, idąc w stronę drzwi.

- Owszem.

#

Nasz pokój mieścił się na piętrze, na samym końcu korytarza ze skrzypiącą podłogą. Po przeciwnych stronach pokoju ustawiono dwa dwuosobowe łóżka, a między nimi znajdowało się mansardowe okno z widokiem na góry. Sufit pochyło opadał na boki połączonymi, które spotykały się równą kreską, dzieląc pomieszczenie na dwie części. Dwie małe kanapy w tureckie wzory stały zwrócone ku sobie pośrodku pokoju na drewnianej podłodze, a pomiędzy nimi przycupnął niski stolik. Jak na pokój za siedemdziesiąt pięć dolarów za noc, było uroczo. Znalazły się nawet świeże irysy w szklanych wazonach na każdym nocnym stoliku. Sprawiały, że pachniało tam jak w altanie.

Walter siedział na swoim łóżku, wypakowując ubrania, a ja leżałem na swoim; moja walizka wciąż stała zamknięta na podłodze. Odgłosy niosły się przez ściany, usłyszałem więc głuchy stukot kroków na schodach. Ktoś zapukał.

Przeszedłem przez pokój i zatrzymałem się przy drzwiach.

Nie było w nich wizjera, zapytałem więc:

- Kto tam?

- Melody Terrence.

Otworzyłem drzwi zniewalającej długowłosej brunetce, o wiele za młodej i za ładnej na właścicielkę zajazdu.

- Witam - powiedziałem.

- Rozgościliście się, panowie? - spytała.

- Jak najbardziej.

170-

- Cóż, ja tylko przyszedłem dać wam znać, że za pół godziny podajemy obiad, jeżeli to was interesuje. Danny znowu zapomniał wystawić tablicę z informacją.

- Dzięki za zaproszenie.

- Przyłączycie się do nas? Na dole jest przytulna jadalnia, a Danny przez cały dzień wędzi drób. Będziemy mieć świeże warzywa, domowe ciastka...

- Brzmi cudownie - odparłem. - Do zobaczenia na dole.

- Świetnie.

Uśmiechnęła się i poszła korytarzem do następnego pokoju.

Zamknąłem drzwi.

Walter włożył stertę koszul do szuflady, a zatraskując ją, łypnął na mnie gniewnie.

- I ty się uważasz za autora kryminałów? Sądzisz, że powinniśmy zejść na dół i spotkać się ze wszystkimi gośćmi? A co, jeśli ktoś cię rozpozna, Andy? Jeżeli kiedykolwiek wyjdzie na jaw, że Orson, „Kardiochirurg” - wypowiedział szeptem ten niesławny przydomek - to twój brat i że mieszkał w Woodside, ktoś może dodać dwa do dwóch. Może zapamiętać, że przebywałeś tu, w Vermont, mniej więcej w czasie, gdy zniknął David Parker. A wiesz, że dzięki temu FBI może dobrać się nam do tyłków.

Walter podszedł do okna. Odwrócony do mnie plecami, spoglądał na las, teraz ciemny, bo słońce już zaszło. Jeżeli księżyc już wstał, to musiał jeszcze wspiąć się ponad góry i rozlać swoje nieśmiałe światło.

Podszedłem do przyjaciela stojącego po drugiej stronie pokoju.

- Walterze - odezwałem się, lecz on się nie odwrócił. - O co chodzi? Boisz się?

- Nie możemy niczego spartolić - odpowiedział. - Najdrobniejszej rzeczy.

Wpatrując się w nocny mrok Vermont, poczułem, że te obce ciemności wbijają mi w serce drzazgę tęsknoty za domem.

171-

Znowu byłem dzieckiem, przyznałem się do bolesnej nostalgii, a wtedy ona minęła.

- Dziękuję, że przyjechałeś. - Położyłem mu rękę na ramieniu. - Nie musiałeś tego robić, Walterze. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Odwrócił się i spojrzał mi w twarz.

- To nie ma nic wspólnego z tobą - odrzekł. - Nic a nic.

#

W chłodny, pochmurny czwartek o godzinie jedenastej

rano zaparkowałem cadillaca Waltera w śródmieściu Woodside i z wawym krokiem wyruszyłem do kampusu. Dwu- i trzykondygnacyjne budynki tworzyły szpaler po obu stronach ulicy, która była dość ruchliwa jak na małe miasteczko. Ludzie zapełniali chodniki, siedzieli na ławkach, jeździli na łyżworolkach, gapili się na sklepowe wystawy. Większość stanowili studenci i to oni ożywiali miasteczko; z łatwością można ich było rozpoznać po plecakach oraz nieposkromionej, radosnej apatii na twarzach. Minąłem drogerię, dom towarowy, Valley Cafe, kilka sklepów z odzieżą oraz kafejkę o nazwie „Beans n' Bagels”, przed którą na chodniku rozstawiono stoliki z parasolami. Jak dotąd był to lokal najbardziej tętniący życiem, pełen amatorów kafeiny i dziwacznej muzyki. Na zewnątrz otwartego holu bogaty aromat palonych kawowych ziaren mieszał się z powietrzem ulicy. Kupiłbym sobie kubek kawy, gdybym już nie pochłoniął dwóch w Woodside Inn, gdzie Walter nadal spał w naszym pokoju, wyczerpany po wczorajszej jeździe.

Zabudowania się skończyły, ale chodnik ciągnął się dalej - od śródmieścia w kierunku zalesionego kampusu. Teraz mogłem dojrzeć góry otaczające miasteczko - najwyższe stoki były już białe od pierwszego śniegu. Zastanawiałem się, ilu studentów opuściło zajęcia, żeby spędzić dzień na nartach. Bezlitosny wiatr 172-

wyciskał mi łzy z oczu, zapiąłem więc skórzaną kurtkę aż po podbródek i wbiłem ręce w ciepłe kieszenie.

Brukowana ścieżka odbijała od głównego chodnika w kierunku grupy budynków z cegły. Idąc nią, już po paru chwilach dotarłem do sześciokątnej białej altany. Wydawało się, iż wznosi się dokładnie w samym centrum kampusu, gdyż otaczała ją większość budowli, z których żadna nie była oddalona o więcej niż czterdzieści jardów. Na każdej ze ścian altany widniała przybita gwoździami tablica z wygrawerowanym napisem: „WOODSIDE COLLEGE, ZAŁOŻONY W 1800 ROKU”.

Przeszedłem przez portyk budynku z kamiennymi kolumnami, największy spośród ponad dziesięciu w pobliżu, i wszedłem po schodach. Ogromny zegar tkwił na dachu, otoczony rusztowaniem; jego czarne wskazówki podejrzanie zatrzymały się na godzinie czwartej dwadzieścia.

Wewnątrz budynek był ciemny i zatęchły. Podłoga została ułożona z wypolerowanego marmuru, ściany holu zaś - drewniane i misternie rzeźbione - ozdabiały ogromne portrety niegdyśszych dziekanów, fundatorów oraz nieżyjących profesorów. Pośrodku okrągłego pomieszczenia stał posąg naturalnej wielkości, wpatrując się we mnie pustym wzrokiem. Nie zatrzymałem się, żeby zobaczyć, kto to taki.

Podwójne szklane drzwi prowadziły do sekretariatu uniwersytetu. Otwierając je, dostrzegłem własne odbicie - włosy i świeżo zapuszczona broda były teraz brązowe, a na nosie miałem okulary w drucianych oprawkach. W spłowiałej dżinsowej koszuli i spodniach oraz w kurtce zupełnie nie przypominałem

samego siebie.

W jasnym pokoju bez okien znajdowało się kilka otwartych stanowisk, każde z biurkiem i oddzielone od sąsiedniego. Podszedłem do najbliższego, przy którym jakaś kobieta gorliwie pisała na komputerze. Podniosła na mnie wzrok znad ekranu i uśmiechnęła się, gdy się zbliżałem.

173-

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytała.

Usiadłem na krześle obok jej biurka. Nieustające stukanie palców w klawiaturę mogłoby doprowadzić mnie do obłądu.

- Potrzebny mi plan kampusu, rozkład zajęć na ten semestr i książka telefoniczna kampusu.

Otworzyła szafkową kartotekę i wyjęła broszurę oraz niebieską ulotkę.

- Oto plan, a tu ma pan książkę telefoniczną - powiedziała, kładąc je na schludnym biurku. - Rozkład zajęć będę musiała przynieść z szafy. - Przeszła na drugą stronę pomieszczenia, mrużąc coś po drodze do innej sekretarki. Zajrzałem do spisu telefonów. Miał tylko pięćdziesiąt stron, z czego pierwsze dziesięć zajmowały nazwiska kadry, a pozostałe czterdzieści były przeznaczone dla dwóch tysięcy studentów. Przerzuciłem go aż do litery P.

Pominałem wpisy Page i Paine, po czym zobaczyłem „Parker, David L.". Informacje podane pod nazwiskiem były skąpe - jedynie numer gabinetu, Gerard 209 - oraz odpowiadający mu numer telefonu.

Kobieta wróciła i wręczyła mi rozkład zajęć.

- Proszę, sir.

- Dziękuję. Czy studenci są dzisiaj na zajęciach? - spytałem, wstając.

Pokręciła głową z powątpiewaniem.

- Powinni być - odpowiedziała - ale to pierwszy zimowy dzień w tym sezonie, zapewne więc wielu wagaruje, żeby pojeździć na nartach.

Podziękowałem jej raz jeszcze, po czym podniosłem się i wyszedłem z biura do holu, gdzie minąłem trzy studentki otaczające posąg i szepczące coś do siebie nawzajem. Opuściłem budynek i w śnieżnej zadymce przeszedłem do altany, gdzie usiadłem na ławce ciągnącej się dokoła wewnątrz całej konstrukcji. Najpierw rozłożyłem mapkę i umiejscowiłem Gerard Hall. Mogłem

174-

dostrzec gmach z miejsca, w którym siedziałem - dwukondygnacyjny budynek z cegły tak samo urokliwie podniszczony jak pozostałe.

Gorącym oddechem ogrzałem sobie dłonie, a później otworzyłem rozkład zajęć - grubą broszurę, której pierwsze dziesięć stron zapełniały tony informacji dotyczących zapisów na zajęcia i zakupu książek. Znalazłem alfabetyczny spis zajęć i ich terminów; przeskoczywszy przez antropologię, biologię, komunikację, angielski i francuski, zatrzymałem się wreszcie na harmonogra-

mie zajęć z historii w semestrze jesiennym 1996 roku. Zajęcia z historii zajmowały całą stronę, sunąłem więc w dół listy, póki nie zobaczyłem jego nazwiska:

Hist. 089 Historia Rzymu WYKŁAD
3.0 35 26229 001 TR

GODZ. 11.00-12.15 HD107 D. L. Parker

Wyglądało na to, że był to jedyny przedmiot, którego nauczał, a zerknąwszy na zegarek, uświadomiłem sobie, że wykład właśnie trwa.

Według objaśnienia skrótów nazw budynków, „HD” oznaczało Howard Hall. Odnalazłem go na niebieskiej mapce. Zaledwie dwadzieścia jardów stąd; był to jeden z budynków znajdujących się najbliżej altany. Serce niespokojnie załomotało mi w piersi, gdy spojrzałem na ścieżkę prowadzącą do jego drzwi.

Zanim sam sobie zdołałem to wyperswadować, już schodziłem pod schodach, oddalając się od altany i kierując do Howard Hall. Na lewo od gmachu z sekretariatem budynek tworzył wschodni bok niby-dziedzińca otaczającego altanę. Dwaj studenci palili na schodach, a ja wyminąłem ich i dotknąłem drzwi, myśląc: „A jeżeli to nie on? Wówczas ja pójdę do więzienia, a Walter i jego rodzina zginą”.

175-

Gdy drzwi zamknęły się za mną, usłyszałem jego głos. Niósł się na parterze Howard Hall; jego łagodna intensywność przeniosła mnie znów na pustkowie w Wyoming. Powoli szedłem naprzód, zostawiając za sobą hol, w którym polityczne apele, ogłoszenia o poszukiwaniu współlokatorów oraz zatrzesienie innych świstków oblepiało ściany. W ciemniejszym korytarzu światło wylewało się tylko spod jednych drzwi. Dotarł do mnie chór głosów, a następnie wybuch śmiechu. Głos Orsona wybijał się nad mamrotaniem jego studentów. Skręciłem w prawo i ruszyłem w głąb korytarza, uważając, by moje kroki nie odbijały się echem od podłogi.

Głos narastał i już wkrótce mogłem zrozumieć każde słowo. Zatrzymałem się o kilka stóp od wejścia do sali i oparłem o ścianę. Po głośności śmiechu oszacowałem, że grupa liczyła trzydziścioro lub czterdziścioro studentów. Orson odezwał się znowu; jego głos zabrzmiał dokładnie tam, gdzie stanąłem, po drugiej stronie ściany. Chociaż miałem chęć rzucić się do ucieczki, ukryć się w schowku albo w ubikacji, byle dalej od tego głosu, pozostałem, żeby posłuchać. Założyłem, że nie będzie miał powodu, by wychodzić na korytarz.

- Chcę, żebyście odłożyli pióra i ołówki - powiedział.

Pomieszczenie utonęło w odgłosach przyborów do pisania upadających na drewno. - Aby pojąć historię, musicie ją zobaczyć. To coś więcej niż słowa na papierze. To się wydarzyło. Nigdy nie możecie o tym zapominać. Połóżcie głowy na stolikach - polecił. - Wszyscy. No dalej. A teraz zamknijcie oczy. - Odgłos jego kroków przybliżył się do drzwi. Pstryknął wyłącznikiem i sala pogrążyła się w mroku, a kroki się oddaliły.

- Megalomania - powiedział. - Ktoś mi powie, co to znaczy?
W ciemności rozległ się męski głos.

- Złudzenie wszechmocy.

- Dobrze - odrzekł Orson. - To zaburzenie umysłowe, o tym też pamiętajcie.

176-

Profesor milczał przez pół minuty i w sali panowała cisza.

Kiedy znów się odezwał, w jego głosie pobrzmiwał opanowany, muzyczny ton.

- Jest rok Pański trzydziesty dziewiąty - zaczął. - Jesteś rzymskim senatorem i razem z żoną zostałeś zaproszony do oglądania zmagania gladiatorów wraz z młodym cesarzem, Gajuszem Kaligulą. Podczas przerwy na posiłek, gdy humiliores zostają zgładzeni ad bestias na oczach uradowanego tłumu, Kaligula wstaje, bierze twoją żonę za rękę i wychodzi z nią, eskortowany przez swoje strażę. Doskonale wiesz, co się dzieje, i jest to jasne dla pozostałych senatorów, ponieważ to samo przydarzyło się ich żonom. Ale niczego nie robisz. Po prostu siedzisz na kamiennych stopniach pod błękitnym wiosennym niebem, patrząc, jak lwy ścigają swą zdobycz. Po godzinie Gajusz wraca z twoją żoną. Kiedy ona siada obok ciebie, zauważasz fioletowego siniaka na jej twarzy. Jest roztrzęsiona, ma podartą szatę i nie chce na ciebie spojrzeć. Oprócz ciebie zaproszono jeszcze sześciu innych senatorów i nagle słyszysz, jak Kaligula się do nich zwraca. „Ma małe piersi”, mówi dostatecznie głośno, żeby wszyscy dokoła to usłyszeli. „Jest nudna w łóżku. Już wolę patrzeć, jak lwy jedzą, niż przelecieć ją... jeszcze raz”. Śmieje się i poklepuje cię po plecach, a wszyscy śmieją się wraz z nim. Nikt nie zaprzecza Gajuszowi. Nikt nie rzuca wyzwania cesarzowi. To czysta służalczość, a ty siedzisz tam, kipiąc w środku i żałując, że w ogóle tu przyszedłeś. Jednak jedno słowo wypowiedziane przeciw Kaliguli oznaczałoby dla twojej rodziny pewną śmierć. Najlepiej po prostu siedzieć cicho i modlić się, żeby nigdy nie otrzymać kolejnego zaproszenia.

Odgłos kroków Orsona przybliżył się do drzwi. Cofnąłem się, ale on tylko podszedł, żeby włączyć światła. Salę wypełnił rumor czyniony przez studentów odsuwających krzesła i ponownie otwierających notatniki.

177-

- W następny wtorek - zapowiedział Orson - pomówimy o Kaliguli. Widzę, że niektórych waszych kolegów nie ma dzisiaj z nami, a to może mieć coś wspólnego, albo i nie, ze śnieżycą w górach zeszłej nocy. - Grupa zaśmiała się. Było już dla mnie oczywiste, że studenci go uwielbiali. - W przyszły wtorek będzie sprawdzian o Kaliguli. Nauczcie się podstawowych rzeczy. Kiedy się urodził? Kiedy został cesarzem? Kiedy i jak umarł? Przeczytajcie rozdział dwudziesty pierwszy w waszych skryptach, a nie będziecie mieć problemów. Sądzę, że uznacie Kaligulę za jednego z najbardziej skomplikowanych, intrygujących, ale i niezrozumianych władców w rzymskiej historii. - Umilkł na

chwilę. - Miłego weekendu.

Usłyszałem zatraskiwanie notesów i zapinanie plecaków.

Później zdawało się, że wszyscy naraz wstali i jednocześnie po-
pędzili do wyjścia. Orson także będzie wychodził.

Po drugiej stronie korytarza znajdowały się otwarte drzwi.

Przepchnąłem się między studentami i wślizgnąłem do ciem-
nej, pustej sali, niezauważony. Potem, zerkając zza uchylonych
drzwi, czekałem, aż wyjdzie.

Rozdział 22

Orson zszedł po schodach i ruszył ścieżką. Czekałem w holu
Howard Hall, obserwując go przez okno przy drzwiach. Ubrany
w beżowy wełniany garnitur, czerwoną muchę i zielone szelki,
niósł ze sobą brązową teczkę. Na nosie miał okulary w złotych
metalowych oprawkach. Kiedy znalazł się za altaną, otworzyłem
drzwi i poszedłem za bratem, zwawo maszerującym przez kam-
pus i znikającym w budynku Gerard Hall.

Gdy zbliżałem się do jego siedziby, nadal lekko prosiło.

Temperatura obniżała się w miarę upływu godzin, a niebo - dziś
rano tylko częściowo zachmurzone - teraz było całkiem prze-
słonięte niskimi szarymi chmurami, ocierającymi się o górskie
szczyty.

Gerard Hall okazał się jednym z mniejszych budynków kam-
pusu -jednopiętrowym i wąskim. Jego nazwa została wykuta na
kamiennym frontonie nad wejściem. Poczulem się łatwym ce-
lem, stercząc tak na mrozie przed siedzibą Orsona. Jego gabinet
znajdował się na piętrze, ale on sam mógł przebywać gdziekol-
wiek w budynku i chociaż w oddaleniu czulem się bezpiecznie,
to wiedziałem, że z takiej odległości mój brat natychmiast rozpo-
znałby mnie po oczach.

Siedziałem na schodach przez pięć minut, dopóki nie zebra-
łem dość odwagi, żeby wejść do środka. Jednak gdy już wstałem,
żeby sięgnąć do klamki, na drewnianej posadzce zadudniły kroki.

179-

Zajrzawszy przez okno, dostrzegłem postać wyłaniającą się z ko-
rytarza. Odwróciłem się i oparłem o czarną balustradę akurat
w chwili, gdy drzwi się otworzyły. Poczulem zapach jej perfum,
jeszcze zanim ją zobaczyłem. Starsza kobieta, wciąż piękna, ma-
jestatycznie sunęła po schodach w butach na wysokich obcasach
i w czarnym płaszczu. Jej blond włosy, przyprószone srebrem,
podskakiwały, gdy oddalała się ścieżką wiodącą do miasteczka.
Raz jeszcze zerknąłem przez wysokie, wąskie okno przy wej-
ściu, a następnie, widząc jedynie pusty hol, nacisnąłem klamkę
i wszedłem do środka.

Choć nie było słycać gwaru rozmów ani klikania w klawia-
turę, świetłówki ogłuszająco brzęczały nad głową, rzucając ostre
światło na zakurzoną podłogę. Według informacji na magnetycz-
nej tablicy w szklanej gablotce był to budynek administracyjny
wydziału historii. Nazwiska profesorów oraz numery ich gabi-
netów widniały za szybą wypisane białymi literami. Zagląając
w głąb korytarza, zobaczyłem schody na obu jego końcach. Wy-

brawszy na chybił trafił, skręciłem w lewo i zacząłem wchodzić po stopniach, mijając czworo nieoznakowanych drzwi oraz schodek na miotły.

Z piętra łagodnie docierała muzyka jazzowa. Zatrzymałem się na szczycie schodów i spojrzałem w głąb następnego korytarza. Wszystkie światłówki były pogaszone z wyjątkiem jednej, migoczącej od czasu do czasu na samym końcu. Jedyne stałe światło padało z dvojga otwartych drzwi usytuowanych naprzeciwko siebie, skąd dochodziły głosy rozmawiających ludzi oraz pojękiwanie trąbki.

Skryty w cieniu szedłem w kierunku pierwszego gabinetu w korytarzu. Był zamknięty, a mosiężna tabliczka z nazwiskiem przymocowana do drzwi głosiła: STCHYKENSKI 206. Po drugiej stronie ktoś pisał na maszynie w gabinecie numer 207, z którego szczeliną pod drzwiami wmykały się smugi światła oraz muzyka klasyczna.

180-

Po prawej stronie, piętnaście stóp w głąb korytarza, drzwi Orsona stały otworem, arcydzieło Milesa Davisa Blue in Green sączyło się przez próg. Ostrożnie przesuwałem się do przodu, aż mogłem zobaczyć pusty gabinet Orsona i usłyszeć rozmowę w pokoju naprzeciwko.

- Jeszcze nie mam pewności - mówił Orson.

- Davidzie, nie ma pośpiechu. Po prostu musimy podjąć decyzję przed świętami. Zdaje mi się, że ostateczny termin to dwudziesty pierwszy grudnia.

- To mnóstwo czasu - rzekł Orson. - Chcę tylko z uwagą dokończyć czytanie jego publikacji. Jak na razie podoba mi się to, co widziałem, ale chcę być pewien, Jack.

- Wszyscy chcemy - odparł Jack - a właśnie teraz słyszę od innych, że doktor Harris dobrze by pasował. Ci z nas, którzy czytali jego pracę, uważają, że kwalifikacji ma aż nadto.

Na klatce schodowej na przeciwległym krańcu korytarza rozległo się echo kroków, więc się cofnąłem.

- Cholera - powiedział Orson. - Miałem się spotkać ze studentką. Co powiesz na lunch jutro?

- Znakomicie.

Skrzypnęło krzesło, a ja pobiegłem korytarzem. Po mojej prawej znajdowała się męska łazienka, którą wcześniej bezwiednie minąłem, gdy więc Orson wyszedł z gabinetu Jacka, tam się wślizgnąłem. W ciemnej łazience woda kapała z małego kraniku do umywalki. Uchyliłem drzwi i ponownie wyjrzałem na korytarz. Orson stał teraz w progu własnego gabinetu, opierając się o framugę i rozmawiając z niską i pulchną dziewczyną o jasnobrązowych włosach i bladej twarzy. Nosila plecak na żółtej kurtce przeciwdeszczowej. Uśmiechała się, gdy Orson zapraszał ją do swojego gabinetu i zamykał drzwi.

Pozwoliłem drzwiom od łazienki domknąć się i pogrzyżyłem się w ciemności. Zamknąwszy oczy, oddychałem miarowo, aż łomotanie w piersi zelżało.

181-

Wtem przypomniałem sobie, że wchodząc po schodach, widziałem czerwoną skrzyneczkę ze słowem „Pożar”.

Otworzyłem drzwi. Gabinet Orsona nadal był zamknięty, wybiegłem więc z korytarza na klatkę schodową. Alarm pożarowy zamontowano na ścianie. Przystanąłem i obejrzałem się za siebie w głąb korytarza. Teraz jedyne światło dochodziło z gabinetu Jacka.

Pociągnąłem biały uchwyt i alarm ryknął.

Z powrotem w łazience, której mrok rozjaśniały teraz migające światła. Udało mi się trafić do kabiny, gdzie usiadłem na muszli klozetowej. Drzwi otworzyły się, ktoś coś krzyknął, po czym zamknęły się znowu, bo ciemność upewniła osobę, która weszła do męskiej łazienki, że jest w niej pusto. Po trzydziestu sekundach podszedłem do drzwi.

Piętro opustoszało; większość drzwi stała teraz otworem, wyraźnie rozjaśniając korytarz. Gdy alarm jazgotał, rzuciłem się biegiem w kierunku pokoju 209. Pusto. Wpadłem do środka, zamknąłem za sobą drzwi i zbliżyłem się do okna. Na zewnątrz tłum gromadził się przy wejściu do budynku; ludzie przyglądali się ze zdumieniem, wypatrując dymu. Do tej pory śnieg sypał gęsto, przylepiając się do trawy i topniejąc na bruku. Zastanawiałem się, jak prędko pojawi się straż pożarna.

W pokoju nie było szafek z aktami. Otworzyłem prawą dolną szufladę biurka i odkryłem, że jest zapchana ocenianymi wypracowaniami i sprawdzianami. Szuflada nad nią pękała w szwach od zapasów materiałów piśmiennych - piór, ołówków, kilku notatników. Dwa dzienniki obecności oraz dwa pakiety składanych kartek wypełniały szufladę pośrodku, a obie szuflady po lewej stronie były puste. Żadnych trofeów. Żadnych fotografii. Wcale mnie to jednak nie zdziwiło. Był zbyt ostrożny, żeby trzymać je tutaj. Wiedziałem o tym, ale i tak musiałem sprawdzić.

Monitor, komputer i klawiatura stały oddzielnie na podłodze - stary Tandy 1000 z pościeranymi literami i cyframi na

182-
klawiszach. Po obu stronach okna zawieszono po jednej półce na książki. Rzuciłem okiem na tytuły, lecz nie znalazłem niczego szczególnego. Były to teksty z dziedziny historii, głównie dotyczące starożytnego Rzymu i Grecji. Plakat z Aten oraz oprawiona w ramkę fotografia Orsona stojącego w Koloseum wisiąły na ścianie na wprost jego biurka.

Stos nieotwartych kopert leżał na blacie biurka, więc po nie sięgnąłem. Spośród czterech listów trzy zaadresowano na uczelnię, podając numer gabinetu, ostatni zaś na 617 Jennings Road w Woodside, w Vermont. „Tak!”

Chwyciwszy pióro i kartkę papieru z szuflady z przyborami, przepisałem adres. Następnie jeszcze raz przejrzałem szuflady, żeby się upewnić, iż niczego nie poruszyłem. Orson zaraz by to zauważył.

Alarm pożarowy przestał dzwonić. Wcisnąłem kartkę z adre-

sem do kieszeni i otworzyłem drzwi. Chociaż w korytarzu nadal było pusto, to na dole kręcili się strażacy - słyszałem ich okrzyki i ciężkie stąpanie. Dopadłem klatki schodowej po prawej stronie, wyjrzałem, a gdy niczego nie dostrzegłem, zszedłem po schodach. Na dole zauważyłem dwóch strażaków znikających w gabinetach na parterze. Z boku budynku znajdowało się wyjście awaryjne, rzuciłem się więc do tych drzwi i wybiegłem po kamiennych schodkach na zaśnieżoną trawę. Po pięćdziesięciu jardach zwolniłem kroku, a obejrawszy się przez ramię, zobaczyłem ludzi wciąż czekających przed budynkiem. Orson stał między nimi.

Śnieg sypał już mniej intensywnie, padając teraz dużymi puszystymi płatkami. Uradowany pomaszerowałem po zmrożonej trawie z powrotem w kierunku miasteczka. Walter i ja musimy jeszcze wykopać grób dla Orsona, zanim się ściemni.

Rozdział 23

Odczekaliśmy do osiemnastej trzydzieści, kiedy zachmurzone niebo pociemniało. Wyprowadziłem cadillaca na drogę 116, samotny odcinek autostrady przecinający pustkowie między Woodside a Bristolem. W dolinie pozostało już niewiele śniegu. Temperatura przez cały wieczór oscylowała wokół zera, roztopiając półcalową warstwę mokrego śniegu, który spadł wczesnym popołudniem. Sosny przemykały po obu stronach drogi. Czulem ich zapach nawet wewnątrz samochodu - czysty, gorzkawy aromat. Minęliśmy kilka miejsc przeznaczonych na pikniki oraz pole namiotowe, wszystkie należące do Parku Narodowego Green Mountains. Ja jednak szukałem okolicy, gdzie ludzie w ogóle nie zaglądną. Pola namiotowe były puste o tej porze roku, a ich ścieżki oferowały wygodny dostęp w głąb lasu. Lecz jeśli pogoda znowu się poprawi - co bez wątplenia nastąpi, zanim zima na dobre zmrozi ziemię - wówczas ludzie tłumnie będą chadzać tymi drózkami, niektórzy z psami. Nie miałem czasu ani siły na wykopanie dostatecznie głębokiego dołu.

Jechałem już z dziesięć minut, gdy pobocze rozszerzyło się na długości dwóch aut. Zwolniłem, skręciłem z drogi i koła z poślizgiem zatrzymały się na zabłoconej trawie. Wyłączyłem silnik oraz reflektory, po czym przyjrzałem się okolicy przez przednią szybę i w bocznym lusterku. Autostrada ciągnęła się dalej, ciemna i pusta.

184-

- Sądzisz, że to bezpieczne miejsce? - zapytał Walter.

- Nie gorsze od innych - odpowiedziałem, wyjmując kluczyki ze stacyjki.

Otworzyłem drzwi auta i wyszedłem na zimną, mokrą trawę. Odgłos zatraskiwania samochodu poniósł się echem wśród drzew. Każdy z nas wyjął z bagażnika po łopacie i parze skórzanych rękawic, żeby dłonie nie zeszywniały nam od zimna. Poprowadziłem nas w głąb lasu. Nie uszliśmy daleko, ponieważ trudno byłoby nam odnaleźć to miejsce w bezksiężycową noc. Mieliśmy dźwigać Orsona, a samo błąkanie się z nim po

lesie będzie wystarczająco trudne. Z białych sosen skapywał topniejący śnieg, po chwili więc dygotałem i czułem się jak siedem nieszczęść, tęsknie rozmyślając o kominku w Woodside Inn. Zatrzymałem się czterdzieści jardów od granicy lasu. Drzewa rosły tak blisko siebie, że nie było stąd widać autostrady. Narysowałem strzałkę w igliwiu, oznaczającą kierunek do drogi. Gdybyśmy z jakiegoś powodu stracili orientację w lesie, moglibyśmy wędrować tu przez całą noc, wypatrując autostrady.

- Kopmy - powiedziałem, wskazując płaski kawałek terenu między drzewami.

Wbiłem łopatę w sosnowe igły. Wgryzła się w wilgotną ziemię pod nimi. Praca z początku szła ciężko, gdyż byliśmy zmarznięci, ale wysiłek sprawił, że oblał nas pot. Już po chwili czułem wyłącznie piekący chłód na zaczerwienionych policzkach.

Najpierw wytyczyliśmy zarys dołu. Potem zaczęliśmy kopać, a że pracowaliśmy we dwóch, wkrótce ubyło ziemi na dwie stopy. Kiedy już mi się zdawało, że jest wystarczająco głęboko, położyłem się w dziurze, a Walter zmierzył, ile musiałoby kopać jakieś zwierzę, żeby się do mnie dostać: między Orsonem a powierzchnią powinna zostać stopa ziemi.

Wygramoliłem się i strzepnąłem ziemię z dzinsów, teraz wilgotnych i umazanych błotem. Walter oparł się o pień czerwonego świerku i zapalił papierosa. W niebieskim zmierzchu szczegóły

185- jego twarzy ginęły w cieniu, lecz mogłem być pewien, że wpatruje się we mnie dziwnym wzrokiem. Żar z papierosa rozjarzał się i przygasał.

- No co? - spytałem, a on pokręcił głową. - No, mów, o co chodzi? - Znowu zacząłem dygotać.

- My naprawdę zamierzamy zabić człowieka.

- Nie człowieka, Walterze. Typa, który groził, że naśle psychopatę na twoją rodzinę.

- Może ty się nie boisz, Andy, aleja robię w portki. Tej nocy prawie nie spałem. Nie umiem przestać myśleć, że milion rzeczy może jutro pójść źle. On może uciec. Pozabijać nas. Może nawet wie, że tu jesteśmy. Brałeś to pod uwagę? To psychol, a my sobie z nim pogrywamy.

W oddali trzasnęła gałązka.

- Czy nie robisz tego dla swojej rodziny? - spytałem. - Myśl o nich, kiedy się boisz. Jak to będzie, gdy zobaczysz, że zwierzę, które groziło Jennie, wykrwawia się w tej dziurze.

Las stawał się niepokojąco mroczny.

- Jutro może się zrobić nieprzyjemnie - przyznałem. - Może będziemy zmuszeni... zrobić mu coś, jeżeli nam nie powie tego, co musimy wiedzieć. Jesteś na to gotowy?

- Będę.

Walter ruszył w stronę autostrady. Podniosłem łopatę i poszedłem za nim, licząc kroki od grobu dla Orsona do skraju lasu. Kiedy wyłoniliśmy się spośród drzew, autostrada była pusta, a zimna mgła opadała z gór. Teraz widoczność na drodze wy-

nosiła ledwie sto jardów - za nami zaś znajdowała się tylko nieprzenikniona czerń.

Zostawiłem łopatę opartą o największą sosnę, jaką udało mi się dojrzeć. Będziemy potrzebowali jakiegoś znaku, żeby odnaleźć to miejsce w nocy. Gdy wsiedliśmy do samochodu i światła we wnętrzu zabłyśły, a pasy zabręczały ostrzegawczo, coś we mnie pękło. Walter się mylił. Być może mglisty zmierzch 186-

wzmagał to uczucie, ale ja też się bałem. W drodze powrotnej do zajazdu trzęsły mi się ręce, zaciśnięte na kierownicy. Gdzieś w głębi umysłu nurtowała mnie myśl, czy zdołam to zrobić. Pomimo wszystkiego, co uczynił, Orson to mój brat. Mój bliźniak. Więż istniała.

Walter i ja nie rozmawialiśmy. Wyobrażałem sobie, że nasze milczenie może przypominać to, jakie nastaje wśród żołnierzy, których czeka krwawe zadanie. Nie ma miejsca na czcze pogaduszki. Istnieje wyłącznie pełne skupienie na nadchodzących godzinach oraz psychiczne przygotowywanie się do strasznego czynu.

Rozdział 24

W piątek wczesnym popołudniem, gdy słońce minęło zenit i wkroczyło na zachodnią część nieba, moje łóżko przypominało mały arsenał: mój subkompaktowy glock .40, pełnowymiarowy pistolet .45 należący do Waltera; po dwa pudełka półpłaszczowych nabojów grzybkujących remingtona kaliber 40 o masie 11,7 gramów oraz 12-gramowych .45, dwa dodatkowe magazynki do każdej broni, para walkie-talkie Amherst RS446, osiemnaście fiolek benzodiazepiny, jedna fiolka odtrutki, trzy igły do zastrzyków, rękawiczki z lateksu i skórzane, miniaturowa latarka, kajdanki oraz dwa kombinezony mechaników, które kupiłem w sklepie z nadwyżkami wojska i marynarki w Davidson.

Zdobycie benzodiazepin nie było takie proste. Teściowa Waltera cierpiała na napady panicznego lęku i pośród rozmaitych medykamentów, jakie nagromadziła, znajdował się działający z niewielkim opóźnieniem środek uspokajający o nazwie Ativan. Walter pożyczył sobie trzynaście jednomililitrowych fiolek. Według wyników naszych internetowych poszukiwań taka ilość powinna wystarczyć do uspokajania Orsona na dwa dni, jeżeli zajdzie potrzeba. Minusem było jednak to, że Ativan zaczynał działać po ponad dwudziestu minutach, a ja potrzebowałem czegoś, co zwałoby Orsona z nóg w mniej niż dwie.

Zrobiłem więc coś bardzo nieprawomyślnego.

188-

Pisarzom horrorów uchodzi płazem interesowanie się zbrodnią w celu poznania realiów, więc z biegiem lat zaprzyjaźniłem się z adwokatami, detektywami oraz specjalistami z różnych dziedzin, wszyscy oni zaś byli tak łaskawi, by udzielać mi porad dotyczących prawdopodobieństwa w moich powieściach. Procedury śledcze i sądowe są w moich książkach nabożnie przestrzegane. Zawsze właściwie określam broń. Mój przyjaciel

koroner pozwolił mi nawet uczestniczyć przy autopsji, żebym mógł trafnie oddać wrażenia węchowe w pierwszym rozdziale mojej ostatniej powieści.

W Ależ to zbrodnia znalazł się fragment, w którym bohater wykrada narkotyki ze szpitala. A zatem w trakcie zbierania materiałów do książki zapytałem swojego lekarza: „Gdybyś chciał ukraść narkotyki ze szpitala, jak byś to zrobił?”. Pisarzom wolno zadawać takie pytania i nikt nie żywi podejrzeń co do ich motywów, ponieważ „to do książki”, a ich nazwiska znajdują się w podziękowaniach.

Opowiedział mi więc ze szczegółami, co należy zrobić, i, do licha, miał rację. Jego rada brzmiała: „Przeszukaj pokoju wypoczynkowego dla personelu. To bez znaczenia, że narkotyki są zamykane na klucz, o ile klucze są pozostawiane w szufladach, które zamykane już nie są. Módl się o niekompetentne pielęgniarki. Dowiedz się, gdzie znajdują się kamery. Kup sobie kombinezon sprzątacza i popracuj na tyle długo, aż zobaczysz, gdzie trzymane są klucze do szafki z narkotykami”.

Dzięki beztróskim, mało spostrzegawczym pielęgniarkom z pokoju wypoczynkowego dwa dni przed wyjazdem do Woodside wyszedłem z Mercy Hospital w Charlotte w Karolinie Północnej z pięcioma jednomililitrowymi fiolkami szybko działającej benzodiazepiny o nazwie Versed. Wykorzystywana do usypiania przy zabiegach chirurgicznych, jeżeli zostanie przyjęta dożylnie, może spowodować utratę świadomości w ciągu dziewięćdziesięciu sekund. Niestety, potencjalnie może także

189-
wywołać zapaść oddechową, ukradłem więc też fiolkę antidotum - flumazenilu.

Oprócz dokonania kradzieży przeprowadziłem szerokie badania na temat zastrzyków dożylnych i domięśniowych. Poznałem dawkowanie i przeczytałem monografie o Ativanie i Versedzie. Odrobiłem zadanie domowe, zdobyłem broń, na której można polegać, oraz opracowałem rozsądny plan. Gdy Walter i ja siedzieliśmy naprzeciwko siebie w fotelach, ładując grzybkujące naboje o mosiężnych pociskach do magazynków, ogarnął mnie spokój. „Naprawdę to robimy”, pomyślałem. „Kto robi coś takiego? Potrzeba odwagi od cholery. Byłaby z tego diabelnie dobra książka”.

#

Gdy Walter się zdrzemnął, ja zszedłem na dół. W jadalni brudne naczynia i puste butelki po winie zagracały stół - ofiary poległe podczas lunchu. Wszedłem do kuchni i zapytałem, czy kucharz może mi przygotować kanapkę z indykiem. Nie chciał. Lunch już został podany. Jednak w końcu niechętnie zgodził się i powiedział, że mogę poczekać przy ogniu.

Usiadłem w bujanym fotelu. Ogień na ceglany palenisku już się dopalał. Wyobraziłem sobie, jak buzował wczesnym rankiem, nim śnieg stopniał, a inni goście planowali, jak spędzą dzień. Nadal ogrzewał przytulne miejsce do siedzenia, chociaż teraz już tylko na pół gwizdka. Czekaając, wpatrywałem się

w ostatnie polano. Jarzyło się od spodu, żar pomału zżerał je, zamieniając drewno w popiół i dym.

W świetlicy obok ryczał telewizor. Usłyszałem głos agenta Trenta, omawiającego ostatnie postępy w poszukiwaniach „Kardiochirurga”.

Jakaś para idąca do frontowych drzwi z zaciekawieniem rzuciła okiem na mój strój. Szary jednoczęściowy roboczy kombinizon był dziwnym ubiorem jak na ten luksusowy zajazd.

190-

#

Jennings Road odbijała w lewo od Main Street jakąś milę za uczelnią. Ogołoczone z liści klony i brzozy ocieniały drogę wspinającą się na wzgórze. Po obu jej stronach piętrzyły się sterty liści. W wyobraźni ujrzałem je w pełni jaskrawych barw, ścielące się po ulicy i na trawnikach, zmieniające ten mały kawałek Nowej Anglii w mistyczny świat rządzący się własnymi prawami. W pobliżu szczytu wzgórza, na czarnej skrzynce na listy, zobaczyłem numer 617 wypisany pochyłymi białymi cyframi. Walter zwolnił, ale powiedziałem mu, żeby jechał jakby nigdy nic i zaparkował znacznie dalej. Gdy kontynuowaliśmy jazdę, wpatrywałem się w dom Orsona, nie mogąc uwierzyć, że naprawdę go znalazłem. Z zewnątrz wyglądał skromnie i elegancko; piętrowy dom z mansardowymi oknami wystającymi ze ściany na piętrze i większymi wykuszowymi oknami na parterze. Drewniane ogrodzenie otaczało trawnik od frontu, a wzdłuż brukowanej ścieżki, zakręcającej do podjazdu do ganku, rosły kwiaty. Nie było garażu, a w tej chwili także żadnych samochodów na podjeździe.

Wspięliśmy się na wzgórze i Walter zaparkował przy krawężniku, rozrzucając stos liści. Wyłączył silnik i patrzył na mnie zmęczonym wzrokiem, gdy sięgałem pod siedzenie i wyjmowałem walkie-talkie.

- Kanał osiem, podkanał siedemnaście - powiedziałem, wręczając jedno urządzenie Walterowi. Dostroiliśmy nasze częstotliwości. - Zanim skręciliśmy w Jennings, minęliśmy restaurację. Zaczekaj tam. Ten samochód wygląda podejrzanie, gdy tu stoi, zwłaszcza z tablicą spoza stanu. W restauracji dostaniesz pierwszą wiadomość. Powiem: „Ruszaj, tatusiu”. To będzie znaczyło, że jest w domu, więc przywlecż tu swój tyłek i zacznij krążyć po okolicy. Druga wiadomość będzie brzmiała: „Do domu”, a to oznacza: wracaj pod 617 i z powrotem na podjazd. Chcę, żebyś

191-
wtedy otworzył bagażnik i wracał do auta. Kiedy będziesz przed domem, a bagażnik zostanie otwarty, wyniosę go. Nieprzytomnego. Ułożę go w bagażniku, a ty zawiesz nas do tej dziury przy drodze 116. Jakies pytania?

-Nie.

- Nie przerywaj ciszy radiowej, chyba że w sytuacji awaryjnej. Jeżeli będziesz musiał, zwracaj się do mnie „Wilma”. Ja będę cię nazywał „Fred”. Nigdy nie wiadomo, kto może słuchać.

I nie zapomnij kanałów. Osiem i siedemnaście. Zapisz to sobie na dłoni. - Przypiąłem sobie walkie-talkie i podniosłem ciężką saszetkę z podłogi auta. Przypiąłem ją wokół pasa, otworzyłem drzwi i wyszedłem w popołudniowy chód. - Dopiero szesnasta trzydzieści - stwierdziłem - może więc upłynąć kilka godzin, zanim się odezwę. - Zamknąłem drzwi, a Walter zjechał ze wzgórza, znikając za zakrętem drogi.

Pieszko wróciłem wyżej na wzgórze, a gdy minąłem szczyt, wyłonił się przede mną widok na Woodside. Zastanawiałem się, czy wiosną albo latem, gdy liście okrywały drzewa, trudno byłoby stąd dojrzeć miasteczko setki stóp niżej. Lecz teraz nagie drzewa odsłaniały miejscowość u stóp wzgórza - Main Street, uczelnię, a nawet część śródmieścia oddalonego o półtorej mili na północ. „Śliczna okolica”. Z dała od miast setki takich mogły istnieć w Nowej Anglii, a tysiące po drugiej stronie kraju. Kto by przypuszczał, że „Kardiochirurg” mieszka tutaj, pośród tych sielankowych zabudowań na przedmieściu Woodside?

Podjazdem Orsona doszedłem do białego płotu sięgającego piersi, a odgradzającego podwórze. Wspinając się i przełaząc przez ogrodzenie, zastanawiałem się, czy Orson ma psa. Kiedy moje stopy dotknęły trawy po drugiej stronie, pozostałem na czworakach, wypatrując na trawniku psiej budy i nasłuchując pobrząkiwania łańcucha. Nic się nie poruszyło w pięknie utrzymanej trawie. Biały cedr rzucał cień na podwórze, ale nie było widać psa.

192-

Przeszedłem za róg. Na tyłach domu wysuwało się w głąb ogrodu kamienne patio z białymi plastikowymi krzeselkami. Wszedłem po trawie na patio, skąd drzwi balkonowe prowadziły do oranżerii. Podkradłem się pod same drzwi i zerknąłem przez szybę. Nie paliły się żadne światła, ale wpatrując się w cienie, mogłem dostrzec wewnątrz kuchni za oranżerią. Dom wydawał się pusty. Spróbowałem przekręcić gałkę, lecz drzwi były zamknięte. Nie było jednak zasuwy, ulżyło mi więc, że muszę wybić tylko jedną szybkę.

Wyjąłem skórzane rękawiczki z saszetki i chwyciłem kamień wielkości piłki bejsbolowej, leżący w zwiędniętym ogrodzie przylegającym do patio. Kiedy już nałożyłem rękawiczki, uderzyłem kamieniem w szybę najbliższej gałki. Rozległ się brzęk, a okruchy szkła posypały się na podłogę po drugiej stronie drzwi. Wciąż trzymając kamień, nasłuchiwałem, czy rozlegnie się alarm, ale w domu panowała niezmacona cisza. Upuściłem kamień i przekręciłem klucz.

Ciepły oddech centralnego ogrzewania pieszczotliwie otulił mi twarz, gdy tylko drzwi stanęły otworem. Wkroczyłem do środka, zdjąłem skórzane rękawiczki i schowałem je z powrotem do saszetki. Po wytarciu swoich odcisków palców z gałki z zewnętrznej strony wcisnąłem dłonie w rękawiczki z lateksu i zamknąłem za sobą drzwi.

Nie ufałem tej ciszy. Stojąc w oranżerii, zauważyłem przy-

gasające światło przesączające się przez wysokie, rzeźbione szklane panele. Plecione krzesła zostały rozmieszczone nieco chaotycznie na podłodze pokrytej linoleum we wzory udające bruk, a rośliny w donicach wypełniały pomieszczenie aromatem ziemi, jak w cieplarni. Ostrożnie szedłem po podłodze, krusząc butami drobiny szkła. Wyjąłem glocka z saszetki i odbezpieczyłem broń, modląc się, żebym nie musiał strzelać z broni bez tłumika w tym sennym otoczeniu. Ani Walter, ani ja nie zdołaliśmy zdobyć tłumików na czarnym rynku.

193-

Z oranżerii przeszedłem do kuchni, w której białe urządzenia ciągnęły się całymi milami. Przyjrzałem się zdjęciom na lodówce - przedstawiały spływ tratwą dziką bystrzyną oraz Orsona z kobietą, której nigdy wcześniej nie widziałem, stojących ramię w ramię na nagim górskim szczycie.

Przejście po prawej prowadziło do jadalni z kredensem, żyrandolem oraz mahoniowym stolikiem zastawionym kryształami, srebrami oraz porcelaną na białym obrusie.

Ja jednak wybrałem wejście po lewej stronie, zostawiając za sobą kuchnię i wkraczając do salonu. Orson miał nienaganny gust. Nad kominkiem wisiała reprodukcja monochromatycznej litografii Odilona Redona Antoni: Jaki jest sens tego wszystkiego? Diabeł: Nie ma żadnego sensu. Tak się złożyło, że postać na ciemnej litografii uderzająco przypominała mężczyznę, który zaczął mnie na ulicy przed domem matki, prosząc o autograf. „Luther”. W dalekim kącie stał stary fortepian formy Steinway, a przed gazowym kominkiem na podłodze rozpościert się perski dywan, otoczony przez futon i dwa krzesła ze skórzaną tapicerką o barwie burgunda. Tuż po mojej prawej wznosiły się schody, a na wprost, u ich stóp, widniały frontowe drzwi.

Przeszedłem przez salon; moje kroki zadudniły na drewnianej podłodze. Drzwi po lewej, w pobliżu steinwaya, prowadziły do biblioteki. Przekroczyłem próg pokoju pełnego książek.

W pracowni Orsona pachniało przyjemnie, starym papierem i cygarami. Środek pokoju zdominowało bogato zdobione biurko, identyczne z tym w moim własnym gabinecie. Nawet obrotowe krzesło było takie samo. Przeszukując szuflady, niczego nie znalazłem. Wszystkie listy zaadresowano do doktora Davida Parkera, większość teczek zawierała materiały naukowe dotyczące starożytnego Rzymu. Nie było też fotografii na biurku - jedynie komputer, cedrowy humidor pełen cygar Macanudo Robusto oraz karafka z koniakiem.

194-

Ściany zakryte były szafami z książkami. Tytuły wskazywały na tę samą, konkretną dyscyplinę naukową co książki, jakie widziałem w jego gabinecie na uczelni: Społeczeństwo agrarne w Rzymie w III w. p.n.e., Polityczna rola trybunatu a władza cesarska przed Cezarem, Stosunki międzynarodowe: Rzym, Kartagina i wojny punickie. Cichy warkot silnika samochodu przyciągnął mnie do okna. Dwoma palcami rozsunąłem żaluzje i patrzyłem, jak biały lexus

skręca na podjazd Orsona. Czekałem, a mój żołądek skręcał się w supeł. Jeżeli Orson wejdzie przez tylne drzwi, zobaczy potłuczone szkło.

Pojawił się nagle, szybkim krokiem pokonując chodnik, ubrany w oliwkowy garnitur i z teczką w ręku. Odsunąłem się od żaluzji, ukląknąłem i wpełzłem pod jego biurko.

Klucz wsunął się do zamka i frontowe drzwi stanęły otworem. Orson pogwizdywał, wchodząc do środka, ja zaś wcisnąłem się najgłębiej, jak się dało, w mrok pod biurkiem. Odgłos jego kroków przemieszczał się po salonie, po czym przeniósł do pracowni. Ogłuszający łomot wstrząsnął biurkiem i przyprawił moje serce o palpitacje. Orson upuścił teczkę na blat. Gdy obchodził biurko, idąc w kierunku krzesła, przygotowałem broń.

Gdzieś w głębi domu zadzwonił telefon. Orson zatrzymał się. Teraz widziałem jego nogi, szpiczaste czubki eleganckich czarnych butów. Czuję jego zapach - czysty, przesycony słodyczą wody kolońskiej, znajomy. Woń naszego potu po męczącym dniu była identyczna. Telefon zadzwonił znowu, a on wybiegł z pracowni, mamrocząc pod nosem coś niezrozumiałego.

Odebrał w kuchni po trzecim dzwonku.

- Halo?... Cześć, Arlene... Tak, oczywiście... Cóż, no to może wpadniesz? Nastawimy coś... Nie, nie rób tego. Dopiero co przyszedłem... Dobrze. Brzmi świetnie. No to do zobaczenia.

Odwiesił słuchawkę i wrócił do salonu. Przez chwilę sądziłem, że wraca do pracowni, uniosłem więc broń. Ale odgłos jego kroków oddalił się, gdy wbiegł po schodach.

195-

Rozdygotany wygramoliłem się spod biurka. Kiedy na górze rozległ się szum prysznic, przykucnąłem, wyjąłem walkie-talkie z saszetki i naciśnąłem przycisk.

- Wilma - szepnąłem. - Wilma? Słyszysz mnie?

- Słyszę. - Głos Waltera zatrzeszczał w głośniczku. Przyciszyłem urządzenie. - Ty jesteś Wilma. Ja jestem Fred - powiedział.

- On tu jest - wyszeptąłem. - Na górze, bierze prysznic.

- Czy znalazłeś...

- Nie mogę teraz gadać. Ruszaj, tatku.

- Że co?

- Przyjedź tutaj i czekaj na następny sygnał.

Wyłączyłem walkie-talkie i przeszedłem do salonu. Schody przykrywał dywan, stąpałem więc bezgłośnie, wchodząc na piętro. Gdy wyłoniłem się pośrodku przyciemnionego korytarza, zobaczyłem tam sypialnie na każdym krańcu i zamknięte drzwi na wprost; wydostające się spod nich światło podpowiadało, że to łazienka. Buty Orsona, jego brązowe skarpety w granatowe wzorki, czarny pasek oraz oliwkowy garnitur ścieliły się na podłodze, wskazując szlak aż do drzwi.

Pod prysznicem podśpiewywał Ali You Need Is Love The Beatles.

Zrobiłem krok w stronę łazienki. „Otwórz drzwi, wślizgnij się do środka, a potem wbił mu igłę przez zasłonkę prysznic...”

Rozległ się dzwonek do drzwi, a ja zamarłem na korytarzu, zastanawiając się, czy on także go słyszał. Po pięciu sekundach prysznic ucichł i usłyszałem plaśnięcia mokrych stóp na kafelkach oraz gorączkowe pocieranie tkaniny o skórę. Pobiegłem w głąb korytarza, a dalej do sypialni na prawo. Ponieważ leżały tam ubrania porzucane po całej podłodze, założyłem, że to jego pokój. Po prawej stronie mansardowe okno wychodziło na Jennings Road, a dalej na zaśnieżone góry Adirondacks. Alkowę wyścielały poduszki i naszła mnie natrętna myśl, że Orson musi

196-
spędzać sporo czasu, czytając w tym kąciku przy mansardowym oknie.

Po mojej lewej widniała przestronna otwarta garderoba.

Dałem nura do jej wnętrza, gdy otworzyły się drzwi łazienki.

Dzwonek przy drzwiach zadźwięczał ponownie, a Orson zawołał, zbiegając ze schodów:

- Mówiłem ci, żebyś po prostu weszła!

Nie słyszałem, jak otwierał drzwi. Przeciskając się między wieszakami z garniturami o zapachu kulek na mole oraz sztywnymi swetrami, w końcu ulokowałem się w najodleglejszym zakątku ciemnej szafy.

Po chwili Orson wrócił schodami i wszedł do swojego pokoju. Dostrzegłem go przelotnie przez wieszaki - nagiego, naciągającego bokserki i niebieskie džinsy, wciąż splątane na podłodze, tak jak je zostawił. Stał bez koszuli przed ogromnym lustrem, czesząc mokre włosy, znacznie teraz dłuższe niż wojskowa fryzura na zapalce, jaką nosił na pustyni. Uśmiechając się do siebie, wyszczerzył zęby, bezgłośnie wypowiadając do lustra jakieś słowa, z których żadnego nie zrozumiałem. Wtedy po raz pierwszy mogłem się dobrze przyjrzeć bratu i upajałem się tym widokiem.

Nadal w wyśmienitej kondycji, wyglądał teraz na bardziej cywilizowanego i przystojnego niż na pustkowiu. Emanował charyzmą, a jego oczy lśniły.

- Nalej sobie kieliszek wina! - zawołał. - Na stojaku jest pinot noir\

Orson otworzył szufladę komody i szperał w niej przez chwilę, aż w końcu wyjął szary nożyk do papieru. Wysunął małe ostrze, wystające nie więcej niż na cal z metalowej osłony. Sprawdzając ostrze kciukiem, raz jeszcze uśmiechnął się do siebie w lustrze.

- Zachowuj się. - Zachichotał. - Tej nocy bądź grzeczny.

- Dave?

Orson odwrócił się.

197-

- Arlene. Wystraszyłaś mnie.

Jej głos dobiegał ze szczytu schodów.

- Gdzie jest stojak na wino?

- Na blacie w kuchni. - Trzymał nożyk za plecami. Ze swojego miejsca widziałem go w lustrze, gdy Orson bawił się nim, wysuwając i chowając ostrze. - Och, Arlene. Włącz jakąś muzy-

kę, dobrze? Milesa Davisa, jeśli nie masz nic przeciwko. Ukrył ostrze, wsunął nożyk do tylnej kieszeni i stroił się dalej.

#

Za mansardowym oknem ostatnie smugi słonecznego światła nikły za górami. Kusilo mnie, żeby chować się w tej szafie przez całą noc, w bezpiecznej kryjówce za wieszakami, między zapachami starych strojów. Jednak zebrałem się w sobie, przechnąłem przez ubrania i wreszcie wygramoliłem z szafy. Ich głosy niesły się aż na piętro. Usłyszałem śmiech brata oraz pbrzękiwanie srebra na porcelanie. Przywołanie odwagi potrzebnej do wylezienia z ukrycia zabrało mi godzinę. „Dzięki Bogu, ciągle jedzą”. Aż raptem do mnie dotarło: „Stłuczona szymba. Proszę, nie chodźcie do oranżerii”.

Skoro chwilowo miałem jego pokój do swojej dyspozycji, skorzystałem z okazji, żeby sprawdzić komodę, półki z książkami oraz szafę. Poszukiwałem zdjęć i nagrań wideo z pustyni. Nie znalazłem jednak niczego, co potwierdzałoby jego hobby, nawet dziennika. Jedynym przedmiotem w sypialni, odzwierciedlającym w niewielkim stopniu upodobanie Orsona do przemocy, była olbrzymia reprodukcja pracy Williama Blake'a wisząca na ścianie naprzeciwko jego łóżka: Papież symonita, piekielny wizerunek piórkami i akwarelę przedstawiający papieża Mikołaja III w płonącej kadzi, z podeszwami stóp przypiekany ogniem. Znałem to dzieło. Była to ilustracja do Pieśni XIX 198-

Piekła z Boskiej komedii Dantego. Ktoś, kto nie znał Orsona, byłby zdumiony jego niezdrowym dobozem ściennych dekoracji. Przeszedłem korytarzem do pokoju gościnnego. Brakowało w nim osobistych akcentów, wypełniały go kiepsko dobrane, eklektyczne sprzęty. Szafa była pusta, podobnie jak dwie szufladki nocnego stolika. Wątpiłem, czy ktokolwiek sypiał kiedyś w stojącym tu jednoosobowym łóżku.

Wymknąłem się z powrotem na korytarz, odwróciłem i zszedłem kilka stopni. Orson przemawiał łagodnym głosem w jadalni. Krzesła zaszurały i usłyszałem odgłos kroków kierujących się do holu. Wycofałem się, a kiedy nie przestawały się zbliżać w moim kierunku, pośpiesznie wdrapałem się po schodach, pomknąłem z powrotem w głąb korytarza i znowu schowałem się w szafie Orsona.

Weszli do pokoju i razem opadli na łóżko. Usłyszałem, jak Orson mówi:

- Bardzo cię lubię.

- Ja ciebie też.

-Tak?

- Nie byłoby mnie tutaj, gdybym cię nie lubiła.

Sądząc po głosie, Arlene miała około trzydziestki i chociaż jej głos był chropawy, zachował nutę dziewczęcej niewinności. Wiedziałem, dlaczego podobała się Orsonowi. Lampa na jego nocnym stoliku zgasła. Przez chwilę całowali się w ciemno-

ściach, a intymne dźwięki przypomniało mi piątkowe wieczory w czasach liceum.

- Co byś powiedziała, gdybym zrobił tak? - zapytał.

- Oooooch.

-Tak?

-Uhm.

W pokoju na moment zapanowała cisza, przerywana wilgotnymi cmoknięciami i pomrukami.

199-

- Czy zgadniesz, co mam w tylnej kieszeni? - odezwał się wreszcie Orson.

- Mmm. Co takiego?

- Musisz zgadnąć, głuptasku.

- Czy to coś okrągłego i zwiniętego?

- Tak właściwie to coś twardego.

- Mmm. - Zadrżała z przyjemnego podniecenia. Słyszałem, jak alkohol zmienił tembr jej głosu.

- I bardzo ostrego.

-Hę?

- Mówiłaś o mnie przyjaciółom?

- Co masz na myśli?

- Czy ktoś wie, że się spotykamy?

-A co?

- Po prostu odpowiedz. - Wychwyciłem w jego głosie gniewną nutę, której ona z pewnością nie zauważyła.

- Tylko dziewczynom w pracy.

Orson westchnął.

- Prosiłem, żebyś nie mówiła nikomu. Mówiłaś im, jak się nazywam?

-A co?

- Arlene, czy mówiłaś im, jak się nazywam?

- Nie pamiętam. - Jej głos złagodniał. - Co powiesz na to, kotku? - Zamek błyskawiczny zaczął się rozsuwać.

W ciemności nastąpiło raptowne poruszenie.

- Nie dotykaj mnie - syknął.

Łóżko skrzypnęło, a ja zastanawiałem się, czy kobieta usiadła.

- Włącz światło - powiedziała. - Włącz je!

Światło się nie pojawiło.

- Czy podałaś swoim przyjaciółkom moje nazwisko?

- Czemu tak dziwnie się zachowujesz?

- Powiedz mi, żebym mógł ci pokazać, co mam w kieszeni.

- Tak, podałam im twoje...

200-

- Niech to szlag.

-Co?

- Możesz sobie iść.

- Dlaczego?

- Wyjdź.

- Co się z tobą dzieje? Myślałam... to znaczy... lubię cię i myślałam...

- Zaplanowałem dla nas coś wyjątkowego na tę noc. A ty po prostu to zniszczyłaś. Miałem zamiar cię otworzyć, Arlene.

- Na co?

- Wynoś się z mojego domu.

Łóżko znów się poruszyło, podłoga zatrzeszczała i rozległ się dźwięk, jakby ktoś wygładzał ubranie.

- Nie mogę uwierzyć, że ja... Potrzebujesz pomocy, Davidzie.

- Możliwe.

- Możesz pójść do...

- Doradzałbym ci wyjście stąd, póki jeszcze możesz.

Wypadła z sypialni na korytarz jak burza, wrzeszcząc: „Cholerny świr!”, a nim dotarła do frontowych drzwi, usłyszałem jej szloch.

Rozdział 25

Gdy Arlene wyszła, Orson przez chwilę siedział w ciemności.

Z jakiegoś powodu spodziewałem się, że będzie płakał, że rozpadnie się na żałosne okrucy, kiedy nikogo nie ma w pobliżu.

Ale tak się nie stało. Gdy moje oczy przystosowały się do mroku, zacząłem rozróżniać kształty w jego pokoju - reprodukcję na ścianie, półki z książkami, nogi Orsona wyciągnięte na łóżku.

Przez okno w wykuszu dostrzegałem promienie światła na czarnych zboczach po drugiej stronie doliny.

Po trzydziestu minutach uznałem, że zasnął, i zacząłem zbierać się na odwagę, żeby wypełznąć z szafy i zrobić to, po co przyjechałem. Lecz kiedy zacząłem się przesuwać, on raptownie się poderwał. Zastygłem i patrzyłem, jak sięga pod łóżko i kładzie na materacu coś, co wyglądało jak pudełko po butach. Orson zsunął ze stóp mokasyny i kopnięciami posłał je w przeciwnie strony pokoju. Jeden grzmotnął w szafę i omal trafił mnie w głowę.

Usłyszałem mechaniczne stukanie. Orson na powrót usadowił się na materacu i zaczął mówić cichym, monotonnym głosem:

- Jest godzina... dziewiętnasta czterdzieści trzy, piątek, ósmego listopada. Arlene przyszła do mnie dziś wieczór. Mówiłem ci o niej. To ta prawniczka z Bristolu. Miało się to stać tej nocy. Myślałem o tym przez cały dzień. Cały tydzień. Ale ona wspomniała o mnie, to znaczy wymieniła moje nazwisko, 202-

jakimś swoim współpracownicom, co wszystko przekreśla. Było to ćwiczenie z samokontroli. Nigdy jeszcze nie posłużyłem się nożem do papieru, jestem więc bardziej niż lekko rozczarowany, że dzisiejszej nocy się nie udało. Jeżeli będę się musiał dłużej obywać bez żadnej rozrywki, mogę uciec się do czegoś lekko-myślnego, jak wtedy w Burlington. Ale ty sam wyznaczyłeś zasadę, żeby nigdy nie robić tego w tym mieście, a że to rozsądna zasada, niczego więc nie schrzęć.

Wyłączył dyktafon, ale po chwili znów nacisnął przycisk nagrywania.

- Ostatnia rzecz. Zaglądałem dzisiaj do Internetu i zobaczyłem, że druga apelacja Jamesa Keillera została odrzucona.

Domyślałem się, że to oznacza, iż wyznaczają datę egzekucji na następny semestr. To piękne, czego dokonałem. Naprawdę piękne. Może będę musiał zrobić sobie wycieczkę do Nebraski, kiedy go podłączą do kontaktu. Bo zdaje mi się, że tak to robią w tym kukurydzianym stanie.

Odłożył dyktafon do pudełka po butach i wyjął coś innego.

Zsunął się z łóżka i podszedł do komody, na której stał telewizor z magnetowidem. Włożył taśmę i włączył ekran. Gdy pojawił się obraz, Orson położył się na brzuchu z głową na skraju materaca, podparty na łokciach i z podbródkiem na dłoniach.

Miał to w kolorze. „Och, Boże! Ta szopa”. Stłumiłem falę mdłości.

- To jest Cindy i właśnie oblała test. Przywitaj się, Cindy.

Kobieta była przywiązana do drążka i miała skórzaną obrozę wokół szyi. Orson odwrócił się do kamery ze spoconą twarzą i błyszczącymi oczami, rozpromieniony i podekscytowany.

- Cindy wybrała sześciocalowy nóż do trybowania.

- Przestań! - krzyknęła.

Zatkałem sobie uszy i zamknąłem oczy. Strach w jej głosie sprawił, że zrobiło mi się słabo. Nawet przy przyciszonym nagraniu wciąż mogłem słyszeć najbardziej przeszywające wrzaski.

203-

Na łóżku Orson także wydawał odgłosy. Spod na wpół zmruczonych powiek dostrzegłem, że odwrócił się na plecy i ogląda obraz na ekranie do góry nogami, robiąc sobie dobrze.

Nagranie morderstwa kobiety przez Orsona nie było zbyt długie, oglądał je więc raz za razem. Gdy skupiłem się całkowicie na własnym tętnie, odkryłem, że mogę niemal zupełnie wyłączyć się na dźwięki z telewizora i jęki Orsona. Licząc uderzenia serca, doszedłem do 704.

#

Kiedy znów otworzyłem oczy, w pokoju panowała cisza. Potrząsnąłem głową i przeraziłem się na myśl, że mogłem chrapać albo stracić cenne godziny, drzemiąc w jego szafie. Zerknąłem na zegarek, zobaczyłem, że dopiero co minęła dziewiąta trzydziści, i poczułem ulgę, gdyż Walter i ja wciąż mieliśmy większą część nocy na zabicie mojego brata.

Z łóżka słychać było głęboki oddech. Rozpoznałem rytm długich wydechów Orsona. Prawie pewien, że śpi, wyjąłem strzykawkę oraz fiolkę Versedu. Zrzuciłem plastikowy kapturek, przebiłem igłą gumową osłonkę i odciągnąłem tłoczek, aż butelczka się opróżniła. A potem dodałem zawartość jeszcze dwóch fiolek. Mając piętnaście miligramów Versedu w strzykawce, pozbierałem kapturki i umieściłem trzy puste fiołki na powrót w saszetce, powoli zasuważąc suwak tak, że nawet ja nie usłyszałem najdrobniejszego zgrzytu powtórnie przeplatających się ząbków. Z igłą w lewej ręce, a glockiem w prawej wystawiłem głowę spomiędzy wieszaków i zacząłem cal po calu wydobywać się na zewnątrz.

Gdy już pewnie stanąłem na drewnianej podłodze otwartej

garderoby, przyszło mi do głowy, że być może on wcale nie śpi. Możliwe, że tylko odpoczywa, oddychając powoli w transie, jak 204-

w jodze. Po trzech krokach stanąłem na skraju garderoby, wbijając wzrok w Orsona leżącego na łóżku.

Jego pierś unosiła się i opadała w niespiesznym rytmie charakterystycznym dla snu. Opadłem na kolana, przytrzymując plastikową strzykawkę zębami, i sunąłem po zakurzonej podłodze. Tuż przy jego łóżku zatrzymałem się, odegnałem kolejną falę mdłości oraz uspokoiłem oddech. Pot ciurkiem zalewał mi czoło i oczy. Pod warstwą lateksu miałem mokre dłonie.

Kucając na podłodze, wyjąłem strzykawkę z ust, po czym przytrzymując ją przed nosem, wycisnąłem z niej maleńki strumyczek, żeby usunąć pęcherzyki powietrza. Orson poruszył się na łóżku. Wcześniej był zwrócony do mnie plecami, jednak obrócił się, teraz więc znajdowałem się z nim twarzą w twarz. „Wystarczyłoby tylko, żeby otworzył oczy”.

Jego lewa ręka była wspaniale odsłonięta. Wydobyłem miniaturową latarkę i trzymając ją w zębach, oświetliłem jego przedramię. Mogłem dostrzec mnóstwo niebieskofioletowych żył pod powierzchnią skóry. Z ogromną cierpliwością i skupieniem opuszczałem szpic igły, aż zawisł tuż nad skórą. Istniała możliwość, że to go zabije. Ponieważ usiłowałem zrobić mu zastrzyk dożylny, znaczna dawka Versedu wtargnie do jego krwioobiegu, a kiedy dotrze do centralnego układu nerwowego, Orson może przestać oddychać. „Opanuj dłonie”.

Gdy wbijałem igłę w żyłę zgięcia łokciowego, jego oczy się otworzyły. Wstrzyknąłem narkotyk. „Proszę, traf w żyłę”. Orson poderwał się i stęknął. Wypuściłem strzykawkę i odskoczyłem: igła wciąż tkwiła w jego ręce. Wyrwał ją i podniósł do oczu, oszołomiony.

- Andy? - wyszeptał niewyraźnie. -Andy? Jak ty... - Przełknął kilka razy, jakby coś zatykało mu tchawicę.

Wstałem i wycelowałem w niego broń.

- Połóż się, Orson.

205-

- Coś ty mi dał?

- Kładź się!

Oparł się z powrotem na poduszkach.

- Boże - powiedział. -Ale to mocne.

Mówił, jakby był już pod wpływem leków, i zdawało mi się, że zamknął oczy.

Włączyłem lampę przy łóżku, żeby mieć pewność. Zobaczyłem szparki.

- Co ty wyprawiasz, Andy? - zapytał. - Jak ty... - Urwał w pół słowa.

- Zabiłeś mi matkę - powiedziałem do niego.

- Ty chyba nie...

Jego powieki się zamknęły.

- Orson? - Widziałem czerwoną plamkę na jego ręce w miej-

scu, gdzie igła przebiła skórę. - Orson!

Nadal się nie poruszał, wyciągnąłem więc rękę i uderzyłem go w policzek. Jęknął, ale ta nieartykułowana odpowiedź tylko mnie upewniła, że narkotyk przejął nad nim kontrolę.

Wróciłem do garderoby i wyjąłem z saszetki walkie-talkie.

- Walter? - odezwałem się, zadyszany. - Walt... Fred?

- Słucham.

- Jesteś blisko?

- Sto jardów.

- Podjedź tu i wejdź do środka.

Oparłem się o ścianę i starłem pot z powiek.

Orson zerwał się z łóżka i wbił głowę w mój żołądek, zanim zdążyłem choćby pomyśleć o pistolecie. Kiedy straciłem dech, huknął mnie kolanem między nogi i obiema rękoma chwycił z tyłu za szyję. Grzmotnął mnie czołem w nos, aż poczułem, jak chrząstka pęka, a potem płonie. Chłodna krew chlusnęła na wargi.

- Coś ty sobie myślał, Andy? Że możesz zrobić coś takiego mnie?

206-

Ledwie zdołałem napelnić płuca powietrzem, gdy Orson zadał potężny cios w brzuch, tuż poniżej pępka. Skuliłem się, a wtedy on kopnął mnie kolanem w twarz, a ja upadłem na podłogę.

W mgnieniu oka znalazł się na mnie; jego palce wbijały się w brzuch pod żołądkiem, gdzie moje dłonie wciąż pozostawały zaciśnięte na glocku. Ostre, brutalne ukłucie przebiło koszulę na plecach. Jęknąłem.

- Tak, lubisz to, prawda? Mam zamiar robić ci to raz po raz.

- Uderzył mnie igłą. Poczulem, jak się we mnie wbija. - Musisz się poddać - oznajmił - a ja zamierzam spędzić weekend, zabijając cię. Coś ty sobie myślał, Andy? No co?

Trzymałem się myśli, że powinienem przynajmniej starać się z nim walczyć, ale gdybym się poruszył, mógłby wyszarpnąć mi broń z dłoni.

Twarda kość grzmociła mnie w tył głowy, a to bolało jak diabli. Poczulem, jak igła wysuwa się i wbija na nowo.

- Ach, szlag by to - mruknął. Ponownie uderzył mnie w tył głowy, lecz cios nie był już tak silny. - Ach, wal się, Andy. - Osunął się na podłogę, podpierając się na rękach i kolanach; usiłował zachować przytomność. - Trzymaj się - mamrotał. - Nie. Nie.

Wyszarpnąwszy sobie igłę z pleców, wstałem i przeszedłem do otwartych drzwi sypialni. Miałem opuchniętą twarz i nie widziałem zbyt wyraźnie lewym okiem. Jednak adrenalina stłumiła ból, nawet ten z głębokich mikroskopijnych dziurek na plecach. Pod roboczym kombinezonem strużki krwi spływały mi po nogach. Orson przewrócił się na bok na podłodze.

- Nie. - Westchnął sennie; język zaczynał mu się plątać.

-Andy. Nie rób czegoś... - Zamknął oczy i znieruchomiał.

Rozległo się pukanie do frontowych drzwi. Ująłem pistolet za lufę i okładałem czoło Orsona, aż zobaczyłem krew. Potem

wybiegłem na korytarz i popędziłem na dół po schodach.

- Walter? - wrzasnąłem przez drzwi.

207-

- To ja - odpowiedział, a ja wpuściłem go do środka. Nocny chłód promieniował z jego ubrania. - Gdzie twój bra... Och, Boże, twoja twarz...

- Nic mi nie jest. Chodź - poleciłem, ruszając po schodach.

- Załóż lateksowe rękawiczki. On jest na górze.

Rozdział 26

Gdy Walter zawlókł Orsona - ubranego tylko w bokserki - po schodach na dół i tam zawiązał go w kwiecisty perski dywan, ja ponownie przeczesalem każdy zakamarek sypialni brata. Szukając pod łóżkiem, natknąłem się na pudełko z kasetami oraz jeszcze dwie taśmy wideo, ale na tym moje odkrycia się zakończyły. Kolejne staranne przeglądanie garderoby nie wykazało niczego nietypowego. W pokoju gościnnym niczego nie znalazłem i z nim przystąpiłem do powtórnego przetrząsania pracowni, byłem wściekły.

- Widzisz? - powiedziałem, zostawiając za sobą korytarz na piętrze i unosząc nad głową pudełko po butach. - To wszystko, co trzyma w całym domu, a co mogłoby komuś wskazać, kim jest naprawdę.

Walter, w roboczym kombinezonie takim samym jak mój, siedział na Orsonie, teraz zawinięty w dywan niczym w kokon.

- Istnieje więcej zdjęć - oznajmiłem. - Zdjęć ze mną, robiącym ludziom straszne rzeczy. W jakimś samoobsługowym magazynie albo w skrytce depozytowej. Wiesz, co się stanie, kiedy ten sukinsyn nie opłaci rachunku, bo będzie martwy?

Wyniosą jego rzeczy i znajdą moje zdjęcia, jak wycinam serce z piersi kobiety.

„Teraz już wiesz”.

209-

Walter popatrzył na mnie, lecz nie prosił o wyjaśnienie.

Wstał i przeszedł po drewnianej podłodze do pracowni Orsona. Podniósł karafkę z koniakiem i nalał sobie nierozsądnie pełny kieliszek.

- Też chcesz? - zapytał, ogrzewając brandy delikatnym okręcaniem jej w kieliszku.

- Poproszę.

Nalał także dla mnie i zaniósł do salonu. Zasiedliśmy na futonie Orsona przed kominkiem, w milczeniu kołyszając i sącząc nasze brandy, a każdy z nas czekał na euforyczny spokój, choć ten nigdy w pełni nie nadszedł.

- Czy on nam powie? - zapytał w końcu Walter.

- Powie co?

- O twoich zdjęciach i o facecie, który pisał na ręce Jenny.

Odwrociłem głowę i odszukałem spojrzenie Waltera. Policzki rozgrzały mi się od alkoholu.

- Absolutnie, kurwa, tak.

#

Wynieśliśmy go przez frontowe drzwi i na dół po schodach. Księżyc lśnił trupio blado pomiędzy bezlistnymi kaligrafiami drzew. Alkohol sprawił, że twarz mi zdrewniała, zmniejszając przez to ukłucia zimna.

Dywan nie zmieściłby się do bagażnika, rozwinęliśmy go więc, pozwalając, by Orson zsunął się w ciemną, pustą wnękę. Sprawdziłem jego oddech i chociaż był stabilny, był też cholernie płytki. Światło zapaliło się w domu po drugiej stronie ulicy. W oknie pojawiła się sylwetka mężczyzny.

- No dalej, Walterze - powiedziałem. - To chyba najgorsze miejsce, w jakim moglibyśmy teraz przebywać.

Zjechaliśmy ze wzgórza tą samą drogą, którą przyjechaliśmy, i skręciliśmy w Main Street. Patrzyłem przez okno, gdy 210-

mijaliśmy kampus; jego brukowane ścieżki były oświetlone, ale puste. Dalej dostrzegłem zarys białej altany, gdzie zaledwie wczoraj siedziałem wśród zadymki, szukając mężczyzny, który teraz leżał nieprzytomny w bagażniku.

- Dorwaliśmy go, prawda? - odezwałem się, a brandy wywołała głupi uśmiešek na mojej twarzy.

- Będę świętował, kiedy będzie miał na twarzy sto funtów zimnej ziemi, a my dowiemy się, gdzie jest człowiek, który groził mojej córce.

Śródmieście Woodside tętniło życiem jak na pół do jedenastej. Pomimo chłodu studenci zapełniali chodniki. Dostrzegłem setkę miniaturowych chmurek pary z ich oddechów i słyszałem przez szybę ich nawoływania. Przed drzwiami rywalizujących barów po dwóch stronach ulicy kręcili się studenci, tworząc długie, niecierpliwe kolejki, i czekając, by dostać się do przyjemnie ciepłego wnętrza. Dla mnie jak najbardziej miało to sens. W tym miasteczku było zbyt zimno, żeby robić cokolwiek poza pić.

Prawie osiem mil od „Beans n' Bagels” Walter zjechał z jezdnii, skręcając na łagodne, szerokie pobocze autostrady 116. Ujechał ze sto jardów po trawie i zatrzymał się w cieniu pod dwoma dębami.

- Twoja łopata jest tam, z tyłu - powiedział. - Widziałem ją opartą o drzewo. - Odchylił się na fotelu i wyłączył silnik. Odwróciłem się i wyrzałem przez tylną szybę. Przed i za nami na autostradzie, skapaniej teraz lodowatym niebieskim światłem księżycy, nic się nie poruszało.

- Jak twoja twarz? - zapytał.

- Czuję się, jakby mój nos był złamany, ale nie jest.

Nos był gorący w dotyku, skóra na grzbiecie napięła się przez opuchliznę. Ledwie mogłem domknąć lewe oko, lecz - ku mojemu zaskoczeniu - nie bolało mnie.

- Chcesz pomóc go wyciągnąć? - spytałem.

211-

Dwa trzaśnięcia drzwiczek odbiły się echem w sosnowym lesie i od zbroczy. Sowa zahukała gdzieś nad nami, a ja wyobra-

zilem ją sobie siedzącą na łuszczącym się konarze sękatej sosny, wielkooką, nasłuchującą. Byłem lekko wstawiony brandy i zataczałem się odrobinę w drodze na tył cadillaca.

Walter wsunął klucz do zamka i otworzył bagażnik. Orson leżał na brzuchu z rękoma wyciągniętymi nad głową. Bez wahania chwyciłem go za ramiona, wywlokłem z bagażnika i pozwoliłem mu upaść na trawę. Chociaż nie miał na sobie koszuli, mróz go nie otrzeźwił. Walter otworzył tylne drzwi, a następnie podniósł stopy mojego brata. Wepchnęliśmy go na tylne siedzenie, a Walter wspiął się na niego i skuł mu nadgarstki za plecami. Odwracając Orsona, pięć razy solidnie przyłożył mu w twarz. Nie odezwałem się ani słowem.

Spieszenie wskoczyłem z powrotem na swoje miejsce w aucie.

- Włącz ogrzewanie - poprosiłem. - Jest cholernie zimno.

Walter uruchomił silnik, który bezgłośnie zaczął pracować na jałowym biegu. Pochyliłem się i przybliżyłem twarz do kratki nawiewu, pozwalając, by ogrzane powietrze rozmroziło mi policzki.

- Orson - powiedziałem, klękając na fotelu i odwracając się do tyłu.

Leżał nieruchomo na brzuchu, rozciągnięty od drzwi to drzwi.

Widziałem jego twarz - miał zamknięte oczy. Sięgnąłem na tylne siedzenie, chwyciłem go za ramiona i brutalnie nim potrząsnąłem, lecz on nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

Wspiąłem się na tylne siedzenie i uklęknałem na podłodze, żeby znaleźć się z nim twarzą w twarz.

- Orson - powtórzyłem tak blisko jego warg, że mógłbym go pocałować. - Obudź. Się. - Uderzyłem go w twarz. Całkiem dobrze się z tym czułem. - Obudź się! - Wrzasnąłem, lecz on ani drgnął. - Niech to szlag. - Przepelzłem z powrotem na przednie siedzenie. - Zgaduję, że po prostu zaczekamy.

212-

- Ile mu podałeś? - zapytał Walter.

- Piętnaście miligramów.

- Słuchaj, nie chcę tu tkwić przez całą noc. Po prostu daj mu antidotum.

- To by go mogło zabić. To wstrząs jak wszyscy diabli. Powinniśmy mu pozwolić samemu dojść do siebie, jeśli zdoła. Wpatrywałem się w autostradę i widziałem, że światła jakiegoś auta nagle pojawiają się i znikają.

- Tam w Wyoming - odezwałem się - można zobaczyć światła z odległości dwudziestu czy trzydziestu mil. - Odchyliłem oparcie fotela i obróciłem się na prawy bok, twarzą do drzwi.

- Walterze?

-Tak?

- W Wyoming zabiłem człowieka.

Nie odpowiedział. Przez jakiś czas milczeliśmy.

- Pamiętasz to przyjęcie, które urządziłem w maju? - spytałem wreszcie.

- Owszem.

- Stale wracam myślami do tamtej nocy. Siedzieliśmy sobie na mojej przystani...
- Nieźle podpici, jeśli dobrze pamiętam.
- Uhm. Wyraźnie sobie przypominam, co myślałem: ty to masz szczęście, chłopie. Trzydzieści cztery lata, sukces, szacunek. Żyjesz w komforcie, o jakim większość ludzi nie może nawet pomarzyć... A dokładnie tydzień później, dostałem tę kopertę z listem od Orsona... Jak my po tym wszystkim wrócimy do domu? Nie potrafię sobie wyobrazić, że będę jeszcze chciał wrócić do pisania. Albo że się poczuję normalnie. Jakby wszystko było w porządku. Tak jak się czują dobrzy ludzie. - Wskazałem na Orsona. - Kiedy byliśmy na pustyni, powiedział mi, że noszę zbrodnię w sercu.
- Myślę, że można z powodzeniem stwierdzić, że dokonywał projekcji.

213-

Zerknąłem na broń na moich kolanach.

- On chyba miał rację, Walterze.
- Nie jesteś złym człowiekiem.
- Nie, ale mógłbym być. Teraz to widzę. O wiele nam do tego bliżej, niż ci się zdaje. - Wsunąłem glocka do saszetki. - Nie zaśniesz i popilnujesz Orsona?
- Dobra.
- Obudź mnie za godzinę i zmienimy się, a ty się prześpisz.
- Za żadne skarby bym nie zasnął.
- No to obudź mnie, kiedy on się obudzi.

Zwinałem się na fotelu. Żeby przywołać sen, wyobraziłem sobie, że wyleguję się na leżaku na Arabie. Nadmuch był moją tropikalną bryzą i udawało mi się nawet usłyszeć ocean w wibracji silnika.

#

Ręce potrzęsały mną, aż usiadłem. Bolała mnie głowa, jak gdyby dokoła mojej czaszki poszerzało się pęknięcie. Walter przypatrywał mi się, trzymając broń na kolanach.

- Która godzina? - spytałem.
- Pierwsza. Porusza się, ale chyba jeszcze prędko się nie ocknie. Przynajmniej nie na tyle, żeby mówić z sensem.
- Dobrze. Podam mu antidotum.

Przetrzęsałem saszetkę, aż znalazłem dziesięciomililitrową fiolkę flumazenilu - odtrutki na benzodiazepinę. Wciągnąłem do strzykawki zawartość całej fiołki, wspiąłem się na tylne siedzenie i złapałem Orsona za lewe ramię. Zlokalizowałem tę samą żyłę, w którą wkłułem się poprzednio, i przebiwszy skórę, naciskałem kciukiem na tłoczek, aż wstrzyknąłem mu jeden miligram flumazenilu. Kiedy strzykawka była opróżniona, wyjąłem igłę i wróciłem na przednie siedzenie.

214-

- Gotowy? - spytałem. - Szybko się z tego wybudzi. Rześki i pełen energii.

Upłynęła minuta. Potem Orson poruszył się, potarł twa-

rzą o fotel i usiłował usiąść. Miał na czole paskudne rozcięcie w miejscu, gdzie przyłożyłem mu rękojeścią glocka. Strużka zaschniętej krwi wyznaczała ścieżkę od jego lewego oka do kącika ust, niczym rozmazany tusz do rzęs. Coś mamrotał.

- Posadź go - powiedziałem, znowu klękając i odwracając się do tyłu.

Walter chwycił go za włosy i bezpardonowym szarpnięciem usadowił na środku tylnej kanapy. Orson złapał równowagę i otworzył oczy. Kiedy mnie zobaczył, zdobył się na słaby uśmiech.

- Andy - odezwał się wyraźnie. - Co, u diabła...

- Gdzie są te taśmy wideo, które kręciłeś podczas zabójstw?

I zdjęcia, które robiłeś, jak te z kartki, którą mi przysłałeś?

- Śniło mi się, że walczyliśmy - powiedział. - Skopałem cię na miazgę, o ile pamiętam. - Odwrócenie efektu uśpienia okazało się zdumiewające. Orson był przytomny, miał rozszerzone źrenice i przyspieszone tętno.

- Rozgrzej zapalniczkę, Walterze - powiedziałem, a on wtknęła ją do gniazdzka.

- Walt? - odezwał się Orson. - Co ty tu robisz?

- Nie rozmawiaj z nim - poleciłem Walterowi.

- Może ze mną rozmawiać, jeśli ma ochotę. Jak tam rodzin-
ka, Walt?

- Orson - warknął Walter. - Mam zamiar...

Chwyciłem Waltera za ramię i pokręciłem głową, gdy uchwyciłem jego spojrzenie. Zaczerwienił się, ale potakująco skinął głową.

- Nie zabraniaj mu mówić - powiedział Orson. - Pewnie jest na mnie troszkę wkurzony i chce zrzucić to z serca.

215-

- Nie, Orson. Tej nocy chodzi o ciebie.

Orson uśmiechnął się, gdy odnalazł odbicie oczu Waltera we wstecznym lusterku.

- Jak się ma mała Jenna?

Trzymając dłonie na kierownicy, Walter spojrzał w dół, na swój pistolet na kolanach.

- Podobno jest świetna. Założę się, że jesteś bardzo dumny jako...

- Waltera nie ruszają twoje drwiny - przerwałem. - Twoja sytuacja nie daje ci...

- Skoro go nie ruszają, to dlaczego właśnie popatrzył na broń? - Orson uśmiechnął się do Waltera. - Zamierzasz zrobić coś głupiego?

- Orson - powiedziałem - to sprawa między...

- Myślę, że się martwi, ponieważ jeden z moich pozostałych protegowanych ma oko na klan Lancingów.

Palce Waltera zacisnęły się na glocku. Klękając, zwrócił się do mojego brata.

- Nazywa się Luther - mówił dalej Orson. - Chciałbyś dowiedzieć się o nim czegoś więcej, Walterze? Może się stać ważną

częścią twojego życia. Właściwie to już mógł się stać ważną częścią twojego życia. Bo widzisz, kiedy trzy lat temu wywiozłem go na pustkowie, żywo zainteresował się...

- Walterze, po prostu go zignoruj...

- Daj mu dokończyć.

- Nie, żebym miał po temu skłonności - Orson mówił dalej

- ale pośród swoich licznych upodobań Luthera jest to, co małe. Cóż, ściślej biorąc, lubi ranić to, co małe, a że ja nie należę do ludzi, którzy oceniają innych, więc mu powiedziałem: „Znam dwa maleństwa, które nazywają się Jenna oraz John David Lancingowie, a którym można by zrobić troszkę krzywdy”.

- Nie wierzę ci.

216-

- Nie musisz mi wierzyć, Walterze. Luther mi wierzy i tylko to się liczy. Jego wizyta w szkole Jenny to było tylko preludium. Poznał także Beth, chociaż ona nie zdawała sobie z tego sprawy. Za moją namową dodał twój adres do swojego notesu i jeżeli jeszcze tego nie zrobił, to z pewnością w dowolnej chwili odwiedzi dom przy Shortleaf Drive 1518. Och, racja, Beth wywiozła dzieciaki. Cóż, Luther je znajdzie, jeśli już tego nie zrobił. Jest bardzo zmotywowany, jak by powiedzieli profilerzy z FBI, to „zabójca szukający hedonistycznej podniety”, co oznacza, że czerpie seksualną gratyfikację z cierpienia innych. Zaufaj mi, kiedy ci mówię, że to koszmarny popapraniec. Przeraza nawet mnie.

Walter przycisnął broń do piersi Orsona.

- Nie - odezwałem się spokojnie. - Usiądź na miejscu.

- Kiedy pociągnę za spust - Walter zwrócił się do Orsona

- siła kuli penetrującej twój tułów będzie tak wielka, że może zatrzymać serce. Jakie to uczucie, Orson?

- Domyślam się, że poczuję się tak, jak będą się czuli twoja żona i dzieci. Co do tego możesz być pewien, Walterze. Możesz mnie nawet obdrzeć ze skóry, a nie odwołam Luthera.

- Odłóż tę cholerną broń - powiedziałem. - Nie w taki sposób to załatwimy.

- On mówi o mojej rodzinie.

- On kłamie. Powie nam.

- Nie kłamie, Walterze. Czy mam ci opowiedzieć, jak Luther planuje wykończyć twoją rodzinę, czy wolisz mieć niespodziankę?

Walter zacisnął zęby, dygocząc z wściekłości, bliski wybuchu.

- Nie zamierzam ci tego powtarzać - powiedziałem. - Odłóż broń.

- Odwał się, Andy.

Wyjąłem własnego glocka z saszetki i wycelowałem w swojego najlepszego przyjaciela.

217-

- Nie pozwolę ci go zastrzelić. Jeszcze nie. Pomyśl o tym.

Jeżeli go zabijesz, nie dowiemy się, gdzie jest Luther. Właśnie teraz narażasz swoją rodzinę.

- Jeżeli on zginie, to może Luther zostawi nas w spokoju. Orson robi to tylko dlatego, że o nim wiem. - Odbezpieczył broń.

- Walterze, w tej chwili trochę nie jesteś sobą, więc po prostu...

Nachyliłem się, żeby zabrać mu broń, lecz on szarpnął się i zwrócił pistolet przeciwko mnie.

- To ty odłóż broń.

Mój palec przesunął się na spust.

- Zamierzasz mnie zastrzelić?

- Nie jesteś ojcem - odpowiedział rozsierdzony. - Nie rozumiesz. - Ponownie wycelował w mojego brata. - Licz do trzech, ty kupo gówna.

- OK. Jeden.

- Walterze!

- Dwa.

- Zabij jego, a zabijesz własną rodzinę!

Zanim Walter doszedł do trzech, Orson podciągnął kolana do piersi i kopnął tył mojego fotela. Rzucony impetem w stronę przedniej szyby, poczułem, jak mój palec się ześlizguje, i chociaż nie usłyszałem wystrzału, mój glock szarpnął.

Walter padł na kierownicę, a klakson ryknął na całą okolicę.

Zdjąłem ciało przyjaciela z kierownicy, a on bezwładnie osunął się na moje kolana, zalewając je krwią.

Zaszlochałem. Orson się roześmiał.

Rozdział 27

Skończyłem zakopywać ciało Waltera o czwartej pięćdziesiąt pięć. Przez baldachim sosnowych gałęzi dochodziło światło i biały cadillac wkrótce stanie się doskonale widoczny z autostrady, o ile już go nie widać. Niebo różowiło się coraz bardziej z każdą sekundą, a ja odzyskałem opanowanie, które ledwie parę godzin temu runęło w gruzy. Wracając między drzewami w kombinie sztywnym od zamarznętej krwi Waltera, pomyślałem: „Tak łatwo mógłbym się rozpaść na proch”.

Kiedy wyłoniłem się spośród drzew, zobaczyłem trzy pędzące samochody, kierujące się do Bristolu. Było już dostatecznie widno, żebym mógł dojrzeć pozbawione detali czarne sylwetki gór, wyraźnie odcinające się na tle nieba, każdy z podróżnych zaś - gdyby akurat spojrzął - zobaczyłby mnie chwiejnie idącego poboczem w kierunku samochodu. Po wschodniej stronie horyzontu zarzewie dnia rozgrzewało się nad Atlantykiem. Słońce wschodziło. Księżyc zniknął już dawno temu.

Dotarłem do cadillaca. Orson leżał nieprzytomny w bagażniku, a w jego żyłach buzowała cała czteromiligramowa fiołka Ativanu.

Przednie siedzenie wyglądało jak pobojuwisko - kałuże krwi na podłodze po obu stronach, okno od strony kierowcy umazane na czerwono. Udało mi się zdrapać z szyby dosyć krwi i tkanki mózgowej, żebym mógł prowadzić. Wyczerpany uruchomiłem

219-
auto i wyjechałem na autostradę, kierując się na południe, z po-

wrotem do Woodside.

Przez cały czas zastanawiałem się, co zrobię, jeżeli zatrzyma mnie gliniarz. Zobaczyłby zakrwawione wnętrze auta oraz fioletową plamę, w jaką zmieniło się moje lewe oko. Musiałbym uciekać. Nie byłoby innego wyjścia, trzeba by go zabić.

Wróciwszy do domu Orsona, wprowadziłem cadillaca tyłem na podjazd i zaparkowałem obok białego lexusa. Dręczyła mnie myśl o pozostawianiu samochodu na zewnątrz, podczas gdy miasteczko za godzinę się zbudzi. Jednak nie było innego wyjścia. Musiałem wtaszczyć Orsona do środka, umyć się i wymyślić, co, u diabła, mam zrobić.

#

Póллеżąc na kwiecistej kanapie w pracowni Orsona, wybrałem domowy numer Cynthii. Było słoneczne niedzielne przedpołudnie, godzina jedenasta, i jaskrawe promienie słońca ukosem wciskały się przez żaluzje do skromnie umeblowanego pokoju z wielkim telewizorem na sosnowym regale oraz stojakiem na płyty CD w rogu. Orson leżał naprzeciwko mnie na kanapie od kompletu, z rękoma nadal skutymi za plecami i stopami skrępowanymi rowerową linką, którą znalazłem w jego pracowni.

Odebrała po trzecim dzwonku.

- Halo?

- Cześć, Cynthio.

- Andy. - Wychwyciłem niezaprzeczalny wstrząs w jej głosie i to mnie zaniepokoiło. - Gdzie jesteś? - spytała. - Wszyscy cię szukają.

- Jacy wszyscy?

- Policja z Winston-Salem dzwoniła wczoraj dwa razy do mnie do biura.

220-

- Dlaczego mnie szukają?

- Wiesz o matce?

Miała pożałować, że o to zapytała.

- Co z nią?

- Och, Andy. Tak mi przykro.

-Co?

- Sąsiad znalazł ją martwą w domu trzy dni temu. Chyba we środę. Andy...

- Co się stało? - Pozwoliłem, by zadrżał mi głos. Jak niewinny człowiek mógłby wyjaśnić, dlaczego nie płacze, dowiadując się, że zabito jego matkę? Nawet winni potrafią ronić łzy.

- Myślą, że została zamordowana.

Upuściłem słuchawkę i wydałem z siebie kilka szlochów.

Po chwili znowu podniosłem słuchawkę do ucha.

- Jestem - powiedziałem, pociągając nosem.

- Dobrze się czujesz?

- Nie wiem.

- Andy, policja chce z tobą pomówić.

- Dlaczego?

- Ja... hm... zdaje mi się... - Westchnęła. - To trudne, Andy.

Wydano nakaz aresztowania cię.

- A za co?

- Za zabójstwo matki.

- Och nie, nie, nie, nie...

- Wiem, że tego nie zrobiłeś. Wierzę ci. Ale najlepsze, co możesz zrobić, to po prostu pójść na policję i wszystko wyjaśnić. Gdzie jesteś? Pozwól, że pošlę kogoś, niech cię przywiezie.

- Dziękuję za wszystko, Cynthia.

Odłożyłem słuchawkę, myśląc: „Musieli ją w końcu znaleźć.

Orson, wrobiłeś mnie jeszcze raz”.

Popatrzyłem na brata na sofie. Wkrótce dojdzie do siebie. „Jeżeli tego nie naprawisz, to nie będziesz miał domu. I właściwie możesz już nigdy w życiu nie mieć żadnego domu”.

221-

#

Orson ocknął się wczesnym popołudniem, przywiązany nago do drewnianego krzesła w swoim salonie; ręce miał skute kajdankami z tyłu za oparciem, a kawał sznura mocował jego nogi do nóg krzesła. Zamknąłem drzwi, spuściłem żaluzje i nastawiłem telewizor tak głośno, że aż brzęczał.

Siedząc na kanapie, czekałem, aż Orson w wystarczającym stopniu odzyska jasność umysłu.

- Kojarzysz? - zawołałem. Odpowiedział coś, ale nie dosłyszałem tego przez jazgot telewizora. - Mów głośniej! - Wiedziałem, że nadal jest zdezorientowany.

- Tak. Co...

Zobaczyłem, jak wszystko do niego powraca - walka, bagażnik, Walter. Uśmiechnął się i już wiedziałem, że sobie przypomina. Wziąłem pilota z kanapy i wyciszyłem telewizor.

- Orson - odezwałem się. - Oto, jak to działa. Ja zadaję pytania. Ty na nie odpowiadasz. Szybko, zwięźle...

- Gdzie Walt? Nie. Pozwól mi zgadnąć. Czy leży w moim grobie?

Zamaskowałem wściekłość - miałem przeczucie, że tortury będą bardziej skuteczne, jeżeli zachowam spokój. Opanowałem się więc i zapytałem:

- Czy nadal masz te taśmy wideo i zdjęcia z tobą i ze mną na pustyni?

- Oczywiście.

- Gdzie one są?

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

Nacisnąłem przycisk na pilocie i telewizor znowu zaryczał.

Leciał odcinek The Andy Griffith Show, w którym Barney Fife usiłował zostać członkiem kościelnego chóru pomimo rażącego braku zdolności wokalnych. „Oglądaliśmy to z ojcem”.

222-

Podniosłem się i obszedłem krzesło Orsona. Wyjąłem z kieszeni srebrną zapalniczkę marki Zippo, którą znalazłem w komodzie u Orsona, i zapaliłem. Bez względu na całe piekło, jakie

mi zgotował, straszliwie trudno było mi go przypiec. Jednak to zrobiłem.

Orson przejmująco jęknął; sześć sekund później cofnąłem zapalniczkę i wróciłem na kanapę. Pot zrosił mu czoło, a jego twarz oblał ciemny rumieniec. Wyciszyłem telewizor.

- Fiu! - Uśmiechnął się mimo bólu. - Chłopie, to nie było miłe! Ale wiesz co, plecy nie są najwrażliwszą częścią ciała. Powinieneś przypalić mi twarz. Wargi, oczy. Żeby się zgotowały.

- Orson, czy taśmy i zdjęcia są w tym domu?

-Nie.

- Czy są w Woodside?

-Pal dalej!

Kakofonia telewizora na nowo rozpanoszyła się w pokoju.

Nachyliłem się i przytknąłem zapalniczkę do wewnętrznej strony uda Orsona, czemu on przyglądał się z zawziętym zainteresowaniem. Tym razem czułem mniejsze opory przed zadaniem bólu.

Jego wrzask przebił się przez donośny głos Barneya Fife'a, gdy płomień lizał jego skórę jak język. Kiedy kawałek owłosionego, jasnego ciała zaczął pokrywać się pęcherzami, zgasilem płomyk i nacisnąłem przycisk wyciszenia. Orson nadal skamlał z zamkniętymi oczami, podzwaniając zębami, bez tchu.

- Chyba minąłeś się z powołaniem - odezwał się, krzywiąc i z sykiem wciągając powietrze przez zęby, żeby stłumić skowyt. Spoglądając na jego udo, zobaczyłem, że na poparzonej skórze wykształcił się jasny pęcherz. Czułem słodkawą woń przypalonego ciała, diabolicznie przyjemny zapach, niczym benzyny.

- Dobra, Orson - powiedziałem. - Ujęcie trzecie.

- Może są w wynajętym magazynie w jakimś miasteczku, którego nigdy nie znajdziesz. Może...

223-

Telewizor trąbił na cały regulator, a ja wstałem i podsunąłem zapalniczkę pod prawe oko Orsona. Kiedy pojawił się płomień, on piskliwie wrzasnął:

- Na pustyni! Na pustyni!

Cofając się, wyciszyłem fonię.

- Myślę, że kłamiesz.

- Andy - wysapał - moje wideo, fotografie, wszystko, czego używałem, żeby cię szantażować, wszystko to jest tam.

- Gdzie „tam”? W chacie?

- Zabierz mnie do Wyoming, to ci pokażę.

- Chyba lubisz, jak ktoś cię przypala.

- Nie. Nie rób tego. Posłuchaj. Gdybym ci powiedział, Andy, nawet po tym, jak mnie torturowałeś, nie miałbyś sposobu, żeby się dowiedzieć, czy to prawda, póki byś się tam nie znalazł. Zaufaj mi, nie miałbyś. Teraz to przemyśl.

- Sądzisz, że będę cię włókł do Wyoming?

- A jak masz zamiar odnaleźć chatę? Moja droga gruntowa biegnie pośrodku niczego. Od pewnego punktu trzeba mierzyć przejechaną odległość, żeby mieć choćby cień szansy, by ją zna-

leżć, a ja ci nie powiem, gdzie to jest. Nie tutaj. Mowy nie ma, do cholery. Ty mnie potrzebujesz, ja potrzebuję ciebie. Wybierzmy się na wycieczkę.

- Potrafię ją znaleźć sam.

-Jak?

- Ciebie znalazłem.

Parsknął.

- Ten pieprzony kowboj.

Brałem pod uwagę przytrzymanie płomienia przy oku Orsona, aż wyrzeczy ze szczegółami, gdzie w chacie lub szopie mogę znaleźć parafernalia jego obsesji. Jednak on miał rację: nie miałbym pewności, czy powiedział mi prawdę, dopóki bym się tam nie znalazł.

224-

Chciałem go zapytać o matkę i o to, jak mnie wrobił, ale obawiałem się, że furia weźmie górę, tak jak to się stało z Walterem, a wciąż jeszcze musiałem się dowiedzieć innych rzeczy.

- Gdzie jest Luther? - spytałem.

- Nie wiem. Luther kręci się tu i tam. - Dyskomfort odbijał się w jego napiętym głosie.

- Jak się porozumiewacie?

- E-mailem.

- Jakie masz hasło? - Częstka mnie pragnęła, żeby stawiał opór. Otworzyłem zapalniczkę.

- W-B-A-S-S.

- Módl się, żeby ich nie tknął. - Wstałem i otworzyłem drzwi.

- Andy - powiedział. - Czy mógłbym dostać to coś, co mi wcześniej dawałeś? To boli jak diabli.

- Ma boleć.

Przeszedłem przez salon do pracowni Orsona i włączyłem komputer. Jego hasło dało mi dostęp do konta e-mail. Sześć nowych wiadomości: pięć to spam, jedna od LK72:

>Od: <LK72@aol.com>

>Data: Piątek, 8 listopada 1996 20:54:33-0500 (EST)

>Do: David Parker <dparker@email.woodside.edu>

>Temat:

>

>0,

>

>zaczyna mi się nudzić. Muszę niedługo jechać na północ. Zapytaj mnie o tę strpt w stlms. Ciekawa rzecz! AT ciągle nie ma. Tak samo jak WL. Nadal? gdzie przebywa L. Zaczekam, jeśli chcesz. Jeżeli nie, to jest ktoś, kogo muszę odwiedzić asap w Sas. Ciągle wszędzie w wiadomościach.

Super!

225-

Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć OB.

>

>L

Przeszukałem foldery ze skasowanymi, wysłanymi i otrzy-

manymi wiadomościami, lecz Orson niczego nie zachowywał ani nie archiwizował. Kiedy wydrukowałem e-mail, zabrałem go ze sobą do salonu.

- Rozszyfruj to - powiedziałem, kładąc tekst tajemniczego e-maila na kolanach Orsona. - To od Luthera, prawda?

- No tak, to od niego.

- A więc przeczytaj mi go tak, żeby to miało jakiś cholerny sens.

Spojrzał na kartkę i odczytał treść zmęczonym, znękanym głosem:

- Orson, zaczyna mi się nudzić. Muszę niedługo jechać na północ. Zapytaj mnie o tę striptizerkę w „Stallion's”. Ciekawa rzecz! Andrew Thomasa ciągle nie ma. Tak samo jak Waltera Lancinga. Nadal nie mam pojęcia, gdzie przebywa Lancing. Zaczekam, jeśli chcesz. Jeżeli nie, to jest ktoś, kogo muszę jak najprędzej odwiedzić w Saskatchewan. Ciągle wszędzie w wiadomościach. Super! Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć Outer Banks. Luther. - Podniósł na mnie wzrok.

- To wszystko.

- A więc wciąż siedzi w Karolinie Północnej, czekając, aż mu powiesz, co zrobić z Lancingami?

-Tak.

Wróciłem do biurka w jego pracowni i usiadłem przy nim na chwilę, przez okno spoglądając na kobietę grabiącą trawnik po drugiej stronie ulicy. Gdy układałem w myślach odpowiedź, w jednej chwili uświadomiłem sobie pełen obraz tego, co zamierzałem zrobić - z Lutherem, fotografiami, nawet z Orsonem. Było to objawienie wcale aż tak nieróżniące się od tych, jakich 226-

doświadczałem, znajdując nagle drogę w gąszczu pomysłów, gdy układałem plany powieści.

Pisząc, martwiłem się, że moja e-mailowa odpowiedź dla Luthera mogłaby zbyt podejrzanie różnić się od stylu i formy, jakimi posługiwał się Orson, ale zaryzykowałem:

>Od: <dparker@email.woodside.edu>

>Data: Sobota, 9 listopada 1996 13:56:26-0500 (EST)

>Do: <LK72@aol.com>

>Temat:

>

>

>Jedź do Sas. Później może sam zajmę się L, jeżeli zajdzie potrzeba. Ja też jestem w drodze, wiesz dokąd.

>Chcesz się spotkać gdzieś po drodze jutro późnym raniem albo w poniedziałek i opowiedzieć mi osobiście o tej strpr?

>

>0

Wróciłem do salonu i napełniłem strzykawkę zawartością dwóch fiolek Ativanu. Następnie głęboko wbiłem igłę w mięsień nagiego pośladka Orsona. Po drodze do drzwi usłyszałem,

że woła mnie po imieniu, lecz się nie zatrzymałem. Wszedłem po schodach i skierowałem się do pokoju gościnnego, nie chcąc spać w jego łóżku. Materac był zbity i nierówny, ale byłem na nogach już od trzydziestu godzin i mógłbym spać nawet na tłuczonym szkłe. Przez okno usłyszałem, jak dzwon w college'u bije dwa razy, ptasie przekrzykiwania, wiatr w gałęziach drzew oraz samochody w dolinie pod nami - odgłosy miasteczka w Nowej Anglii w sobotnie popołudnie. „Tak bardzo mi do tego daleko”.

227-

Moje myśli towarzyszyły Beth Lancing i jej dzieciom, gdy powoli zapadałem w sen. „Staram się ocalić wam życie, a pozabawiłem was z męża i ojca. Ograbiłem sam siebie z najlepszego przyjaciela”. Zastanawiałem się, czy już wyczuwała, że odszedł na zawsze.

Rozdział 20

Zszedłem na dół o pierwszej trzydzieści w nocy, przespawszy bite jedenaście i pół godziny. W domu nadal panował spokój. Słyszałem jedynie leciutki mechaniczny oddech urządzeń kuchennych, gdy włączały się i wyłączały w ciszy poprzedzającej świt.

Nastawiłem dzbanek kawy i wsunąłem głowę do salonu.

Krzesło Orsona leżało przewrócone. Był nieprzytomny, nagi, nadal niewygodnie uwiązany do przewróconego krzesła. Wyglądał słabo, bezradnie, i przez moment pozwoliłem sobie na współczucie.

Boso przeszedłem do pracowni i usiadłem za biurkiem. Gdy monitor się ożywił, trzeszcząc z powodu elektryczności statycznej, zobaczyłem, że czeka jedna wiadomość. Wpisałem hasło i otworzyłem nowego e-maila:

>Od: <LK72@aol.com>

>Data: Niedziela, 10 listopada 1996 01:02:09-0500 (EST)

>Do: David Parker <dparker@email.woodside.edu>

>Temat:

>

>0,

>

229-

>mogę być w SB w poniedziałek wiecz. Zadzwoń, kiedy dojedziesz do Nbrsk i pogadamy o spotkaniu.

>

>L

Wyłączyłem komputer, wróciłem do salonu i zrobiłem Orsonowi kolejny zastrzyk. Potem poszedłem na górę, żeby wziąć prysznic.

Gorąca woda przyniosła poczucie nieskalanej czystości. Gdy już opatrzyłem zacięcia na twarzy po ostrzu brzytwy, stałem przez dłuższą chwilę pod strumieniem wody z prysznica, oparty o mokre kafelki, ze spuszczoną głową; woda stygła, a ja patrzy-

łem, jak krew, wirując, spływa spod moich stóp do odpływu. Chwilę trwało, nim para wypełniła łazienkę, a w tym czasie siedziałem na sedesie, grzebiąc w portfelu Orsona - kolejnym jego nabytku identycznym z moim własnym. Wyjąłem jego prawo jazdy i oparłem o umywalkę. Wcale nie byłem podobny do postaci na zdjęciu. Jego włosy były krótkie i brązowe, twarz gładko ogolona. Wstałem i starłem parę, która osiadła na lustrze. Moja broda znacznie urosła, szara i szorstka. Włosy miałem w opłakanym stanie, farba spłynęła z nich pasmami po ostatnim maratonie pod prysznicem. Najpierw zgoiliłem zarost, nawet bokobrody, i to przyniosło poprawę. Elektryczna maszynka miała przystawkę do tonsur, wlałem więc z powrotem pod prysznic i ogoliłem sobie głowę.

Kiedy skończyłem, ponownie spojrzałem w lustro - było znacznie lepiej.

- Cześć, Orson - powiedziałem, uśmiechając się.

Część IV

Rozdział 29

W niedzielę przed świtem załadowałem Orsona do bagażnika jego lexusa i wyjechałem z podjazdu domu w Woodside. Miałem przy sobie portfel brata, napełniony jego gotówką i kartami kredytowymi, i byłem w zasadzie pewien, że gdyby okazało się to konieczne, mógłbym uchodzić za niego. Była to uspokajająca świadomość, ponieważ skoro istniał Orson, to Andrew Thomas mógł zniknąć.

Pojechałem do Woodside Inn i chyłkiem wślizgnąłem się po skrzypiących schodach do pokoju, który niegdyś dzieliłem z Walterem. Nasze ubrania wciąż leżały porozrzucane na łóżkach. Upchnąłem wszystko z szuflad i podłogi do naszych walizek, które zataszczyłem na dół, do samochodu.

Wyjeżdżając na autostradę 116, gratulowałem sobie własnej dokładności. Pamiętałem o wymeldowaniu z zajazdu. Usunąłem wszelkie ślady swojej obecności w domu Orsona (krew w jego pokoju, włosy w jego umywalce i wannie), a także wszystkie oznaki jego uprowadzenia. Zająłem się nawet cadillacem Waltera, zjeżdżając nim ze wzgórz do restauracji „Champlain Diner” o trzeciej piętnaście w nocy i parkując go obok przepelnionego kontenera na śmieci. Bieg pod górę do osiedla, gdzie mieszkał Orson, był katorgą, ale wartą przecierpienia. Teraz nic nie mogło połączyć mnie z tym miasteczkiem i chociaż makabrycznie zakrwawiony samochód Waltera najprawdopodobniej zostanie

233-
odkryty w ciągu tygodnia, ja do tej pory będę już daleko, daleko stąd.

Przed opuszczeniem domu Orsona wlałem w siebie cały dzbanek kawy i pochłonałem podwójną dawkę leków - na problemy z zatokami - które zawsze mnie pobudzały. Kofeina buzowała we mnie, więc kipiąc energią, jechałem na południowy zachód od Woodside, do stanu Nowy Jork. Jeżeli nic się nie pochrzani, Luther będzie martwy, a ja dotrę do Wyoming w niecałe czter-

dzieści osiem godzin.

#

Pędziłem na zachód drogą 1-80 przez wschodnią część Nebraski. Było kwadrans przed północą i pokusa prowadzenia bez snu z Vermont do Wyoming zbladła. Orson obudził się. Przez ostatnie pięćdziesiąt mil kopał i wyklinał na mnie z wnętrza bagażnika, żebym się zatrzymał.

Ruch na drodze był niewielki, a ponieważ w zasięgu wzroku nie było widać niczego prócz pół ściętej kukurydzy oraz świateł odległych farm, usłuchałem go. Zjechałem na awaryjny pas gdzieś między Lincoln a Yorkiem, wyskoczyłem w chłodną noc i otworzyłem klapę bagażnika. Leżąc na plecach, ubrany w szlafrok, skuty kajdankami, Orson podniósł głowę.

- Pić mi się chce, ty draniu - wychrypiał. - Ja tu umieram.

- Cóż, mam tu lodowato zimną wodę, która już na ciebie czeka. Ale musisz na nią zasłużyć. - Wyjmując z kieszeni i rozkładając wydrukowany e-mail od Luthera, zapytałem: - Czy SB to skrót od Scottsbluff w Nebrasce?

- A bo co?

Wróciłem do auta, na przednie siedzenie, i chwyciłem pełną plastikową butelkę ze sportowym zamknięciem, leżącą po stronie pasażera. Wróciwszy do Orsona, stanąłem przed nim i wycisnąłem sobie strużkę wody do ust.

234-

- Mmm, ale odświeżenie!

Mogłem dostrzec tęskne pragnienie w jego oczach.

- To cała woda, jaka została - oznajmiłem. - A kiedy się skończy, mogę jechać setki mil, zanim się znowu zatrzymam.

Teraz nie jestem aż tak bardzo spragniony, ale i tak postoję tutaj i będę sobie popijał, skoro nie jesteś wzorem idealnej współpracy. Czy SB oznacza Scottsbluff?

-Tak.

- Jakie to miejsce ma znaczenie?

- Jakie miejsce?

Wycisnąłem sobie kolejny długi strumyk do ust.

- Jest tam taka dziewczyna, u której Luther czasem się zatrzymuje. On jest zawsze w podróży.

- Jak się nazywa?

- Mandy jakaś tam.

- Nie znasz jej nazwiska?

-Nie.

- A nazwisko Luthera?

- Kite.

- K-I-T-E?

Skinał głowę.

- Otwórz. - Wlałem mu łyk wody do ust. - Zobaczyłem Luthera w spisie telefonów w twoim portfelu. Czy ten numer to najlepszy sposób, żeby się z nim skontaktować?

- To jego komórka. Co ty próbujesz zrobić, Andy?

- Czy kiedykolwiek spotykałeś się z Lutherem w Scottsbluff?

-Raz.

- Gdzie?

- „U Rickiego”. Czy mogę...

- Kto jest Ricki?

- To bar przy autostradzie dziewięćdziesiąt dwa. Proszę, Andy...

235-

Przytknąłem otwartą końcówkę butelki do jego warg i wycisnąłem mu zimną wodę do gardła. Przełykał gorączkowo. Zabrałem ją trzy sekundy później, gdy zaryczała mijająca nas ciężarówka. Wyjąłem z kieszeni telefon komórkowy Orsona. Wybrałem numer Luthera, trzymając w górze do połowy opróżnioną butelkę.

- Reszta będzie twoja - powiedziałem. - Dowiedz się, czy Luther może się spotkać jutro wieczorem „U Rickiego”. I bądź sobą. Nie mów tak, jakbyś od dwudziestu godzin leżał naszprycowany w bagażniku. Sknocisz cokolwiek, to będziesz powolutku umierał z pragnienia. Mówię poważnie. Będę cię trzymał na granicy obłądzenia całymi dniami. - Skinął głową. - Zwięźle - napomniałem go. Potem nacisnąłem klawisz i przytrzymałem telefon przy jego uchu.

Po pierwszym dzwonku odezwał się mężczyzna. Wyraźnie słyszałem jego głos.

- Halo?

- Luth?

-Hej.

Prysnąłem wodą na twarz Orsona.

- Gdzie jesteś? - zapytał Orson.

- Przy „Gateway to the west”. Akurat przekraczam Missisipi.

Właśnie teraz patrzę na łuk. A ty gdzie jesteś?

Bezgłośnie poruszyłem ustami: „Wschodnia Nebraska”.

- Wschodnia Nebraska- powiedział Orson. - Zatrzymasz się jutro na noc u Mandy?

- Tak, chcesz się spotkać „U Rickiego”?

- O której?

- Może o dwudziestej pierwszej? Dzisiaj nocuję w St. Louis, będę więc w Scottsbluff dopiero jutro po południu.

- Dobrze.

Przeciagnałem palcem po gardle.

- Hej, Luth, połączenie się rwie.

236-

Nacisnąłem klawisz, kończąc rozmowę, i z powrotem schowałem telefon do kieszeni. Potem dałem Orsonowi resztę wody z butelki i patrzyłem, jak wyraz desperacji ostatecznie znika z jego oczu.

- Potrzebujesz coś do jedzenia? - spytałem.

Pokręcił głową.

- Potrzebuję się odlać, Andy.

- W tym ci nie mogę pomóc.

- A co, chcesz, żebym nasikał do bagażnika?

- To twój samochód.

Otworzyłem drzwi z tyłu auta i wyłowilem z saszetki strzykawkę oraz fiolkę Ativanu. Minał nas kolejny samochód, udający się w kierunku Lincoln, i nagle poczułem niespokojny impuls, żeby znowu ruszyć w drogę.

- Obróć się, Orson. - Dziabnąłem go igłą.

- Andy - powiedział, gdy położyłem dłonie na klapie bagażnika, by ją zatrzasnąć. - Jesteś w tym bardzo dobry.

#

Kawa i lekarstwo na zatoki przestały działać już dawno temu, jadąc więc nużąc prostą drogą przez zachodnią Nebraskę, wspierałem się teraz wyłącznie determinacją, żeby nie zasnąć. Prowadziłem od dwudziestu trzech godzin i trzydziestu pięciu minut, egzystowałem więc gdzieś na skraju snu i świadomości. Od czasu do czasu moje czoło dotykało kierownicy, a ja podrywałem się gwałtownie i mogłem się nacieszyć pięciominutową ulgą wzmożonej czujności. Później mój umysł dryfował z powrotem w sen, na ułamek sekundy traciłem przytomność i po raz kolejny od nowa sam siebie przerażałem na śmierć.

Jadąc autostradą 26, pięćdziesiąt mil na północny zachód od Ogallala, widziałem, jak preria się budzi. Brzoskwiniowy świt wylaniał się zza linii horyzontu po wschodniej stronie, a w miarę 237-

jak światło nabierało intensywności, krajobraz poszerzał się coraz bardziej i bardziej, sięgając dalej, niż wydawałoby się to możliwe. Zmienił się w ciągu nocy, a ponieważ nie obserwowałem stopniowej zmiany, to nagłe odkrycie było szokujące. Dla człowieka ze wschodu, podróżującego na zachód, surowy przestwór ziemi i nieba zawsze jest nie do pojęcia. Wyobraziłem sobie symfoniczne śpiewy towarzyszące majestatowi poranka. O szóstej trzydziści w miejscowości Bridgeport przejechałem przez ukrytą w szpalerze drzew rzekę North Platte. W oddali, po południowej stronie, wierzchołki licznych piaskowcowych ostańców chwytaly koralowe promienie słońca. Chociaż były oddalone o kilka mil, wydawało się, że mógłbym wyciągnąć rękę i ich dotknąć. Autostrada 26 przecinała senne miasteczko. Na jego zachodnim krańcu znajdował się motel o nazwie Courthouse View (nazwany tak na cześć wyróżniającego się ostańca pięć mil dalej na południe) i wynająłem tam pokój. Ponieważ polecałem Orsonowi dosyć Ativanu, żeby usnąć na większą część dnia, zostawiłem go w bagażniku, wszedłem do pokoju i padłem. Za czternaście godzin czekało mnie spotkanie z Lutherem.

#

Wymeldowałem się z Courthouse View późnym popołudniem, a jadąc autostradą 92 na północny-zachód w kierunku Scottsbluff, zacząłem rozmyślać nad tym, w co też ja się wplątałem, jeśli chodzi o Luthera. Szczerze przyznałem, że postąpiłem głupio. Była już siedemnasta siedem, pozostały mi więc niecałe cztery godziny na ustalenie, jak go zabiję, w jaki sposób pozbędę się zwłok i niezauważony opuszczę miasteczko. W końcu

stwierdziłem, że byłem niecierpliwy i nieostrożny. Poza tym nie mogłem się pozbyć myśli, że sam dam się zabić, gdy będę pogrywać z tym facetem. Tak więc piętnaście mil przed Scottsbluff postanowiłem się w to nie pakować. Aż do tej pory postępowałem

238-

metodycznie i chociaż zorganizowanie szybkiego i sprytnego sposobu na pozbycie się Luthera Kite'a wydawało się kuszące, to jednak cztery godziny to nie dość czasu, aby tego dokonać. Bar „U Rickiego” był prawdziwą speluną. Na południowym obrzeżu Scottsbluff, w cieniu wznoszącego się na osiemset stóp urwiska, od którego miejscowość wzięła swoją nazwę, zatrzymałem się na nieutwardzonym parkingu i wyłączyłem silnik. Wychodząc na zewnątrz w suchy, piekący mróz, poczułem, że noc jest blisko, chociaż słońce wciąż oświetlało prerię i strzelistą skałę Chimney Rock - stąd małeńką, lecz wyraźnie widoczną w oddali. Turystyczna broszurka w motelu informowała, że ta sięgająca pięciuset stóp góra wyspowa była punktem orientacyjnym dla pionierów na szlaku do Oregonu - pierwszą zapowiedzią Gór Skalistych, leżących przed nimi. Idąc w stronę bagażnika z dwiema butelkami wody i trzema paczkami ziemniaczanych czipsów, wpatrywałem się w złociste piaskowcowe ostańce Wildcat Hills. Myślałem: „Chciałbym wybrać jedną z tych gór, położyć się na szczycie i nigdy nie wstawać. Po prostu tam siedzieć i w samotności skruszyć się jak skała”.

Kupiłem jedzenie w Courthouse View, ale motelowy parking był zbyt zatłoczony, żeby ryzykować otwieranie bagażnika. Na parkingu przy knajpie Rickiego było pusto, jeśli nie liczyć lexusa Orsona oraz jakiegoś pikapa.

Orson się wybudził. Nawet szarzące wieczorne światło razilo go w oczy, więc je zamykał. Przełożył skute dłonie pod stopami, miał je więc teraz przed sobą.

- Masz - powiedziałem, wkładając mu do rąk butelkę ze sportową nakrętką. Gdy pił jak niemowlę, wrzuciłem do bagażnika paczki z czipsami oraz drugą butelkę. - To już długo nie potrwa - poinformowałem go. - Jesteśmy tylko trzydzieści pięć mil od granicy Wyoming.

Miałem już naszykowaną igłę, wstrzyknąłem mu więc w pośladek kolejną czteromiligramową fiolkę Ativanu.

239-

Wyszperałem pióro w schowku i oderwałem kawałek mapy stanu Vermont. Zdecydowałbym się po prostu zatelefonować do Luthera i kazałbym Orsonowi odwołać nasze spotkanie, ale nie miałem zbyt wielkiej wiary w zdolność mojego brata do zamaskowania słabości w głosie w jego obecnym stanie. Tak więc upchnąłem pióro, papier i glocka do kieszeni dzinsów i naciągnąłem szary wełniany sweter. Zamknąłem samochód i przeciąłem parking, żeby się dostać do baru.

Neon nad drzwiami informował niebieską kursywą, że to „U Rickiego”. Przeszedłem pod brzęczącym szyldem i wkroczyłem do opustoszałego baru, który był mniejszy niż mój salon.

Jego sufit zwieszał się natrętnie nisko, a wzdłuż ścian znajdowały się nisze ze stolikami; pomieszczenie miało tylko dwa okna, po jednym po każdej stronie drzwi. Poczujęm się tak, jakbym wchodził do zadymionej szafy.

Jako jedyny klient usiadłem na barowym stołku w rogu. Kontuar zbudowano z nieszlifowanych podkładów kolejowych, które wciąż czuć było smołą. Imiona, przysięgi oraz wyznania miłości i nienawiści widniały wyrzeżane na czarnym drewnie.

Gdy wyciągałem pióro i skrawek papieru, jakaś kobieta wyłoniła się z kuchni.

- Jeszcze nie obsługujemy - oświadczyła.

Miała na sobie obcisłe dżinsowe szorty i czarny golf ze zwierzakami; przez całą pierś ciągnął się napis „Mistrzowie stanu '94". Jej czarne włosy były szorstkie i sztywne; przydałaby jej się też wizyta u ortodonty.

- Drzwi były otwarte - odpowiedziałem.

- Kurde. Co pan chce?

- Cokolwiek, co ma pani pod ręką.

Gdy wyjmowała szklankę z chłodziarki i zabrała się za napełnianie jej brunatnym ale, zacząłem pisać rzekomą wiadomość od Orsona do Luthera: L, poznałem...

Postawiła szklankę na podkładzie kolejowym.

240-

- Dolar pięćdziesiąt.

Wręczyłem jej dwa spośród dolarowych banknotów Orsona i powiedziałem, żeby zatrzymała resztę. Piana ściekała po ściankach szklanki. Upiłem łyk, wyczułem drobiny lodu, i powróciłem do bazgrania na skrawku papieru:

...dziś rano przyjaciółkę - wiesz, jak to jest. Właściwie to ona ułożyła ten list, zanim ja... W każdym razie uznałem, że rozsądnie będzie jak najszybciej opuścić to miasteczko. Wybacz, że się dziś nie spotkaliśmy. Baw się dobrze w Sas. O.

Złożyłem oddarty kawałek mapy w mały kwadracik, napisałem „Luther" na znaczku miasteczka Burlington i położyłem wiadomość na kontuarze. Potem siedziałem tam, popijając piwo i myśląc: „A więc ludzie rzeczywiście zostawiają liściki u barmanów. Ile razy opisywałem taką scenę? Nie wydaje się prawdziwa".

Sącząc piwo, przyglądałem się pustemu barowi - nic nie zdobiło betonowych ścian, nie było szafy grającej ani neonów z reklamami piwa. Brakowało nawet cwanych kowbojskich sloganów, żeby udawać preriową kulturę przed przejeżdżającymi mieszczuchami, takimi jak ja. Nic, tylko obskurne, pozbawione nadziei miejsce dla pozbawionych nadziei mieszkańców Zachodu, gdzie mogą się upić.

Dokończyłem piwo, kobieta zaś -jak gdyby jej uszy były wyćwiczone w wychwytywaniu odgłosu pustego szkła stukającego o drewno - wróciła przez drzwi prowadzące z kuchni i stanęła przede mną.

- Chce pan następne? - spytała.

- Nie, dzięki. Gdzie są wszyscy?

Spojrzała na zegarek.

- Dopiero szósta - odpowiedziała. - Nie zaczynają się schodzić przed siódmą.

Na zewnątrz zatrzymał się samochód. Usłyszałem, jak jego opony wbijają się w ziemię.

- A gdzie Ricki? - zagadnąłem.

241-

- Ten sukinsyn nie żyje.

Zabrała moją pustą szklankę i odstawiała ją do brązowego plastikowego pojemnika.

- Czy zrobiłaby pani coś dla mnie? - spytałem.

- Co? - odparła bez entuzjazmu. Była zapewne najbardziej zobojętniałą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Zastanawiałem się, dlaczego po prostu nie podetnie sobie żył. Popchnąłem papierowy kwadracik po kolejowym podkładzie w jej stronę.

- Mam się tutaj spotkać z przyjacielem o dwudziestej pierwszej, ale nie będę mógł. Czy da mu pani to?

Łypnęła podejrzliwie na kwadratowy kawałek papieru, po czym podniosła go i wcisnęła do tylnej kieszeni spodnek.

Przed barem trzasnęły drzwiczki samochodu.

- Jak on wygląda? - spytała.

- Ma długie do ramion czarne, bardzo czarne włosy. Nawet ciemniejsze niż pani. Bardzo blada cera. Przed trzydziestką. Dostać wysoki. Ciemne oczy.

W tej samej chwili, gdy usłyszałem odgłos kroków zbliżających się do drzwi baru, kobieta powiedziała:

- O kurde, a to nie on?

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem Luthera Kite'a wchodzącego do baru. Ześlizgując się ze stolka, wsunąłem rękę do kieszeni i wyjąłem glocka. Zanim odbezpieczyłem broń, on stanął przede mną, spoglądając na mnie.

Cała scena docierała do mnie urywkowo. Odór płynu do mycia okien. Jego niebieska wiatrówka. Hebanowe włosy na gładkim policzku. Mój palec poruszający się tylko raz. Luther padający na mnie, zaciskający dłonie. Wrzask za kontuarem z podkładów kolejowych. Ciężki oddech. Krew na nylonie. Moja dłoń ciepła i mokra. Ucieczka przez parking do samochodu. Zimno. Strzeżony kształt Chimney Rock, teraz ciemny. Preria i brunatno-czerwone wzgórza umykające za oknem, podczas gdy ja pędzę w kierunku Wyoming.

Rozdział 30

Zatrzymałem się po północy na poboczu 1-80, w połowie drogi przez Wyoming, w pobliżu miejscowości Wamsutter. Księżyc nie świecił, nie wiedziałem więc, jak wygląda krajobraz, poza tym, że jest jeszcze bardziej rozległy i opustoszały niż w Nebrasce. Zepchnąwszy walizki na podłogę i zwinąwszy się na tylnej kanapie, zamknąłem oczy. Kiedy mijaly nas samochody przejeżdżające międzystanową, lexus dygotał. Zapadłem w sen, zastanawiając się, co tak naprawdę wydarzyło się „U Rickiego”.

#

O trzeciej trzydzięci w nocy obudziły mnie jęki Orsona. Kiedy wysiadłem i otworzyłem bagażnik, on miotał się w środku, chociaż miał zamknięte powieki. Potrząsnąłem nim, budząc go z koszmaru, a kiedy otworzył oczy i odzyskał rozeznanie w sytuacji, usiadł.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał.
- Pośrodku Wyoming.
- Strasznie chce mi się pić.
- Będziesz musiał zaczekać do rana.

Wyciągnął ramiona i ziewnął.

- Słyszałem wystrzał - powiedział.
- Orson, jak znaleźć chatę?

243-

Położył się z powrotem.

- Uśpij mnie znowu?
- Przysiadłem na zderzaku.
- Oczywiście.
 - To 1-80, zgadza się?
 - Owszem.

- Trzymaj się osiemdziesiątki, póki nie dojedziesz do Rock Springs. To w południowo-zachodnim rogu stanu. Z Rock Springs pojedź drogą 191 na północ i zacznij śledzić licznik. Kiedy ujedziesz siedemdziesiąt mil, musisz się zatrzymać i mnie ocucić. Ja cię poprowadzę przez resztę drogi.

- Dobrze.
- Wybieramy się tam dziś w nocy?
- Nie, jestem wykończony. Mam zamiar spać aż do rana.
- Andy, czy zabiłeś Luthera?
- Stchórzyłem - odpowiedziałem, wstając. - Dlatego ty zostawiłeś mu wiadomość.
- Wiem, że...
- Popapraniec z ciebie. Pójdę po twój zastrzyk.

#

W trakcie podróży przez dwa tysiące mil to po prostu musiało nastąpić.

We wtorek rano mijalem zjazdy na Red Desert, Table Rock, Bitter Creek i Point of Rocks, kiedy trzydzięci mil na wschód od Rock Springs usłyszałem zawrozczenie syreny - SUV patrolujący autostradę przykleił mi się do zderzaka. Wcisnąwszy glocka do kieszeni za siedzeniem pasażera, zjechałem na pas awaryjny, uspokajając sam siebie: „Dlaczego miałby chcieć przeszukiwać samochód? Orson jest nieprzytomny. Mam ważne prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Zajście „U Rickiego" może się nawet w ogóle nie wydarzyć. Jestem czysty”.

244-

Funkcjonariusz zapukał w szybę. Opuściłem ją.

- Prawo jazdy i dowód rejestracyjny - powiedział tym typowym surowym, autorytarnym tonem. Wyjmując papiery ze schowka, uśmiechnąłem się i podałem mu je przez okno. Oddalił się na kabłąkowatych nogach z powrotem do swojego

ciemnozielonego bronco i wsiadł do środka.

Zegar na desce rozdzielczej wskazywał kwadrans po dziesiątej, ale wydawało się, że jest później. Preria wysychała. Po północno-zachodniej stronie horyzontu łańcuch brunatnych gór wznosił się z płaskiej równiny. Za nimi gromadziły się szare chmury.

Dostrzegłem, że sweter i dżinsy, które miałem na sobie w knajpie „U Rickiego”, leżą na podłodze po stronie pasażera. „To jednak się wydarzyło”. Były poplamione krwią Luthera i pożałowałem, że nie wyrzuciłem ich zeszłej nocy na stacji benzynowej w Cheyenne. Zacząłem je zbierać, ale powstrzymał mnie chrząst butów policjanta na żwirze.

Poprawiłem się na fotelu i spojrzałem przez otwarte okno na jego twarz. Funkcjonariusz był w moim wieku. Przypominał mi prawnika z filmu, chociaż nie potrafiłem sobie przypomnieć którego.

- Wie pan, dlaczego pana zatrzymałem, panie Parker? - zapytał, wręczając mi z powrotem prawo jazdy i dowód rejestracyjny Orsona. Odłożyłem je na siedzenie pasażera.

- Nie, panie władzo.

Zdjął lustrzane okulary słoneczne i popatrzył na mnie stanowczymi, jasnymi oczami.

- Zataczał się pan po całej tej cholernej drodze.

- Naprawdę?

- Jest pan pijany? - Podmuch wiatru uniósł mu kapelusz, lecz on go chwycił i wetknął sobie pod pachę. Miał niesforne jasne włosy takiego rodzaju, że gdyby pozwolić im rosnąć dłużej, mogłyby utworzyć afro. Wizja policjanta z blond afro sprawiła, że zrobiło mi się lekko na duszy i zarechotałem.

245-

- Co pana śmieszy?

- Nic, sir. Nie jestem pijany. Jestem zmęczony. Prowadzę bez przerwy od dwóch dni.

- Z Vermont?

- Tak, sir.

Rzucił okiem na walizki na tylnym siedzeniu.

- Podróżuje pan sam?

- Tak, sir.

- Która z nich jest pańska?

„Jaki spryciarz”.

- Obie.

Skinął głową.

- I jest pan w drodze od niedzieli?

- Tak, sir.

- Musi się panu śpieszyć.

- Właściwie to nie. Po prostu chcę zobaczyć, jak szybko można przejechać przez cały kraj.

Myślałem, że może uśmiechnie się, słysząc, jaki jestem ambitny, lecz on pozostał niewzruszony jak zawsze.

- Dokąd pan zmierza? - zapytał.

- Do Kalifornii.

- A gdzie w Kalifornii?

- Do L.A.

- Osiemdziesiątką nie dojedzie pan do L.A. Osiemdziesiątką biegnie do San Francisco.

- Wiem, ale chciałem przejechać przez Wyoming, bo jeszcze nigdy nie widziałem tej części kraju. Pięknie tu.

- Pieprzone zadupie.

Patrzyłem na złotą odznakę nad zieloną kieszenią na jego piersi, pełen niepokojących przeczuć, że niewiele brakuje, by policjant kazał mi wysiąść z auta.

- Cóż, powinien pan wiedzieć, że kieruje się prosto w wielką burzę - powiedział.

246-

- Zamieć śnieżna?

- Tak. Prognoza mówi, że ma być naprawdę kiepsko.

- Dzięki za ostrzeżenie. Nie słuchałem.

- Lepiej niech pan sobie znajdzie jakiś motel, żeby przecze-kać. Może w Rock Springs albo Salt Lake, jeżeli dotrze pan tak daleko.

- Pomyślę o tym.

Spojrzał z ukosa na moją twarz; już wcześniej zauważył moje blednące siniaki.

- Ktoś pana uderzył?

- Tak, sir.

- Kiedy to się stało?

- W barze w zeszły weekend.

- Musiała być nielecha bijatyka.

Wszystko w tym facecie wskazywało na to, że to ciekawa postać. Zdecydowanie nadawał się do książki.

- Wygląda na to, że oberwał pan tam parę razy - powiedział.

- No tak, ale powinien pan zobaczyć tego drugiego.

Ten zdarty banał przypadł mu do gustu. Policjant uśmiechnął się i rozejrzawszy się po okolicy, uznał, że chyba pora jechać dalej. Zerkając w lusterko wsteczne, patrzyłem za nim, gdy powoli szedł do swojego bronco.

„Cholerna zimna krew”. Miałem na myśli siebie.

#

Rock Springs było brzydkim brązowym miasteczkiem, w którym wszystko kręciło się wokół wydobywania węgla, ropy oraz minerału o nazwie trona spod otaczających wzgórz. Było większe i bardziej uprzemysłowione, niż się spodziewałem. Zastanawiałem się, co dwadzieścia tysięcy ludzi robi dla rozrywki na tej północno-wschodniej rubieży Pustyni Wielkiej Kotliny.

247-

Wjechałem na zatłoczony parking przy supermarkecie. Przez ostatnie pół godziny padał deszcz ze śniegiem, którego płatki zalegały na pustyni, ale topniały na ogrzanych słońcem jezdniach. Truchtając po nawianym śniegu w kierunku wejścia do sklepu, obawiałem się, że w każdej chwili drogi zaczną zamarzać, a wtedy nigdy nie dotrzemy do chaty.

Supermarket był entropicznym polem bitwy - kupujący histerycznie ogałali półki z chleba, mleka i jajek. Ponieważ nie wiedziałem, co Orson zmagazynował w chacie, chwyciłem wszystkiego po trochu - jedzenie w puszkach, owoce, płatki, bochenki białego pieczywa, a nawet kilka butelek najlepszych win, jakie tam mieli (choć nie było to nic wyjątkowego). Kolejki do kasy ciągnęły się aż do połowy hali; zacząłem pchać swój wózek na koniec jednej z nich, gdy wtem zdałem sobie sprawę, że musiałbym czekać z godzinę tylko po to, by zapłacić. „Pieprzyć to. Robiłeś o wiele gorsze rzeczy niż kradzież”.

Popchałem więc wózek prosto przez automatyczne drzwi, z powrotem w zadymkę. Parking był teraz oszroniony, pokrywał się bielą, gdy śnieg sypał się nań falami. Za budynkiem supermarketu czerwone zbocza ostro odcinały się na tle bieli, a ja uświadomiłem sobie, że jeszcze nigdy nie widziałem śnieżycy na pustyni.

Gdy dotarłem do lexusa, otworzyłem tylne drzwi i zacząłem ładować zakupy na wierzch walizek, mojej i Waltera. Orson dał się jak najęty. Powiedziałem mu, żeby się zamknął i że już prawie jesteśmy w domu. Miejsce obok mnie było puste, więc zostawiłem tam wózek i otworzyłem drzwi od strony kierowcy.

- Przepraszam? - Jakaś tęga kobieta opatulona w puchatą różową kurtkę, która nie sprzyjała jej figurze, wpatrywała się we mnie ze zdziwieniem, stojąc przy bagażniku lexusa.

- Czego?

- Co to za odgłos? - Zapukała w bagażnik.

- Nie wiem, o czym pani mówi.

248-

- Zdaje mi się, że ktoś jest w pańskim bagażniku.

Ja także to usłyszałem: Orson znowu krzyczał, jego głos był stłumiony, ale słyszalny. Mówił, że mnie zabije, jeśli nie dam mu pić.

- Niczego tam nie ma - odpowiedziałem. - Pani wybacz.

- Czy to pies?

Westchnąłem.

- Nie. Rzeczywiście, jestem bandytą. Ktoś jest w moim bagażniku, a ja zabieram go na pustynię, żeby go zastrzelić i zakopać. Chce się pani zabrać i popatrzeć?

Roześmiała się, aż jej twarz się zmarszczyła.

- Och, rety, to świetne! Naprawdę świetne! - powiedziała, chichocząc jak wariatka.

Odeszła, a ja wsiałem do lexusa i wyjechałem z parkingu.

Jezdnia pokryła się lodem, prowadziłem więc bardzo ostrożnie, opuszczając parking i wracając na autostradę 191, zdenerwowany, jak przystało na południowca za kółkiem w czasie śnieżycy.

Rozdział 31

Wiatr chłostał samochód. Droga całkiem zniknęła.

Przez ostatnie czterdzieści mil jechałem za pojedynczym śladem opon ciężarówki. Od opuszczenia Rock Springs, prawie cztery godziny temu, utrzymywały się na drodze. Jednak gdy brnąłem

na północ otępiając prostą autostradą 191, kontrast między asfaltem a śniegiem się zacierał. Teraz, gdy spoglądałem przez wściekle uwijające się wycieraczki, wyteżałem wzrok, by dostrzec choćby najłżejsze wgniecenie w śniegu. Wkrótce będzie zbyt głęboki, żeby prowadzić. Nawet teraz czułem, że opony ślizgają się przy najłżejszym nacisku na pedał gazu albo hamulca. Pomijając huragan, który siedem lat temu nadciągnął nad Karolinę Północną, była to najgorsza pogoda, jaką kiedykolwiek widziałem.

Dokładnie siedemdziesiąt mil na północ od Rock Springs zatrzymałem wóz pośrodku opustoszałej autostrady. Siedząc na ciepłym skórzanym fotelu, przez chwilę wpatrywałem się przez szybę na śnieg, który padał gęsto i szybko niczym deszcz. Dalej niż sto stóp ode mnie biel była już nieprzenikniona, a widoczność wciąż się pogarszała. Gwałtowny prąd zstępujący targał samochodem i zdmuchiwał z drogi nagromadzony śnieg. Gdy nawierzchnia ukazała się na nowo, zobaczyłem, że ślady opon przecinają przerywaną linię.

Wyłączyłem silnik, chwyciłem kluczyki, otworzyłem drzwi i wyszedłem w środek burzy. Szybko pędzący śnieg zaklejał mi

250-
oczy, a ja, osłaniając twarz ręką, brnąłem w kierunku bagażnika. Na drogę napadało już trzy cale, a jeszcze więcej na pustynię. Kiedy warstwa śniegu stanie się tak głęboka, że skryje całą roślinność prócz najwyższych bylic i komosowatych krzewów, nie będziemy mieli punktu odniesienia, żeby trzymać się drogi. „Ale mamy jeszcze czas”, pomyślałem, otwierając bagażnik i opierając się kolejnemu lodowatemu podmuchowi. „Ta burza dopiero się rozkręca”.

Orson był przytomny; jego ciemne, podpuchnięte oczy rozszerzyły się, kiedy zobaczył śnieg. Płatki zebrały się na jego włosach. Na twarzy miał czerwone kreski po godzinach spania na dywanie, a jego wargi były spieczone i popękane.

- Możemy być w tarapatkach - powiedziałem. - Chcę, żebyś przełożył ręce za plecy, bo zamierzam uwolnić ci stopy. Przysuń je tutaj.

Zwiesił nogi za krawędź bagażnika, a ja usunąłem linkę rowerową krepującą mu kostki. Cisnąłem ją w kąt bagażnika, pomogłem bratu wygramolić się i poleciłem podejść do drzwi od strony pasażera. Zanim wróciłem na swój fotel i nastawiłem nawiew na maksymalną moc, moje ubranie przemokło od śniegu. Otworzyłem drzwi pasażera i Orson wsiadł do auta. Pozostawiając jego ręce skute za plecami, wyciągnąłem rękę ponad jego kolanami i zamknąłem drzwi.

Przez moment siedzieliśmy, nie odzywając się do siebie. Wyłączyłem wycieraczki przy przedniej szybie. Śnieg padał i topił się na podgrzanym szkle. Szarość gęstniała.

- Jesteśmy dokładnie siedemdziesiąt mil na północ od Rock Springs - oznajmiłem.

Orson wyjrzał przez przednią szybę.

- Jesteśmy w pobliżu drogi?

- Zapewne gdzieś w odległości pół mili. Ale kiedy jest tak jak teraz, to równie dobrze może być ze sto.

251-

- Chata stoi po tej stronie, prawda? - Wskazałem za okno po swojej stronie.

- No tak. Gdzieś tam.

- Co to znaczy? Nie potrafisz jej znaleźć?

- Nie przy czymś takim. - Niepokój sprawił, że jego twarz napięła się, a blask niebieskich oczu przygasł.

- Spróbujmy - powiedziałem. - To lepsze niż...

- Posłuchaj. Jakies pięć mil w tę stronę w głąb pustyni

- wskazał ruchem głowy szarość wirującą za oknem -jest pasmo górskie. Pewnie je pamiętasz.

- Owszem. I co?

- Jeżeli nie widzę tego pasma, nie mam jak określić, gdzie się znajdujemy w stosunku do chaty. Do diabła, moglibyśmy pojechać w tę stronę, ale byłby to strzał w ciemno i pewnie byśmy gdzieś utknęli.

- Szlag. - Wyłączyłem silnik. - Powinienem być zatrzymać się na noc w Rock Springs.

- Zapewne. Ale nie wiedziałeś, że tak będzie.

- Nie, nie wiedziałem. - Starłem sobie topniejący śnieg z ogolonej głowy.

- Wyglądasz jak ja - stwierdził Orson. - O co tu chodzi?

- Chce ci się pić?

-Tak.

Podąłem mu pełną butelkę letniej wody.

- Orson - zapowiedziałem mu. - Tylko czegoś spróbuj. Chociaż raz. To cię zabije.

- Wierzę ci.

Zegar na desce rozdzielczej wskazywał 16.07. Patrzyłem, jak godzina zmieniała się na 16.08, a potem na 16.09.

- Wkrótce będzie ciemno - stwierdziłem.

Pot spływał mi po piersi i nogach. Orson oparł się wygodnie w fotelu i zamknął oczy. Śmierdział moczem. Jego szlafrok był

252-

brudny, a ja zawstydzilem się, że nie pozwoliłem mu normalnie skorzystać z łazienki od wyjazdu z Vermont.

Minuty płynęły dalej: 16.10,16.11,16.12.

- Nie mogę tego znieść - powiedziałem i uruchomiłem samochód.

- Co robisz?

- Zamierzam znaleźć tę gruntową drogę.

- Andy! Andy!

Wrzuciłem bieg i ze stopą na pedale gazu obejrzałem się na Orsona.

- Przestań się wygłupiać - rzekł spokojnie. - Nie znajdziesz tej drogi. Nie znajdziesz chaty. To śnieżycy pełną gębą i jeżeli przez ciebie utknemy z dala od tej autostrady, to mamy przeżabane. Teraz nie wydostaniemy się prędko z auta. To pewne.

A więc poczekajmy tutaj, na środku autostrady, bo przynajmniej wiemy, gdzie się znajdujemy. Jeżeli będziesz próbował odnaleźć drogę, wpakujesz nas na środek pustyni pokrytej szadzią.

- Musimy tylko jechać prosto. Chata jest w tamtą stronę. Pojedziemy prosto i...

- W którą stronę prosto? W tę? W tę? W tamtą? Dla mnie wszędzie wygląda prosto!

Przydepnąłem pedał gazu, a tyłem lexusa zarzuciło. Puściłem i nacisnąłem łagodniej. Teraz opony znalazły nawierzchnię, która pozwoliła nam na solidny rozpęd. Przy czterdziestu milach na godzinę skrzyłem na pustynię. Opony wgryzły się w puch i nasza prędkość spadła do trzydziestu. Śnieg był dwakroć tak głęboki jak na drodze i chociaż czułem, że w każdej chwili możemy stracić przyczepność, utrzymywałem panowanie nad wozem. Manewrując między bylicami, zezowałem przez przednią szybę, wypatrując długiego, prostego pasa bieli nie upstrzonej roślinnością. Ciągnąłby się na zachód - cienka biała wstążka pośród śniegu, a my pojechalibyśmy nią i dotarlibyśmy do chaty.

Orson gapił się na mnie.

253-

- Widzisz cokolwiek? - spytałem. - Patrzysz?

Silnik pracował mozolnie, żeby obracać kołami, a wskaźnik prędkościomierza drgał między dwadzieścia a dwadzieścia pięć. Obserwowałem go z niepokojem.

- Zawróć - powiedział. - Zrób to teraz, to może dotrzemy do autostrady. Ale jeżeli pozwolisz, żeby samochód się tu zatrzymał, to nie mamy cienia szansy.

- Wypatruj drogi - poleciłem.

- Andy...

- Szukaj tej cholernej drogi!

Upłynęły cztery minuty, nim uświadomiłem sobie, że miał słuszność. Nie widziałem dalej niż na pięćdziesiąt stóp przed maską samochodu, a gdy wskaźnik zatrzymał się przy dziesięciu milach na godzinę, zwątpiłem, czy mamy dostateczną prędkość, żeby wrócić na autostradę.

- Wracamy - powiedziałem, skracając kierownicą w prawo.

Tył auta wymknął się w lewo i opony natychmiast straciły przyczepność. W panice nacisnąłem na pedał gazu i samochód okręcił się o 360 stopni. Zanim zdjąłem stopę z pedału, nasza prędkość spadła poniżej pięciu mil na godzinę i nie byłem w stanie już nic zrobić, żeby ją zwiększyć. Lexus spoczął na jakimś krzaku.

- No to ładnie - odezwałem się. - Nic nie mów.

Ostrożnie dotknąłem pedału gazu - koła zakreśliły się, ale nie odzyskały przyczepności. Zaciśnąłem dłoń na kierownicy i wbiłem pedał w podłogę. Silnik zaryczał i koła wyrzuciły fontannę śniegu, a przez moment także ziemi. Lexus wyrwał się do przodu na świeży śnieg i wtedy jeszcze mocniej nacisnąłem stopą na gaz, aż obrotomierz zaczął nas ostrzegać, a ja poczułem woń grzejącego się silnika. Jednak opony ponownie nie znalazły

oparcia na ziemi. Wyłączyłem przegrzany silnik i wyszarpnąłem kluczyki ze stacyjki.

254-

Otworzyłem drzwi i wybiegłem prosto w śnieżycę. Śniegowe płatki, pędząc z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę, zmieniły się w ostre igły i bezlitośnie kłuły mi twarz. Pochyliłem się i przekopałem przez sześć cali puchu, myśląc: „Może właśnie stoję na drodze”. Bolały mnie ręce, gdy rylem w śniegu. W końcu dotarłem do ziemi, lecz była zbyt sypka, by mogła to być droga gruntowa.

Spoglądając w górę na szalejącą białą zadymkę, wrzeszczałem, aż poczułem ogień w gardle. Twarz piekła mnie od mrozu, a śnieg przemoczył buty. „To się nie dzieje naprawdę”, pomyślałem. Groza zagubienia się tu wraz z nim zaczynała mnie dusić. „To nie może być prawda”.

Rozdział 32

Na powrót wsiałem do lexusa, gdzie zrzuciłem mokre ubranie. Cisnąłem je na podłogę z tyłu, otworzyłem swoją walizkę i wyjąłem czystą bieliznę, dres, który zapakowałem sobie do spania, oraz dwie pary skarpet.

- Czy powinienem uruchomić auto? - spytałem. - Czy to wyczerpie akumulator?

- Nie powinno. Ale na razie to odłożmy, przynajmniej dopóki nie zrobi się kompletnie ciemno. Będzie nam potrzebny, żeby przez całą noc działało ogrzewanie. - Orson oparł się o szybę, wciąż mizerny i ospały po narkotyku. - Jak stoimy z benzyną? - Pół baku.

Orson podciągnął nogi na siedzenie i obrócił się na bok, plecami do mnie.

- Zimno ci? - spytałem.

- Trochę.

Wyciągnąłem z walizki Waltera parę spodni od dresu, wełniane skarpety i szarą bluzę sportową z emblematem Uniwersytetu Karoliny Północnej na niebieskim tle. Ułożyłem je na kolanach Orsona, podniosłem glocka leżącego obok moich stóp i wyjąłem z kieszeni kluczyk od kajdanek.

- Zamierzam zdjąć ci kajdanki, żebyś mógł pozbyć się tego paskudnego szlafroka - powiedziałem. - Zaraz potem wracają.

256-

Otworzyłem kajdanki i zdjąłem mu je z nadgarstków. Rozebrawszy się, upuścił szlafrok na podłogę i opatulił ubraniami Waltera. Przesunąłem się, żeby skuć go z powrotem, ale poprosił: „Zaczekaj chwilkę” i opuścił spodnie, żeby móc zbadać oparzenie po wewnętrznej stronie uda.

- Swędzi - powiedział, a gdy już podrapał skórę dokoła pęcherza wielkości miętowej czekoladki, z powrotem naciągnął dresy, ułożył dłonie za plecami i pozwolił się skuć.

Odchyliłem oparcie swojego fotela i nasłuchiwałem, jak wiatr napiera na samochód. Błyskawica zajaśniała na tle zimowego zmierzchu; za nią nieuchronnie nadciągnął grzmot.

- Orson - odezwał się. - Chcę, żebyś mi powiedział, dlaczego zabiłeś naszą matkę.

- Przecież wiesz.

Miał rację.

- Chcę, żebyś to powiedział. Przyjechałbym po ciebie dla dobra rodziny Waltera. A może tylko dla samego siebie.

- Jestem pewien, że tak.

- Jesteś odrażający. Mam jeszcze jedną teorię. Chcesz ją usłyszeć?

- Pewnie - przytaknął, wpatrując się w zadymkę.

- Ponieważ wydała cię na świat.

Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakbym przyłapał go na obwąchiwaniu majtek.

#

Temperatura wewnątrz auta zaczęła raptownie spadać, gdy wybrałem z zapasu wiktuałów pudełko krakersów Ritz, okrągły kawałek sera provolone oraz butelkę cabernet sauvignon.

- Nie będziemy mogli tego wypić - powiedziałem. - Nie mamy korkociągu.

- W schowku jest scyzoryk z korkociągiem - odparł Orson.

257-

Odszukałem szwajcarski scyzoryk pod stertą map drogowych, otworzyłem butelkę i pociągnąłem zdrowy łyk aromatycznego wina. Potem rozdarłem pudełko z krakersami i ułożyłem je sobie na kolanach.

- Jesteś głodny? - spytałem, tępy ostrzem krojąc wędzony ser. - Masz.

Włożyłem plaster provolone między dwa krakersy i podałem mu do ust. Potem oparłem się na fotelu i patrzyłem, jak nadchodzi noc.

Kiedy przednia szyba zamarzła, śnieg przywarł do szkła.

Wiatr dmuchał z tak brutalną siłą, że płatki śniegu przylepiły się do wszystkich okien i po piętnastu minutach w ogóle nie widzieliśmy śnieżycy szalejącej wokół nas. Jedyne jej nieustające zawrodożenie i zimna, nienasycona energia potwierdzały jej obecność.

Orson dostrzegł zakrwawione ubranie pod nogami.

- Andy - odezwał się. - Czy to krew Luthera?

Przytaknąłem.

- Ho, ho! Gdzieś to zrobił? „U Rickiego”?

- Mieliliśmy się spotkać o dwudziestej pierwszej. Pojechałem o osiemnastej, żeby zostawić wiadomość u barmanki, że nie możesz się pojawić. Luther wszedł, kiedy akurat miałem wychodzić. Gdyby nie zjawił się za wcześniej...

- Przyjechał wcześniej, ponieważ wiedział, że coś jest nie w porządku.

- Skąd wiesz?

- Jest bystry. Ale ty też byłeś. Miałeś broń. W przeciwnym razie właśnie byś konał.

- Smutno ci, że go nie ma?

- Nie. I to nic osobistego. Wiele razem działaliśmy.

- Cóż, ja tam się cieszę, że on nie żyje.

Orson uśmiechnął się.

- Nie różnił się aż tak bardzo od ciebie, Andy.

258-

- Jasne.

- Pojawiłem się w jego życiu, tak jak pojawiłem się w twoim.

Po prostu on zaakceptował to nieco prędzej.

Wbiłem w Orsona zdumiony wzrok.

- Wiesz co, zrobiłeś coś gorszego, niż gdybyś mnie zabił - powiedziałem. - Zniszczyłeś mnie. Odebrałeś mi matkę i najlepszego przyjaciela. Nie mogę wrócić do domu. Nie mogę wrócić, żeby uciec od tego tutaj.

- Nie, ja cię ocaliłem, Andy. Twój dom to był cyrk. Nie kręcisz się już dłużej w kółko jak wszyscy inni, ślepy na tę czarną dziurę, którą nazywasz sercem. Bądź mi wdzięczny. Teraz wiesz, do czego jesteś zdolny. Większość ludzi nigdy się nie dowie. Jednak my żyjemy uczciwie, ty i ja. To prawda, Andy. Jak to mówił Keats? To piękno. Nie tylko jakaś ładna prawda. Mamy mroczne serca, ale są piękne.

Pochłonęliśmy całe pudełko krakersów i większość sera.

Wino wpływało otepiająco na moją czujność, więc przyhamowałem jego konsumpcję.

Kiedy skończyliśmy jeść, rozsunałem zamek błyskawiczny w saszetce. Zostały mi dwie fiołki Ativanu i dwie fiołki Verse-du, ale ponieważ był to bezpieczniejszy środek, wyjąłem resztkę Ativanu.

- Andy - odezwał się Orson, gdy wbiłem igłę w pierwszą fiołkę i zacząłem nabierać roztwór.

-Co?

- Czy pamiętasz lato, kiedy znaleźli tego mężczyznę pod międzystanową za naszym domem?

- Owszem, pamiętam to.

Orson wyprostował się na siedzeniu i wbił we mnie wzrok, przechylając głowę na bok, jak gdyby pogrążony w myślach. Opróżniłem drugą fiołkę i postukałem w strzykawkę. W samochodzie stałe robiło się coraz ciemniej - zmierzch mieliśmy już za sobą.

259-

- Co pamiętasz? - zapytał.

- Daj spokój, chłopie, jestem zmęczony.

- Tylko mi powiedz, co pamiętasz.

- Mieliśmy po dwanaście lat. To był czerwiec.

- Lipiec.

- OK. Lipiec. Och, no tak. Około czwartego lipca. Właściwie to było dokładnie czwartego, kiedy go znaleźli. Pamiętam tamten wieczór, siedzieliśmy na podwórku, trzymając zimne ognie, i zobaczyliśmy, że trzy wozy policyjne zatrzymują się przy krawęzniku. Policjanci przebiegli przez nasze podwórko z dwoma wilczurami. Tato piekł na grillu hamburgery, a my patrzyliśmy,

jak mężczyźni znikają w lesie. Kilka minut później psy zaczęły jazgotać jak szalone, a tato powiedział: „Wygląda na to, że znaleźli to, czego szukali”.

Orson uśmiechnął się.

- Willarda Bassa.

-He?

- To jego znaleźli w tunelu.

- Nie wierzę, że pamiętasz jego nazwisko.

- A ja nie wierzę, że ty nie pamiętasz.

- Dlaczego miałbym pamiętać?

Orson głośno przelknął ślinę i spojrzał na mnie z ukosa.

- On mnie zgwałcił, Andy.

Grzmot zatrzęsł szybami. Wpatrywałem się w do połowy opróżnioną butelkę wina ulokowaną między nogami. Moje palce owinęły się wokół jej chłodnej szyjki. Podniosłem cabernet do ust i chlusnąłem sobie do gardła.

- To się nie wydarzyło - odparłem. - Mogę na ciebie spojrzeć i...

- A ja w tej chwili patrzę ci w twarz i widzę, że wiesz, iż on to zrobił.

- Kłamiesz.

260-

- No to dlaczego masz to dziwaczne poczucie ściskające cię w dołku? Jakby coś, czego nie dotykałeś od lat, budziło się do życia w twoim żołądku.

Pociągnąłem kolejny łyk i postawiłem butelkę między stopami.

- Pozwól, że opowiem ci historię - powiedział. - Zobaczmy, czy...

- Nie. Mam zamiar ci to wstrzyknąć, żebyś mógł się prześpać. Nie zamierzam tutaj siedzieć i wysłuchiwać...

- Czy masz na końcu ptaka ślad po oparzeniu papierosem? Miałem wrażenie, jakby mrówki wędrowały mi po karku.

- Ja też mam - oznajmił.

- To się nie wydarzyło. Teraz sobie przypominam. To była historyjka, którą wymyśliłeś po tym, jak znalazły go te dzieciaki.

- Andy!

Ja nie chciałem wiedzieć, ale on chciał. Wyczuwałem, że to zawsze gdzieś tam tkwiło, wciśnięte w ciemny zaułek mojej pamięci, który mogłem omijać, wiedząc, że czai się w nim coś okropnego, i nie zapuszczając się nigdy w jego pobliże, by móc się temu jasno przyjrzeć.

- To się wydarzyło pewnego dnia podczas burzy z piorunami, późnym popołudniem - zaczął. - W tunelu odwadniającym, który biegł pod międzystanową. Woda miała głębokość ledwie dwóch cali i było tam dostatecznie wysoko, żeby mężczyzna mógł iść wyprostowany. Cały czas się tam bawiliśmy. Po lunchu bawiliśmy się w lesie, kiedy zaczęła się burza. Żeby uciec przed ulewą, zbiegliśmy do strumyka i poszliśmy wzdłuż jego biegu w głąb tunelu. Myśleliśmy, że pod betonowym stro-

pem będziemy bezpieczni przed błyskawicami, ale staliśmy w strumieniu.

„Widzę cię w ciemnościach wilgotnego tunelu”.

- Mówiłem ci - ciągnął dalej - że mama spierze nam tyłki za to, że zostaliśmy na dworze w czasie burzy.

261-

Odwrociłem się od Orsona i odłożyłem strzykawkę na podłogę. Noc ogarnęła już wszystko i wewnątrz auta wypełniła ciemność, Orson był więc dla mnie niewidoczny. Docierały do mnie tylko jego słowa, ledwie słyszalne w zawrocie śnieżyca, wciągając w ten zapomniany zaułek.

#

„Nasz śmiech odbija się echem w tunelu. Orson ochlapuje mnie wodą, a ja w odpowiedzi chlapię jego chude dziecięce nogi. Stoimy u wylotu tunelu, gdzie odpływ opada na dwie stopy, tworząc sięgającą pasa błotnistą sadzawkę, w której, naszym zdaniem, żyje pełno węży.

Dwieście stóp dalej, na drugim końcu tunelu, słyszymy chłopot nieostrożnych kroków w płytkiej wodzie. Orson i ja odwracamy się i widzę, że plamę światła na drugim końcu zasłania jakaś poruszająca się postać.

- Kto to? - szepcze Orson.

- Nie wiem.

W ciemnościach dostrzegam mikroskopijną kropkę żaru z papierosa.

- Chodź - marudzi Orson. - Wynośmy się stąd. Będziemy mieć kłopoty.

Grzmot wstrząsa betonową konstrukcją. Przekraczam brudny strumień i staję obok brata.

Mówi mi, że się boi. Ja też mam stracha. Zaczyna padać grad, okruchy lodu wielkości piłeczek do ping-ponga sypią się na leśną ściółkę i wpadają z pluskiem do rdzawej sadzawki. Bardziej przerażający niż burza jest jednak odgłos zbliżających się kroków. Czekamy w napięciu. Woń tytoniu z aromatem wiśni nasila się i wkrótce czujemy pierwszy powiew dymu.

Mężczyzna, który wyłania się z cienia, jest krępy i łysy, starszy od naszego ojca, ma zaniedbaną szarą brodę i przedramiona 262-

grube jak bale. Nosi brudne wojskowe moro, a chociaż wzrostem niewiele nad nami góruje, to jest od nas cięższy o dobre sto funtów. Chwiejnie wkracza prosto między nas i mierzy nas wzrokiem jak przedmioty, co jednak nie działa mi na nerwy tak, jak powinno. Nadal nie mam pojęcia o pewnych rzeczach.

- Przyglądam się wam całe popołudnie - mówi. - Nigdy nie miałem bliźniaków.

Nie jestem pewien, co ma na myśli. Mówi z akcentem z Północy, ma niski głos i gdy mężczyzna mówi, rezonuje niczym u warczącego zwierzęcia. Jego oddech jest nieświeży, przesycony dymem i alkoholem.

- Entliczek-pentliczek, czerwony stoliczek, na kogo wypad-

nie, na tego bęc! - Grubym, utłuszczonym palcem wskazującym celuje w pierś Orsona.

Już mam zadać pytanie, co on robi, kiedy pięść, której nawet nie zauważyłem, trafia mnie w szczękę.

Dochodzę do siebie z twarzą w wodzie, mam mroczone oczy, a Orson jęczy.

- Nie przestawaj się mazać, chłopcze - mówi mężczyzna, zaszapany. - To ładne. Naprawdę ładne.

Wzrok mi się wyostria, ale nie rozumiem, dlaczego Orson klęczy w wodzie, a mężczyzna pokłada się na nim od tyłu, przyciskając swoje olbrzymie owłosione nogi do bezwłosych ud Orsona. Jego oliwkowe spodnie i bielizna leżą zsunięte na czarnych buciorach. Mężczyzna mocno ściska Orsona, gdy kołyszą się obaj tam i z powrotem.

- O, do diabła - szepcze mężczyzna. - Och, dobry Boże.

Orson piszczy. Jego głos przypomina naszego szczeniaka cocker-spaniela, a ja wciąż nie pojmuję.

Mężczyzna i Orson spoglądają na mnie w tej samej chwili i widzą, że jestem przytomny i zaciekawiony. Orson potrząsa głową i głośniejsz słocho. Ja także płaczę.

263-

- Chłopcze - mężczyzna zwraca się do mnie. Ma twarz śliską od potu. - Nie waż się ruszyć. Ukręcę twojemu bratu tę śliczną główkę i zagram nią w kręgle.

A więc leżę tam z twarzą w wodzie, patrząc, jak mężczyzna stęka. Zamyka oczy i zaczyna szarpać Orsonem coraz szybciej. Kiedy szczytuje, gryzie Orsona w ramię przez niebieski T-shirt, a mój brat wrzeszczy.

Mężczyzna wygląda na uszczęśliwionego.

- Ach! Ach! Aaach! Aaach! Aaaaaach!

Willard odsuwa się, a Orson bezwładnie pada w wodę. Całe poślądki mojego brata są we krwi. Spływa mu z tyłu po nogach. On leży w wodzie, półnagi, zbyt oszołomiony, żeby płakać czy choćby podciągnąć spodnie.

Willard wyjmuje papierosa z kieszeni na piersi i zapala go.

- Słodki jesteś - mówi, sięgając w kierunku mojego brata, który ciągle kuli się w wodzie.

Orson krzyczy.

Siadam oparty o betonową ścianę. Grad ustał. Willard brnie w wodzie w moją stronę, spodnie nadal ma ściągnięte do kostek. Nigdy przedtem nie widziałem mężczyzny w stanie erekcji, a chociaż zaczyna słabnąć, wciąż jest piekielnie wielka. Mężczyzna przystaje przede mną.

- Nie mogę kochać się z tobą tak jak z nim - mówi, zaciągając się papierosem. - Ssałeś kiedyś fiuta?

Kręcę przecząco głową, a on staje tuż przy mnie. Mam opuchniętą szczękę, ale zapominam o bólu, kiedy czuję jego woń.

Trzyma członkiem ręką i pociera nim o mój policzek.

- Wkładaj go do ust, chłopcze, albo ukręcę ci łeb.

Łzy ciekną mi po policzkach.

- Nie mogę. Nie mogę tego zrobić.

- Chłopcze, bierz go w tej chwili. I zrób mi dobrze. Jakby ci zależało. I ostrożnie z tym aparatem na zębach.

264-

Wilgotny bulwiasty czubek jego fiuta dotyka moich warg i biorę go do ust na całą minutę.

Kamień wielkości grejpfruta upada do wody obok mnie, a Willard zatacza się do tyłu, na przeciwległą ścianę, i osuwa, aż siada w wodzie. Jest oszołomiony, a ja nie rozumiem, co się stało, póki nie widzę, jak ręka Orsona wyciąga kamień z wody. Ponieważ Willard trzyma się za lewą skroń, nie dostrzega, że Orson ponownie bierze zamach. Kamień trafia go tym razem prosto w twarz i słyszę trzask kości. Twarz mężczyzny jest teraz purpurowa, poprzesławiana. Willard na czworakach usiłuje dostać się do wylotu tunelu. Orson, znowu podnosząc kamień, wsiada na niego tak, jak zwykliśmy jeździć na plecach ojca, i wali kawałkiem granitu w czaszkę mężczyzny. Willard wytrzymuje cztery ciosy, nim jego ramiona się poddają.

Orson obiema rękami wysoko unosi kamień i roztrzaskuje głowę mężczyzny niczym miękki owoc. Kiedy kończy, odwraca się do mnie, wciąż siedząc okrakiem na Willardzie; jego twarz upstrzona jest krwią i drobinami mózgu.

- Chcesz mu trochę przyłożyć? - pyta, chociaż nie zostało wiele, w co można by uderzyć.

-Nie.

Orson ciska kamień do sadzawki, podchodzi do mnie i siada obok. Pochylam się i wymiotuję. Kiedy się prostuję, pytam go:

- Co on ci zrobił?

- Wsadził mi go w tyłek.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Zobacz, co jeszcze zrobił. - Orson pokazuje mi swego małego penisa.

Na koniuszku widać pęcherz po oparzeniu i na ten widok zaczynam płakać.

Podchodzę do Willarda i odwracam go. Nie ma już twarzy.

Jego czaszka przypomina rozłupanego arbuza. Odnajduję w kieszeni na jego piersi namokniętą paczkę papierosów. Zapalniczka

265-

jest w paczce, wyjmuję ją wraz z jednym papierosem i z powrotem siadam u boku brata. Zapalam papierosa, opuszczam spodnie i robię sobie znamię.

- Nadal jesteśmy tacy sami - mówię, pojękując, gdy nadchodzi ból".

Willard Bass był już tylko bufetem dla much, kiedy psy go znalazły. Chociaż nasi rodzice zabronili nam bawić się w lesie do końca lata, wydawało się, że w ogóle nie zauważyli, iż ich synowie stracili niewinność.

To dziwne. Nie pamiętam, kiedy o tym zapomniałem.

#

Kiedy Orson skończył mówić, na długo zapadła cisza. Ciem-

ność we wnętrzu samochodu stała się nieprzenikniona, a burza srożyła się dalej.

- Domyślam się, że uważasz, iż to wiele tłumaczy - powiedziałem.

- Nie. Chcesz wiedzieć, co myślę? Otóż myślę, że gdybyśmy ty i ja nigdy nie weszli do tego tunelu, i tak znaleźlibyśmy się na tej pustyni. Nie jestem tym, kim jestem, dlatego że zostałem zgwałcony, kiedy miałem dwanaście lat. Willard Bass był tylko jak oliwa dolana do ognia. Kiedy to wreszcie dostrzeżesz?

-Co?

- Co naprawdę w tobie siedzi.

- Ja to widzę, Orson.

-No i?

- I nienawidzę tego. To mnie przeraża. Szanuję to. Ale gdybym choć przez moment sądził, że to może przejąć nade mną kontrolę, to bym sobie strzelił w łeb. Pora na twój zastrzyk.

Rozdział 33

Kiedy się obudziłem, nie słyszałem już wiatru. Zegar wskazywał dziesiątą rano. Orson oddychał ciężko i chociaż nim potrząsałem, nawet nie drgnął.

W aucie zrobiło się nieznośnie gorąco, więc przymknąłem kratkę nawiewu. Włączyłem wycieraczki z przodu, a one strąsnęły śniegowy klin z szyby. Słońce oświetliło przednie siedzenie z rażącą jaskrawością.

Śnieg sięgał ponad maskę samochodu i gdy rozglądałem się po białym pustkowiu, jedynie gdzieś dostrzegałem splątane pędy dojrzałej bylicy wystające spod śniegu. Niebo było błękitne jak orchidea.

Zobaczyłem białe pasmo gór kilka mil przed nami i zastanawiałem się, czy to samo, które wznosiło się za chatą i szopą. Patrząc na brata śpiącego na fotelu pasażera, poczułem, jak coś ściska mnie w żołądku. „Drań”. Śnił mi się Willard Bass, gdy kazał mi się ssać. Wściekłość nie przygasła, ropiejąc w moich trzewiach jak wrzód, a im bardziej ją odpychałem, tym silniej wzbierała. „Nie powinien był mi tego robić”.

- Orson, obudź się! - Uderzyłem go w twarz i jego oczy się otworzyły.

- O rany - mruknął, siadając. - Napadało ze trzy stopy. - Orson przekrzywił głowę. - Otwórz okno. - Bryła śniegu spadła

267-
mu na kolana, gdy szyba w drzwiach zjechała w dół. - Widzę chatę - oznajmił.

- Gdzie?

- Dwie czarne plamki na horyzoncie.

Zmrużyłem oczy, wyglądając przez okno po stronie pasażera.

- Jesteś pewien, że to chata?

- Nie ma tu innych zabudowań w promieniu piętnastu mil.

- Jak tam daleko?

- Milla albo dwie.

Sięgnąłem na tylne siedzenie, chwyciłem narecze ubrań z wa-

lizek i upuściłem je na konsolę między Orsonem a sobą.

- Zamierzam cię rozkuć, póki nie dotrzemy do chaty.

- Idziemy teraz? - zapytał z niedowierzaniem. - Mowy nie ma, żebyśmy dali radę.

- Orson, widzimy ją. Zostało nam niecałe ćwierć baku benzyny. To nie wystarczy na kolejną noc grzania, a co, jeśli nadciągnie następna śnieżycy? Idziemy.

- Czy któreś z tych ubrań są wodoodporne?

-Nie.

- No to o nich zapomnij. Ten lód przemoczy bawełnę, a dotarcie do chaty w takim głębokim śniegu zabierze nam co najmniej kilka godzin. Słyszałeś kiedyś o odmrożeniach?

- Zaryzykuję. Nie mam zamiaru spędzić jeszcze jednej nocy z tobą w tym samochodzie.

Wyciągnąłem z kieszeni kluczyk od kajdanek.

- Przepraszam, że opowiedziałem ci o Willardzie - mruknął.

-Andy?

- Czego?

- Zamierzasz znowu zapomnieć?

- Nawet się do mnie, kurwa, nie odzywaj.

268-

#

Śnieg sięgał mi niemalże do pasa. Jeszcze nigdy nie chodziłem w śniegu tak głębokim, że każdy krok wymagał tyle wysiłku, ile dla brzdąca wspięcie się po schodach. Kazałem Orsonowi iść o kilka jardów przede mną i - tak jak przewidział - nie uszliśmy jeszcze nawet pięćdziesięciu niezdarnych kroków, a lód już zaczął przenikać przez warstwy moich spodni i dresów. Pokonaliśmy ćwierć mili, gdy pierwsze oznaki lodowatego pieczenia dały o sobie znać w nogach nad kolanami, niczym rój żądeł nakłuwających raz po raz moją zaczerwienioną skórę. Każdy krok był bolesny. Stanie bez ruchu też bolało, a zanim uszliśmy milę w śniegu, nawet oczy piekły mnie od kryształowego słonecznego blasku. Zastanawiałem się, jak zdołam dotrzeć do tej małej czarnej plamki, która wciąż niezmiennie wydawała się tylko punkcikiem na tle horyzontu.

Orson sunął naprzód niezmiernym krokiem, nie wykazując żadnych oznak bólu czy zmęczenia. Pieczenie w nogach stało się tak bardzo nie do zniesienia, że czoło oblał mi zimny pot.

- Zaczekaj! - zawołałem i Orson się zatrzymał. Znajdował się dwadzieścia stóp przede mną, opatulony w dwa T-shirty, sweter, sportową bluzę i czarną skórzaną kurtkę. Jego nogi wyglądały jak grube słupy w kalesonach, dresach i dżinsach, jakie dałem mu z walizki Waltera.

- Co się stało? - zapytał.

- Tylko muszę odsapnąć.

Po chwili uniosłem nad głowę walizkę wypełnioną zakupami i ruszyliśmy dalej. Wkrótce straciłem czucie w nogach i stopach, zmagając się więc tylko z pieczeniem oczu. Jedyne ulgę przynosiło ich zamknięcie, ale nie mogłem ich zamykać na chwilę

dostatecznie długą, by złagodzić ból, skoro Orson szedł przede mną bez kajdanek.

269-

#

Chata znajdowała się od nas o trzy długości boiska piłkarskiego, gdy moje nogi osiągnęły szczyt odrętwienia. Nie przestawałem myśleć o medycznej definicji ślepoty śnieżnej, jaką znalazłem w trakcie zbierania materiałów do Ależ to zbrodnia - oparzenie słoneczne bezpośrednio na rogówce. Sama myśl o tym wyciskała mi łzy z oczu, uparcie więc skupiałem się na wizji zamknięcia Orsona w zapasowej sypialni i zapadnięcia w sen pod jego puszystym kocem w kojącej ciemności chaty.

Orson obejrzał się na mnie, a ja nie mogłem uwierzyć, że nie zauważyłem tego wcześniej. On miał na nosie moje okulary słoneczne. „Ściągnąłeś je z deski rozdzielczej, kiedy ubieraliśmy się na tę wędrowkę po śniegu?” Już miałem wrzasnąć na niego, żeby się zatrzymał, ale pomyślałem: „Pieprzyć to, już prawie jesteśmy na miejscu”.

Nawet kiedy mrużyłem powieki, nie byłem w stanie dostatecznie osłonić oczu przed blaskiem, zamknąłem je więc całkiem i było to cudowne uczucie. „Zamknę je tylko na moment”, pomyślałem, brnąc teraz przez śnieg niezdarnie i na ślepo.

Po sześciu gargantuicznych krokach otworzyłem oczy, żeby sprawdzić, co robi Orson.

Nie było go widać.

Upuściwszy walizkę, wyjąłem glocka zza paska i rozejrzałem się na wszystkie strony - zobaczyłem jednak wyłącznie niekończące się połacie gładkiego śniegu, tu i ówdzie wybrzuszone w łagodne kopczyki.

- Orson! - wrzasnąłem. Mój głos załamał się i poniósł echem po oślepiająco białym pustkowiu. - Orson!

Żadnego dźwięku, nawet wiatru. Gdy usiłowałem iść przez śnieg po jego śladach, oczy napęliły mi się łzami, a zawarta w nich sól wzmogła pieczenie.

270-

Nagle wyczułem, że ktoś za mną biegnie. Okręciłem się i wycelowałem broń w kierunku samochodu. Śnieg lśnił, nieskazitelny i bez oznak życia. Strach ścisnął mnie w dołku. Biały lexus, na wpół zakopany i zakamuflowany w śniegu, istniał teraz wyłącznie jako srebrzysty poblask w oddali. Promienie słońca odbijały się od jego przedniej szyby jak od kawałka miki.

„On tam jest”, pomyślałem, odwracając się w stronę chaty.

„Leży w śniegu i wystarczy tylko, że pójde po jego śladach”. Dostrzegłem, gdzie się kończyły - niecałe pięćdziesiąt stóp przede mną.

- Wstawaj! - krzyknąłem. - Nie zastrzelę cię, Orson! No dalej! Nierób tego!

Nic się nie poruszyło. Chwyciłem walizkę i zrobiłem trzy kroki, kiedy coś przyszło mi do głowy. Ukląkłem w śniegu i wydrążyłem jamę dostatecznie obszerną, żeby usiąść. Rękami

w skórzanych rękawicach spróbowałem drażyć tunel w trzydziestosześcioletniej ścianie śniegu i - ku mojemu przerażeniu - udało mi się. Podczas burzy wiatr ubił wierzchnią warstwę śniegu, teraz więc mogłem wykopać przejście - którego wymiary ledwie przekraczały stopę wysokości i dwie stopy szerokości - nie naruszając powierzchni nade mną. Innymi słowy, człowiek mógł niepostrzeżenie przemieszczać się tunelem pod śniegiem.

Wstałem, jeszcze bardziej zmarznięty z powodu przemoknięcia górnej części ciała. Odciski stóp przede mną nic nie znaczyły. Nawet gdy już dotarłem do końca śladów Orsona i zobaczyłem walizkę, którą porzucił, wiedziałem, że może znajdować się gdziekolwiek w pobliżu, w ukryciu, czając się ledwie dwie stopy pod powierzchnią.

Ponownie upuszczając walizkę, skoczyłem w śnieg, powolnym truchtem zataczając coraz większe koła i wołając do brata, żeby się pokazał. Biegałem, aż zakręciło mi się w głowie,

271-
i w końcu osunąłem się na nasze walizki, z powrotem w miejscu, gdzie kończyły się ślady Orsona.

Porażony ślepotą, obawiałem się, że odrętwienie nóg maskowało niewyobrażalny ból, który wkrótce objawi się pod wpływem ciepła. Glock w mojej dłoni był bezużyteczny, na chwilę więc godząc się z tym, że Orson zyskał przewagę, podniosłem się i ruszyłem po dziewiczym puchu w kierunku chaty.

Rozdział 34

Sięgnąłem do bocznej kieszeni zamrożonych turystycznych spodni i wyjąłem klucz, który wedle zapewnień Orsona miał otwierać frontowe drzwi. Wbiłem go w zamrożony otwór w zamku i przekręciłem. Drzwi się otworzyły. Włokąc za sobą walizki, wkroczyłem do chaty.

Mogłem się założyć, że nikogo tu nie było od miesiący. W powietrzu unosiła się nieprzyjemna woń, jakbym wlał na strych albo do kanału. Z powodu mojego nadwyreżonego wzroku wnętrze wydawało się ciemne. Chwiejnym krokiem przeszedłem po kamiennej podłodze, żeby wyrzeć przez okno wychodzące na południe, w kierunku, z którego przyszliśmy. Chociaż było późne popołudnie, słońce wciąż paliło, chowając się za urwiskiem. Nic się nie poruszało na oślepiającej bieli, a ja poczułem się lepiej, mając świadomość, że teraz to on musi się zbliżyć do chaty, bez wątplenia więc go zauważę.

Przestałem zajmować się bratem, a skupiłem na fatalnym stanie własnych nóg. Nie czułem niczego od kolan w dół. Wyobraziłem sobie, że takie doznanie mógłby przeżywać człowiek po amputacji, kiedy po raz pierwszy chodzi na protezach. „Potrzebne mi ciepło”, pomyślałem, kuśtykając w stronę kuchni.

Moja ślepotą śnieżna sprawiła, że wszystko widziałem na czerwono. Nic się tu nie zmieniło. Bogata biblioteczka Orsona nadal zasłaniała ściany, a w północnym krańcu saloniku przy

273-

ścianie znajdowała się idealnie uporządkowana kuchnia, tyle że bez działającego zlewu. Drzwi do sypialni na tyłach chaty były zamknięte; kiedy ujrzałem te drzwi, a między nimi mały obraz Moneta, ścisnęły mi się wnętrzności.

Dostrzegłem adapter Orsona na taborecie przy frontowym wejściu, a także stos płyt z muzyką jazzową, które zostawił. Włączyłbym jakąś muzykę, ale nie działało zasilanie i wtedy do mnie dotarło, że powinienem znaleźć zapasy paliwa oraz uruchomić generator, nim zapadnie noc.

Obok piecyka natknąłem się na to, czego szukałem - biały piecyk naftowy. Nie mogłem znaleźć puszek z naftą, lecz gdy go podniosłem, usłyszałem chlupot sporej ilości paliwa w zbiorniku. Po przywleczeniu go do salonu i ustawieniu przed czarną skórzaną kanapą nacisnąłem włącznik i, ku memu zaskoczeniu, grzejnik zaskoczył od razu. Fala ciepła zalała chatę bliską zamrznięcia, a gdy rozgrzewający podmuch otulił mi twarz, zacząłem zdejmować z siebie swetry i bluzy, które utrzymywały mnie przy życiu w trakcie wędrówki od samochodu do chaty.

Zostawiając stertę ubrań porzuconą na podłodze, opadłem na kanapę, rozwiązałem sznurówki i zsunąłem oblepione lodem buty. Ściągnąłem sztywne skarpety, spodnie, dresy, a na koniec długie kalesony, które przywarły mi do nóg. Poniżej kolan moja skóra zrobiła się woskowo biała. Dotknąłem poblądłych łydek i chociaż w dotyku zdawały się zimne i twarde jak u trupa, tkanka pod skórą wciąż zachowała sprężystość. Stopy wyglądały znacznie gorzej. Czubki palców przybrały sine zabarwienie, a kiedy szczypałem podeszwy stóp, nie czułem bólu ani nacisku.

Wyjrzałem przez okno, a gdy na pustyni wciąż nie było niczego widać, przeszedłem do kuchni. Na kuchennym blacie stała wielka metalowa miska, której wnętrze bielilo się od pozostałości razowej mąki. Wyniosłem ją na ganek i napełniłem śniegiem. Na górze piecyka naftowego znajdował się płaski metalowy dysk, umieszczony bezpośrednio nad jarzącymi się na pomarańczowo

274-
zwojami. Postawiłem na nim miskę pełną śniegu i z powrotem położyłem się na kanapie, żeby poczekać, aż się stopi.

Gdy sterta śniegu zniknęła, nie mogłem się otrząsnąć z upiornego wrażenia, jakie wzbudzało we mnie przebywanie w tej chacie. Poczuję się tak, jakbym przyszedł na własny pogrzeb i stał nad trumną, spoglądając na własną pozbawioną życia twarz, nienaturalną pod fałszywie ciepłą barwą skóry. Żadnego dźwięku, żadnego wiatru, żadnego poruszenia w pokojach. Ręce mi się trzęsły.

„Nie powinno mnie tu być. Jest bardzo źle”.

Śnieg stopił się już wcześniej, a na powierzchni wody wreszcie pojawiła się para. Wyciągnąłem rękę i zanurzyłem palec w misce. Woda była ciepła, wykorzystałem więc skarpety, żeby podnieść gorącą miskę i ustawić ją na podłodze. Następnie włożyłem do niej sine stopy, nie będąc w stanie poczuć temperatury wody ani nawet wilgoci. Leżąc na kanapie, zamknąłem oczy,

podczas gdy moje nogi powracały do życia. Ich wskrzeszenie zapowiedziało klucie od kostek po kolana.

Po pięciu minutach nadal nie czułem palców. Nachyliłem się, zanurzyłem rękę w wodzie i odkryłem, że stopy ochłodziły ją skuteczniej niż dwie bryły lodu. Z powrotem postawiłem miskę na piecyku, podgrzałem wodę i po raz kolejny zanurzyłem w niej nogi.

Potrzeba było jeszcze dwóch rund studzenia i podgrzewania wody ze stopionego śniegu, zanim poczułem, że coś się budzi w kościach moich palców u stóp - początek sięgającego głęboko odmroźniowego pieczenia. Próbowałem się uspokoić, przywołując w myślach obrazy swojego domu nad jeziorem wiosną oraz wyobrażając sobie samego siebie siedzącego na werandzie pod sosnami, w otoczeniu zieleniejącego lasu i wiatru znad jeziora.

Letnia woda piekła jak kwas. Stękałem, pot zalewał mi podrażnione oczy, stopy paliły, jakbym trzymał je nad otwartym

275-

plomieniem. Cierpienie zredukowało mnie do istoty, która potrafi tylko skamleć z bólu, i chociaż pokusa wyciągnięcia stóp z wody była nęcąca, wiedziałem, że to nie powstrzymałoby pieczenia.

Teraz płaciłem za przebywanie na mrozie, za maszerowanie przez cztery godziny w śniegu w przemakających butach. Mogłem jedynie siedzieć na kanapie i znosić najbardziej wściekły ból, jakiego kiedykolwiek zaznałem.

Do osiemnastej ból stał się znośny, chociaż nadal widziałem świat na czerwono. Nie było sensu wypatrywać Orsona przez okno. Słońce już zaszło i pustynia stała się czarniejsza niż przestrzeń między gwiazdami.

Wyjąłem stopy z wystygłej wody, wstałem niepewnie, ale z ulgą, że do moich kostek powróciło czucie. Czubki palców czerniały, lecz nie mogłem nic więcej na to poradzić. W najgorszym razie ocaliłem przynajmniej stopy. Komu, u diabła, potrzebne są najmniejsze palce?

Przetrząsając szuflady w kuchni, znalazłem świeczkę i zapaliki. Przy płomyku - rzucającym łagodne żółte światło na ściany z bali - po raz trzeci sprawdziłem zamek i zabezpieczyłem cztery okna w salonie. Później, kurczowo ściskając w dłoni zaśniedziały mosiężny świecznik, przeszedłem wąskim korytarzem w głąb chaty.

Klucz do frontowych drzwi otwierał także pokój, który wcześniej był moim więzieniem. Wyglądał tak samo jak wtedy, gdy go opuszczałem - skromny i przytłaczający. Chociaż okno w dalszym ciągu było zakratowane, sięgnąłem do niego i sprawdziłem klamkę. Następnie otworzyłem szuflady komody, teraz puste, oraz zajrzałem pod łóżko. Nic szczególnego nie kryło się w tym pokoju - to tylko cela, nic więcej.

276-

Wróciłem na korytarz i zatrzymałem się przed drzwiami po-

koju Orsona. Dotknąwszy gałki, zawahałem się. „Jesteś tu sam. Do diabła ze strachem”. Wszedłem do środka.

Zamrażarka stała pod oknem. Nie było na niej kłódki. Otworzyłem ją. Pusto. Zamknąłem okno na zasuwę. Teraz musiałby wybić szybę, żeby się dostać do środka.

Odstawiłem świecznik na sosnową komodę Orsona i zacząłem otwierać szuflady. Górne trzy były puste, ale kiedy spróbowałem szczęścia z ostatnią, ta nie chciała się otworzyć. Pociągnąłem ją raz jeszcze, nadal bez skutku, więc w nią kopnąłem. Drewno stęknęło, a szarpiąc za uchwyt po raz kolejny, wyciągnąłem całą szufladę z komody na podłogę.

„Dzięki Ci, Boże”.

Naliczyłem pięć kaset wideo, stosik szarych teczek, pudełko mikrokaset oraz trzy notatniki. Przeniosłem świecę na podłogę, przytrzymałem nad szufladą i wyjąłem taśmę wideo. Przeczytałem opis na naklejce, napisany jego prostym, drobnym odręcznym pismem: „Jessica Horowitz: 29.05.92; Jim Yountz: 20.06.92; Trevor Kistling: 25.06.92; Mandy Sommers: 06.07.92” - wszystko to na jednej etykiecie, a było jeszcze pięć taśm, nie licząc trzech, które zniszczyłem w Woodside. Zauważyłem, że wszystkie bez wyjątku zostały nagrane w maju, czerwcu, lipcu i sierpniu -jego sezonie łowieckim.

Mikrokasety były opisane tylko datami, a ja zakładałem, że zawierają taki sam egocentryczny belkot, jaki słyszałem, gdy Orson mówił do dyktafonu w swoim łóżku w Vermont. Wyjąwszy z szuflady zielony kołonotatnik, położyłem się na brzuchu i przerzucałem strony przy świetle świecy. Ten notes był pełen wierszy na każdej stronie, wliczając okładkę. Przeczytałem na głos krótki utwór bez tytułu, żeby poznać rytm jego poezji; poprzez mój głos odezwał się jego dźwięczny, proteuszowy ton:

277-

Jesteś zawsze ze mną
Kiedy leżę w łóżku w ciemności
Kiedy idę zatłoczoną ulicą
Kiedy patrzę na nocne niebo
Kiedy sram
Kiedy się śmieję
Kiedy biorę ich w posiadanie, tak jak ty mnie
Jesteś wszechpotężny, ale nie jesteś moim bogiem
Wychowałeś mnie, ale mnie nie stworzyłeś
Jesteś benzyną, ale nie ogniem
Ja jestem głębszy
Ja jestem nieobliczalny
Ja jestem

Dwa pozostałe notesy zawierały krótkie opowiadania, zapisy pomysłów oraz fragmentaryczne myśli kogoś, kto aspiruje do tego, by pisać. Z Orsona byłby jednak kiepski pisarz. Potrafił ukuć zręczną frazę, lecz w jego poezji i prozie dominowała ogólna niezdatność i niejednoznaczność, która skazałaby go na porażkę, gdyby kiedykolwiek próbował coś publikować.

Miałem chęć mu to powiedzieć, jak również to, że jego poezja była banalna. Chciałem, żeby zobaczył mnie, jak palę notatniki i taśmy.

Były tam też trzy szare teczki. Pierwszą, opatrzoną tytułem W mediach, zawierały wycinki z gazet dotyczące znalezienia lub nieznaźnienia ofiar Orsona. Druga teczka - Wspomnienia - pękała w szwach od fotografii, a ja przestudiowałem je wszystkie. Ujrzałem samego siebie na pół tuzinie z nich, ale nie rozkleiłem się za ich sprawą, tak jak się tego obawiałem; nawet z powodu tej, która ukazywała mnie patrzącego na Jeffa w sekundę po jego egzekucji.

Garść fotografii przedstawiała Luthera robiącego ludziom makabryczne rzeczy. Na jednym ze zdjęć wpatrywał się zadziornie 278-

w obiektyw martwymi, bezdusznymi oczami, a na obu jego policzkach widniały ślady po paznokciach.

W trzeciej teczce - Relacje - na luźnych kartkach gładkiego papieru Orson prowadził kronikę sześciu letnich sezonów zabijania. Przeskakując na koniec, przejrzałem podsumowanie naszego wspólnie spędzonego okresu, aż wreszcie dotarłem do ostatniego akapitu:

Wyoming, 2 czerwca 1996

Nie okazał się tak łatwy ani tak efektywny jak Luther, ale dostrzegam w nim potencjał, którym przewyższa mojego drugiego ucznia. Wypuszczam go więc. Kolejny tydzień tutaj, a postradałby rozum, podczas gdy ja chcę, żeby jego wściekłość wzbierała tak, by upił się tą nienawiścią. Jest moim bratem. Jest mną na tak wiele sposobów. Kocham go i najmniej, co mogę zrobić, to zapoznać go z nim samym. Chociaż spodziewam się, że sprowadzę go tutaj ponownie, pozwolę sobie na przewidywanie: nie będę musiał. On po mnie przyjdzie, a ja nie będę mógł nic zrobić, żeby temu zapobiec. Andy jest bystry i wyjątkowo okrutny, kiedy musi. Jeżeli po mnie przyjdzie, dam mu podarunek, ponieważ będzie na to gotowy. To zabawne - ta bezinteresowność, jaką we mnie wzbudza.

Rozdział 35

Księżyc wyrztał znad gór, oświetlając powierzchnię śniegu przypominającą pole niebieskich diamentów. Odgrzałem na piecyku puszkę wieprzowiny z fasolą, a gdy chata wypełniała się ich słodkawym, wędzonym aromatem, wypatrywałem na pustyni Orsona.

Opuściliśmy samochód w południe, a była już prawie dwudziesta trzydzieści. Nie mógłby utrzymać się przy życiu na pustyni przez tak długi czas. Temperatura przez cały dzień nie przekraczała minus dwunastu stopni Celsjusza, a maszerowanie w śniegu w nieodpowiednim ubraniu do tej pory zakończyłoby się dla niego zamrożeniem na śmierć. Tak więc albo leżał gdzieś tam martwy, albo znalazł schronienie, jedynymi zaś miejscami zdatnymi do tego, by się w nich schronić, były lexus, szopa lub ta chata. Wiedziałem, że nie ma go w chacie. Spraw-

dziłem cztery szafy, zjrzałem pod oba łóżka i zyskałem całkowitą pewność, że jestem tu jedynym lokatorem. Szopa lśniła w świetle księżyca. Widziałem ją przez okno znajdujące się przy frontowych drzwiach. Gdybym zebrał dosyć odwagi, mógłbym wyjść na zewnątrz i poszukać śladów prowadzących do szopy. Ale nie miałem śmiałości ponownie wychodzić na mróz, żeby go szukać, zwłaszcza odkąd moje nogi zaczęły się pokrywać pęcherzami. „Gdzie ty się podziewasz?“, myślałem. „I co zamierzasz?“

280-

Kiedy skończyłem kolację, usiadłem na podłodze obok piecyka i wyciągnąłem spod kanapy pudełko po butach. Znalazłem je wcześniej pod niedziałającym zlewem w kuchni. Zawierało wszelakiego rodzaju dobra, w tym prawa jazdy z Indiany, Oregonu, Kalifornii i Luizjany. Mój brat występował jako Orson Thomas i David Parker, ale także Roger Garrison, Brad Harping, Patrick Mulligan oraz Vincent Carmichael. Posiadał paszporty na każde z tych nazwisk prócz Rogera Garrisona, a przeglądając je, zauważyłem, że sporo podróżował po Europie i Ameryce Południowej.

Jednak znaleziściem, które uradowało mnie najbardziej, był spięty gumką zwitek banknotów studolarowych. Naliczyłem 52 800 dolarów - całkiem sporo, żeby zniknąć.

Zamknąwszy pudełko, wrzuciłem je do szuflady z taśmami wideo i teczkami, które wcześniej przyniosłem sobie do salonu. Po przeczesaniu chaty wszelkie obciążające dowody miałem zamknięte w tej jednej szufladzie, a to, że znalazły się w moim posiadaniu, przyniosło mi wielką ulgę. Wstałem i podszedłem do okna przy drzwiach. Urwiska wzbijały się w niebo nad pustynią o jakąś milę za szopą, niczym olbrzymie wydmy białego piasku. „Orson“, pomyślałem. „Teraz już zostałeś tylko ty. Ostatnie, co pozostało do zniszczenia“.

Gdyby po mnie przyszedł, nastąpiłoby to w nocy, ale wyczerpanie wyniszczyło mi umysł i ciało. „Prześpię się do północy“, pomyślałem. „Tak czy owak, w tej chwili jestem do niczego“. Z tego, co wiedziałem, równie dobrze mógł się nigdy nie pojawić. Mógł teraz leżeć gdzieś na zewnątrz, niczym posąg pod śniegiem.

Wyłączyłem piecyk i przenieśliem się do sypialni. Owinięty puszystym kocem położyłem się na łóżku z pistoletem obok poduszki oraz kajdankami w kieszeni. Przy braku odgłosów wiatru i brzęczenia generatora mój oddech i bicie serca były źródłem jedynego słyszalnego dźwięku.

281-

#

„Przyśniła mi się scena z dzieciństwa: Orson i ja mamy po dziesięć lat. Właśnie zakończyło się nabożeństwo w kościele baptystów przy Third Creek, kaplicy w wiejskiej okolicy na północ od Winston-Salem, gdzie chadza babcia. Ponieważ to ostatnia niedziela miesiąca, wierni wylewają się głównym wej-

ściem na zewnątrz na piknik. W pobliżu małego budynku z cegły - typowego przykładu przyjaznej prostoty kościołów baptystów - pół tuzina stołów piknikowych ugina się pod wyborem wiejskiego jadła w formie szwedzkiego stołu. Prawie od rana trzy grille grzeją się na okrągło i zapach hot-dogów, hamburgerów i całych pieczonych prosiaków rozlewa się wokół w to sierpniowe popołudnie.

Kiedy kończymy jeść, Orson i ja siadamy pod orzechem i obserwujemy, jak oddział mrówek ucztuje na porzuconej łupinie arbuza. Dzień jest pogodny i ciepły, a nas zalewa pot w naszych identycznych błękitnych garniturkach z żółtymi muchami.

Widzimy ją, jak idzie w naszą stronę, z gracją krocząc między najedzonymi rodzinami wylegającymi się na kocach rozłożonych na trawie. Jest nowa w tej kongregacji; jej sięgająca kolan sukienka bez rękawów ma taką samą przedwcześnie pożółkłą barwę jak spieczone słońcem liście topoli. Zwalnia i staje tuż obok łupiny arbuza. Patrzę, jak mrówka wspina się po niepolakierowanym paznokciu jej wielkiego palca u nogi.

Kiedy się odzywa, wydaje zupełnie przedziwny odgłos, coś przypominającego ostrze noża sunące po ostrzałce:

- Szszk. Czyż to nie dwaj najbardziej uroczy malcy, jakich kiedykolwiek widziałam!

Orson i ja spoglądamy w górę na jej mocno upudrowaną twarz. Jej kręcone platynowe włosy są sztywne, a pachnie jak mieszanina tanich perfum.

282-

- Słoneczka! - wykrzykuje, uśmiechając się szeroko, a my widzimy jej sztuczne zęby, do których przylepił się kawałek brokuła. I oto pada to pytanie, które wszyscy czują się w obowiązku zadawać, chociaż Orson i ja wyglądamy jak swoje lustrzane odbicia. - Wy dwaj jesteście bliźniakami?

Boże, jak my tego nienawidzimy. Otwieram usta, żeby wyjaśnić, że jesteśmy tylko bliźniętami dwujajowymi, ale Orson powstrzymuje mnie spojrzeniem. Zagląda jej prosto w oczy i mówi drżącymi wargami:

- Teraz jesteście dwaj.

- Co masz na myśli, młody człowieku?

- Nasz trzeci brat Timmy... On trzy dni temu spalił się w ognisku.

Pod warstwą pudru jej twarz blednie. Zakrywa sobie usta dłonią.

- Szszk. Och, tak mi przykro. Nie chciałam... - Przykuca, a ja muszę się uszczypnąć w łydkę, żeby się nie roześmiać. - Cóż, przebywa teraz z Jezusem - mówi łagodnie - więc...

- Nie, on nie został zbawiony - opowiada Orson. - Miał zamiar o to zadbać w tę niedzielę. Myśli pani, że przebywa w piekle z szatanem? No bo jeśli się nie jest zbawionym, to tam się idzie, prawda? Tak powiedział pastor Rob.

Wstaje i prostuje się.

- O tym lepiej porozmawiajcie ze swoimi rodzicami. Szszk.

- Jej udawana trzpiotowatość ulatuje w jednej chwili. Ucieka

spojrzeniem na pobliskie drzewa. Swoim makijażem przypomina mi smutnego klauna. - Szszk. Cóż, okropnie mi przykro - mówi, a my patrzemy za nią, gdy wraca do tłumu. Potem biegniemy za drzewo i śmiejemy się, aż łzy lśnią na naszych policzkach".

#

Obudziłem się i odkryłem, że siedzę w łóżku Orsona, przyciskając sobie glocka do skroni. Nic już nie mogło mnie zdziwić. 283-

Wysunąwszy się spod wełnianego koca, przeszedłem do saloniku, wciąż nie rozstając się z bronią. Bez ciepła, jakie dawał piecyk naftowy, chata znowu się wychłodziła, pochylilem się więc, żeby wcisnąć elektryczny włącznik. Raptem coś zmroziło mi krew w żyłach: przypomniałem sobie sen i dziwaczny tik nerwowy kobiety, jej szszk, szszk, szszk. Zamiast włączyć piecyk, tak jak zamierzałem, otworzyłem zamek frontowych drzwi i uchylilem je odrobinę. Mroźne nocne powietrze wtargnęło do środka.

Od chwili przybycia do chaty późnym popołudniem nie odważyłem się ponownie zapaść na zewnątrz, a moje ślady biegły na południe, w kierunku samochodu. Fala adrenaliny zjeżyła mi wszystkie włosy na karku - drugi ciąg śladów stóp, nie pochodzących ode mnie, biegł prosto z szopy do chaty, po schodach i do frontowych drzwi, gdzie teraz stałem. „On jest w chacie”. Zamknąwszy drzwi, odwróciłem się i odbezpieczyłem broń, żałując, że nie zostawiłem w każdym pomieszczeniu zapalanej świeczki. Ruszyłem przed siebie w czerwony mrok, spod przymrużonych powiek rozglądając się po kątach w kuchni i saloniku, usiłując wychwycić najdrobniejszy dźwięk - głośniejszy oddech albo bicie serca łomoczącego tak jak moje.

„Czy patrzysz na mnie w tej chwili?”, myślałem, ostrożnie wycofując się na korytarz. Drzwi do drugiej sypialni były uchylone, a ja nie potrafiłem sobie przypomnieć, czy je zamykałem. Podszedłem do nich, otworzyłem je kopnięciem i wpadłem do środka, obracając się w ciemności z palcem na spuście, czekając, aż on na mnie wyskoczy. Jednak pokój był pusty, taki, jakim go zostawiłem.

Znów wróciłem na korytarz. „Twój pokój. Obserwowałeś mnie, gdy spałem”. Przełamując strach, przekroczyłem próg. Jedynie miejsce w pokoju, którego nie mogłem stąd zobaczyć, znajdowało się po drugiej stronie komody. Z glockiem gotowym do 284-

strzału rzuciłem się naprzód i zacząłem naciskać spust, gdy tylko ślepy punkt między komodą a zamrażarką znalazł się w polu mojego widzenia. Jego tam nie było. Cztery szafy pozostały ostatnim miejscem, jakie musiałem przeszukać, ale trudno mi było sobie wyobrazić, żeby wcisnął się do którejś z nich. Było w nich pełno zapasów - jedna służyła za spizarkę, w drugiej mieściła się benzyna, woda w butelkach oraz spory zwój sznura. Poza tym usłyszałbym go, gdyby tłukł się tam po ciemku.

Wyszedłem z jego sypialni. Zostały jeszcze dwie szafy po dwóch stronach długiego na dwanaście stóp korytarza łączącego sypialnie z salonem. „Czekasz, żebym znowu przeszedł obok, byś mógł nagle otworzyć drzwi i walnąć mnie w twarz”. Pędem przemknąłem z powrotem do salonu.

Stojąc przy wystygłym piecyku, zacząłem układać plan, jak go wykurzyć, kiedy kropla wody pacnęła o czubek mojej ogolonej głowy. Stopiony śnieg. Drewno nade mną skrzypnęło. Podniosłem wzrok na krokwie. Cień opadł z belki na dół, a coś tępego i twardego grzmotnęło mnie w tył głowy.

#

Ocknąłem się na podłodze; glock zniknął. Z trudem podniosłem się na nogi. Czerwona ciemność wirowała, rozcinana przebłyskami światła. „Czy to mi się śni?”

Czubek noża przesunął się między moim prawym ramieniem a tułowiem, aż dotknął splotu słonecznego. Dostrzegłem rękę z kości słoniowej, a gdy poczułem jego oddech tuż za moim uchem, mocz spłynął mi po nodze i utworzył kałużę przy bosisych stopach. Kiedy spróbowałem się odsunąć, poczułem nacisk ostrza na gardle.

- Ten nóż przetnie ci tchawicę, jakby to była galaretka.

- Nie zabijaj mnie.

285-

- Co tak podzwania? - Siegając ręką w dół, namacał kieszenie moich dresów. - Och, ślicznie. - Wyjął kajdanki, ciągle z kluczykiem w zamku, i założył mi je na lewy nadgarstek. - Podaj drugą.

Przesunąłem rękę za plecy, a on skuł ją także.

- A teraz idź przodem - szepnął, wciąż trzymając ostrze na moim gardle. - W szopie czeka na ciebie niespodzianka.

Rozdział 36

Chociaż szedłem boso, nie czułem lodu między palcami stóp. Wyobrażałem sobie, że skrawek księżyca oblewa nasze twarze niebieską i złowrogą poświatą. Noc była tak surrealistyczna, że pomyślałem: „Mnie tu nie ma. Wcale nie idę z nim do tej szopy”. Orson trzymał się blisko mnie, postępując przy każdym oddechu, jak gdyby musiał zmagać się sam ze sobą, żeby zachować przytomność. „Skutki narkotyków albo odmrożenie, a może jedno i drugie”. Dotarłem do tylnego wejścia do szopy, zatrzymałem się i odwróciłem. Orson szedł w moją stronę, powłócząc nogami i niepewnie celując glockiem w moją głowę. W świetle księżyca zobaczyłem jego twarz - koniuszki jego uszu szerniały, a policzki, wargi i czoło były trupioblade od zimna.

- Przelknąłeś swoją maślanekę - powiedział, uśmiechając się.

- Wchodź. Jest otwarte.

Pchnąłem drzwi ramieniem i otworzyłem je. Groza odebrała mi siły, gdy ujrzałem, co zrobił. Wnętrze szopy było wypełnione świecami - paliły się całe tuziny poustawiane na podłodze i półkach. Niezliczone cienie wywijają dzikie harce na betonowej posadzce, na ścianach, na stropie. Zobaczyłem drążek, skórzaną

obrożę, płachtę plastikowej folii rozpostartą na podłodze, by zebrać moją krew.

- To wszystko dla ciebie - wyszeptał. - Śmierć wśród świec.

- Orson, proszę...

287-

Czubek noża ukłuł mnie w plecy, nakłaniając do wejścia. Idąc po betonowej posadzce, wpatrywałem się w otwór w rogu ściany, domyślając się, że to tamteży dostał się do środka, po ciemku wypełzając spod śniegu. Brakująca sosnowa deska leżała na podłodze.

- Na folię - rozkazał. Kiedy się zawałem, zrobił trzy kroki w moją stronę i wycelował glocka w lewe kolano. Natychmiast znalazłem się na płachcie i ukląknęłam. - Połóż się na brzuchu

- powiedział, a ja położyłam się twarzą do ziemi, jak mi polecił. Dotarł do mnie zapach skórzanej obroży, gdy przekładał mi ją przez głowę i zapinał na szyi - woń potu, krwi, łez i śliny

nieszczęsnych obcych ludzi. Odczułem strasliwą, intymną więź z tymi potępionymi duszami, które przede mną nosiły tę cuchnącą obrożę. Byliśmy teraz rodziną - upiornymi dziećmi Orsona. Tatuś przyciągnął sobie taboret z kąta i przysiadł na nim, tuż poza moim zasięgiem.

Wetknąwszy glocka za pasek dzinsów Waltera, wyjął ostrzałkę z kieszeni i zaczął przesuwając po niej ostrzem: szszk, szszk, szszk. Przypatrując się, jak pracuje w słabym, żółtawym świetle na folii otoczonej świecami, czułem, że coraz bardziej dokuczają mi kajdanki wgrzyzające się w nadgarstki.

Należały do mnie. Były w moim posiadaniu od przyjęcia Halloween w 1987 roku, kiedy jakiś przyjaciel sprezentował je jako podarek dla mnie i kobiety, z którą się spotykałem, Sophie. Z początku byliśmy zakłopotani, ale tamtej nocy przykułem ją do słupka przy moim łóżku. Krępowiałem potem tymi kajdankami inne kobiety i pozwalałem im przykuwać mnie. Skułem Orsona. Teraz on skuł mnie. Cholernie wytrzymały metal.

Usiadłem, zwrócony twarzą do niego. Zdesperowany, próbowałem dyskretnie rozerwać kajdanki, a kiedy ręce mi zdrętwiały, starałem się jeszcze mocniej. Zabójca-podpalacz nazwiskiem Sizzle w Spiekocie rozrywa łańcuch spinający obręcz kajdanek, 288-

siedząc z tyłu w policyjnym aucie, po czym morduje aresztującego go funkcjonariusza. Wciąż napinając ręce, przypomniałem sobie tamto zgrabne zdanie: „Łańcuch pękł, pękł kark O'Malleya, a Sizzle usiadł za kierownicą wypchnął policjanta na ulicę”. „To takie proste. No to pękajcie!”

- Marnujesz cenne siły - Orson odezwał się bezceremonialnie, przyglądając się ostrzu. - Mnie się nie udało ich rozerwać, kiedy trzymałeś płomyk przy moim oku. - Powrócił do wygładzania ostrza, lecz spojrzenie utkwił teraz we mnie. - Człowiek ci robi przysługę, a ty tak mu odpłacasz. To zdrada.

Zaschło mi w ustach; zabrakło śliny.

- Nie wiem, jak definiujesz przysługę...
- To wszystko było dla ciebie - odparł. - Waszyngton. Mama. Mogliśmy być niesamowici, bracie. Mogłem cię wyzwolić. Jak Luthera. Bo widzisz, jemu też podsunąłem lustro. Ukazałem mu jego demona. On nie plunął mi w twarz. - Orson zaczął szczypać sobie policzki i zdrapywać nożem skórę z twarzy, jakby robiony brakiem czucia w łuszczącym się naskórku. Krwawił w kilku miejscach. - Zjawileś się w moim domu - ciągnął dalej - kiedy spałem we własnym łóżku. Torturowałeś mnie. - Patrzył mi prosto w oczy. - Przerażasz mnie, Andy. To się nie powinno stać.

- Przysięgam...

- Wiem, nigdy więcej po mnie nie przyjedziesz. Andy, kiedy ktoś wie, że nieuchronnie czeka go śmierć, to powie wszystko. Kiedyś kroję faceta, a on mi mówi, że dziadek go molestował. Po prostu wyrzucił to z siebie między wrzaskami, jakby to mogło cokolwiek zmienić. - Zaśmiał się ponuro. - Chcesz do mnie mówić, kiedy będę cię otwierał? Nieee, założę się, że będziesz tylko krzyczał.

Orson wstał ze stołka. Największa świeca w szopie wyglądała jak czerwony woskowy walec o zapachu cynamonu i średnicy 289-

puszki zupy. Tkwiła na półce przy tylnym wyjściu. Orson umieścił nóż nad jej płomieniem i zza paska wyciągnął glocka.

- Wybierz kolano - powiedział.

- Po co?

- Okaleczenie. Tortura. Śmierć. W tej kolejności. Początek jest właśnie teraz. Wybierz kolano.

Ogarnął mnie niezwykle spokojny. „Nie zranisz mnie”. Podniosłem się z podłogi i odszukałem jego spojrzenie, przywołując tę niepodważalną miłość, która była naszym prawem.

- Orson. Pogadajmy...

Pocisk grzybkujący wbił się w moje lewe ramię. Na kolanach patrzyłem, jak krew cieknie po folii. Czulem zapach prochu. Czulem zapach krwi. Straciłem przytomność.

#

Wpatrywałem się w krokwie, leżąc płasko na wznak na plastikowej folii, z rękoma wciąż skutymi na plecach. Spróbowałem poruszyć stopami, ale były bezlitośnie skrepowane grubym, szorstkim sznurem. Sto osiemdziesiąt pięć funtów miażdżyło mi żebra, aż jęknąłem.

Siedząc na mnie okrakiem, Orson wyjął nóż z płomienia czerwonej świecy, która teraz kapiała woskiem na folię. Ostrze ze stali węglowej lśniło pomarańczowym blaskiem, a z metalu unosił się dym.

Miałem na sobie T-shirt, bluzę oraz wyświechtany ciemnoczerwony sweter. Zaczynając od pasa, ostrze z łatwością rozcinało warstwy przypalanej tkaniny na całej długości aż po kołnierz tuż przy moim gardle. Po rozcięciu ubrania Orson odsłonił nagi tors. Włoski na piersi falowały poruszane drobnymi przeciągami,

wzbudzonymi przez ciepło świec w tej lodowatej szopie. Zda-
wało mi się, że poprzez łomotanie serca dociera do mnie jakiś
290-

odgłos z pustyni, jakiś odległy jęk, niczym brzęczenie komara
za uchem.

- Proszę, proszę! Ależ ci wali serce - odezwał się, kładąc
dłoń na mojej dygoczącej piersi. Postukał palcem w mój mostek.

- Teraz mam zamiar zobaczyć, co jest w środku. Ciekaw?
Kiedy czubek noża dotknął mojego lewego sutka, zacisną-
łem zęby i napiąłem wszystkie mięśnie, jak gdyby to mogło
powstrzymać bezlitosne ostrze przed zagłębieniem się w ciało.

- Spokojnie - powiedział. - Chcę, żebyś się odprężył. Będzie
bardziej bolało. - Orson przesunął nóż o dwa cale na lewo od
sutka i wbił ostrze na ułamek cala. Metal był brutalnie zimny, a ja
drżałem, patrząc, jak Orson wycina nierówny okrąg o średnicy
czterech cali.

Krew pociekła mi do pępka. Orson przemawiał do mnie,
gdy mnie kaleczył; jego głos był przesycony psychotycznym
spokojem.

- Dwie trzecie serca znajduje się na lewo od mostka. Robię
więc sobie szkic do pracy. - Westchnął. - Wiesz co, nauczyłbym
cię tego. Na kimś innym. Spójrz na to. - Podsunął mi czubek
noża pod oko, żebym mógł zobaczyć własną krew pieniającą się
na bursztynowym ostrzu. - Wiem, że jeszcze niczego nie czujesz
- powiedział. - To działa adrenalina. Twoje receptory bólu są
zablokowane. - Uśmiechnął się. - Ale to już długo nie potrwa.
One mogą jedynie zamaskować taki ból.

- Orson - odezwał się błagalnym tonem; moje oczy napeł-
niały się łzami. - A co z podarunkiem?

Spojrzał na mnie zaskoczony. Po chwili, przypomniawszy so-
bie, odpowiedział:

- Ach, podarunek. Ty wścibski draniu. - Przysunął wargi do
mojego ucha. - Willard był podarunkiem.

Oparł lewą dłoń na moim czole, a w prawej ścisnął nóż.

- Czasem się zastanawiam, Andy, co by było, gdyby wybrał
ciebie?

291-

Ktoś zastukał do tylnych drzwi. Orson zeszywniał.

- Jest coś, co chcę, żebyś mi powiedział - wyszeptał, wstając.

- Przysięgam na Boga, że utrzymam cię przy życiu przez wiele
dni. - Odłożywszy nóż na stołek, podszedł do drzwi i wyciągnął
glocka.

Za drzwi dobiegł głos Percy'ego Maddinga:

- Dave, jesteś tam? Wszystko w porządku?

Wyteżyłem siły, żeby usiąść na folii.

Orson wystrzelił osiem kul w drewno na wysokości pasa.

Obejrzał się na mnie i uśmiechnął się.

- To, Andy, jest coś, co nazywasz...

Strzelba myśliwska huknęła, wybijając dziurę w drzwiach,
i cały ładunek loftek trafił w pierś Orsona. Strzał zwałił go z nóg

i przewrócił na plecy, jakby ktoś cisnął nim o ziemię. Orson, oszołomiony, próbował podnieść się na czworaki, wpatrzony we mnie, gdy krwawe kropki spadały z jego piersi na beton. Percy przedarł się przez drzwi i wykopał mu broń z ręki. Brat zaczął czołgać się w moją stronę, aż wreszcie opadł z powrotem na beton, wydając z siebie syczące i płytkie charkoty.

Oparłszy dubeltówkę o ścianę przy drzwiach, Percy podszedł do foliowej płachty i przykucnął obok mnie. Po jego płytkim oddechu mogłem się domyślić, że został trafiony. Dziwnym wzrokiem popatrzył na słup, smycz, plastikową folię oraz na krwawy okrąg na mojej piersi.

- Ma przy sobie klucz do tych kajdanek? - zapytał burkliwie, podkręcając siwego wąsa. Jego głos był mocny, ale ręce mu drżały.

Kiedy przytaknąłem, podszedł do Orsona i przetrząsnął mu kieszenie, aż znalazł kluczyk. Poleciał mi, żeby się przeturlała, a po uwolnieniu mnie z kajdanek wyjął nóż myśliwski z pochwy u pasa i przeciął sznur kępujący mi stopy.

- Jest pan ranny? - zapytałem.

292-

Przytknął rękę do boku. Puch wyłaził z dziury w jego kamizelce.

- To tylko draśnięcie - odparł, gdy rozpiąłem sobie obrozę.

- Widzę, że pan oberwał w ramię. To te grzybkujące, co nie?

- Tak, proszę pana.

- No to on tam ciągle siedzi. - Percy podszedł do Orsona i przycisnął dwa palce z boku jego szyi. - To pański brat? - spytał, czekając, czy wyczuje puls.

Skinąłem potakująco głową.

- Co on, do wszystkich diabłów, z panem wyprawiał?

Nie odpowiedziałem.

- Lepiej zabiorę nas obu do lekarza.

Podniosłem się, a ruszając w stronę tylnego wyjścia, powiedziałem:

- Muszę najpierw zabrać coś z chaty. Czy mógłby mi pan pomóc?

- Jasne.

Zostawiając martwe oczy Orsona otwarte, Percy zabrał strzelbę i wyszedł za mną przez roztrzaskane drzwi z powrotem na śnieg. Zawołał coś o moim przyjacielu, lecz moje sapanie zagłuszyło jego słowa, a ja nie zatrzymałem się, żeby zapytać, co powiedział. Moje ramię płonęło.

Śniegołaz czekał przed chatą. Kiedy dotarłem na ganek, obejrzałem się i zobaczyłem, że Percy powoli idzie o piętnaście stóp za mną, trzymając się za bok lewą ręką, a w prawej dzierżąc strzelbę.

Wchodząc do chaty, zamknąłem za sobą drzwi. Panował zupełny mrok, nie mogłem więc niczego zobaczyć. „Percy też nie zobaczy”. Wyjrzałem przez okno i patrzyłem, jak Percy przedziera się przez śnieg. Jego sylwetkę oświetlał pojedynczy

reflektor śniegołaza. Wycofawszy się w cień tak, by mnie nie dostrzegł, pomyślałem: „Po prostu dam mu po głowie, żeby stracił przytomność. Jest tu jedzenie, a on nie jest poważnie ranny. Ktoś

293-

po niego przyjedzie. Nie ma innego sposobu". Buty Percy'ego zadudniły na schodach.

Cofnąłem się odrobinę w stronę zawiasów, żeby znaleźć się za nim, kiedy wejdzie.

- Dave! - krzyknął, z werwą otwierając drzwi. - Co to mówiłeś o...

Amoniak.

Ciepły oddech osadzający się mgiełką na moim karku.

Odwrociłem się i stanąłem twarzą w twarz z Lutherem, uśmiechającym się w ciemności.

Epilog

Luther wita poranek z uśmiechem.

Wstaje z łóżka, wkłada dzinsy oraz dwa swetry i idzie do salonu, uśmiechając się na widok zamrożonej ciemnoczerwonej kałuży krwi Percy'ego na kamiennej posadzce.

W czasie, gdy parzy się kawa, on wychodzi na ganek. Wielkie płatki śniegu leniwie opadają z zachmurzonego nieba.

- Siemka, chłopcy.

Orson i Percy nie odpowiadają. Siedzą w bujanych fotelach po obu stronach drzwi, sztywni jak posągi, a ich otwarte, nieruchome oczy wpatrują się w pustkowie, w nicość. Są na niego zagniewani, ponieważ kazał im pozostać przez całą noc na zewnątrz, na mrozie.

Siada na stopniach i nasłuchuje, lecz jeszcze niczego nie słyszy. Jednak to dobrze. Dopiero za kwadrans jedenasta. On zaś jest cierpliwy. Za szopą brązowa smuga przemyka przez śnieg - kojot szukający pożywienia. Obudził go zeszłej nocy, wyjąc do księżyca.

Dociera do niego nieskończenie ciche brzęczenie. Wstając leniwie, przeciąga się i zabiera ze stolika na ganku strzelbę Percy'ego. Ustawivszy ją obok siebie, na powrót siada na stopniach, żeby zaczekać.

Śniegołaz pokonuje pustkowie - czarna kropka sunąca po śniegu.

295-

Żona Percy'ego zatrzymuje swojego SnowKata i parkuje obok pojazdu swego świętej pamięci męża. Ubrana w brunatny kombinezon i czarną parkę, zdejmuje kask i zsiada. Śnieg sięga jej powyżej pasa. Twarz ma rumianą i pomarszczoną jak u Percy, a długie, siwe włosy spływają jej na plecy. Uśmiecha się do Luthera i opiera się o SnowKata, żeby złapać oddech. Przez okulary słoneczne widzi dwa budynki.

- Witam - Luther odzywa się pogodnie. - Pam, nieprawdaż?

-Tak.

- Percy był tak uprzejmy, że przywiózł mnie tutaj zeszłego wieczoru. Bardzo się martwiłem, że burza złapała moich przyja-

ciół na pustkowiu.

- No cóż, chłopcy, doceniam to, że dotrzymanywaliście mu towarzystwa zeszłej nocy. Przywiozłam ci skrzynkę z narzędziami, Percy, może więc damy radę naprawić twojego Kata na tyle, żebyś dojechał do domu. Zawsze mu powtarzam, że skopię mu tyłek, jeżeli wyjedzie bez komórki. I co ty na to, Perce? - Pam zerka na męża siedzącego na lewo od Luthera.

- Zgłosiła pani komuś jego zaginięcie? - pyta Luther, pokonując kolejną falę zawrotów głowy.

Pam podchodzi bliżej, z zaciekawieniem przekrzywiając głowę, gdy spogląda na męża. Luther wyjmuje z kieszeni dwie loftki.

- Nie, skoro już was namierzyłam - mówi kobieta, ale nie patrzy na Luthera. - Hej, Percy! - Zdejmuje okulary słoneczne i spod przymrużonych powiek jak odurzona spogląda na męża, a potem na Luthera. Krew spływa z czubka lewego buta Luthera na śnieg. - Do diabła, co mu jest?

- Och, on nie żyje.

Pam uśmiecha się, jakby Luther zażartował, i przysuwa się jeszcze o krok. Kiedy widzi gardło Percy'ego, przenosi wzrok na Luthera, potem na Orsona i wrzeszczy. Kruk wzbija się ze śniegu

296-
za szopą, kracząc gardłowo. Pam odwraca się i kieruje z powrotem w stronę SnowKata.

Luther ładuje strzelbę i posyła loftki do celu.

#

Trzy godziny później relaksuje się na ganku, popijając czarną kawę z kubka. Nie jest pozbawiony dobroci. Pozwolił Pam i Percy'emu siedzieć ramię w ramię, a nawet ułożył rękę Pam tak, by spoczywała na kolanach męża. Zamarzną razem. Nie brak w tym romantyzmu.

- Moi drodzy, zamierzam wam sprowadzić nowego przyjaciela - mówi. - Co wy na to? - Spogląda na Orsona i klepie go po plecach, zimnych jak arktyczny lodowiec. - Nie jesteście zbyt gadatliwi, czyż nie? - Luther parska jowialnym śmiechem. Teraz wierzy, że jest perfekcyjnym odbiciem Orsona, i płonie z zachwytu.

Nowa strużka ciepłej krwi spływa w dół po wewnętrznej stronie jego uda...

#

Luther powraca do życia, leżąc na plecach, wpatrzony w dąszek nad gankiem. Rozlana kawa już zamarzła na jego wełnianym swetrze. Luther siada. Chmury odpłynęły, słońce zwiesza się nisko na niebie, na wpół zakryte przez odległe białe urwisko. W polu jego widzenia pojawiły się czarne plamki - zapowiedź śmierci, która wkrótce nim zawładnie. Niewielka kałuża krwi zamarzła na drewnie u jego stóp, różowa w słabnym świetle. Czuje przeszywające zimno. Ból powrócił, lecz on nie reaguje na niewygody w zdradzający słabość, ludzki sposób.

Pozostaje nieugięty, chociaż powinien wkrótce odejść, jeżeli

ma zamiar przeżyć postrzał, którym uraczył go Andrew Thomas.
297-

Wstaje, bierze strzelbę i zatacza się z powrotem do chaty. Na końcu korytarza przekręca klucz w zamku pokoju gościnnego i kopnięciem otwiera drzwi.

Andrew Thomas leży na łóżku bez ruchu.

- Wstawaj - mówi Luther. Nie wchodził do tego pokoju od zeszłej nocy, kiedy wciągnął Andrew do środka.

Z bolesnym stęknieniem i trudem Andrew siada, opierając się o ścianę z bali. Ramiona ma wciąż otulone kołdrą, dygocze, jego oddech zamienia się w parę.

- Chodź ze mną - mówi Luther.

Andrew podnosi na niego wzrok, pokonany.

- Słyszałem wystrzał ze strzelby. Czy oni wszyscy nie żyją?

- Chodź ze mną.

Brat Orsona wbija wzrok w podłogę, jego oczy napęniają się łzami.

- Po prostu mnie zabij.

Luther chwieje się. Zatacza się na ścianę, krew kapie spod jego niebieskich dżinsów. Usiłuje wycelować. Jednak strzelba wysuwa mu się z rąk, a on sam zwala się bezwładnie na kamienną posadzkę.

#

Podnoszę dubeltówkę z podłogi i kładę palec na jednym ze spustów. Kiedy przytykam lufę do piersi Luthera, mogę poczuć smak obłędu i - mój Boże - jest słodki. Mam ochotę nacisnąć spust, poczuć, jak strzelba kopie mnie w ramię, i patrzeć, jak on wykrwawia się na kamieniach. Jednym słowem, aż do bólu pragnę go zabić, i właśnie dlatego nie robię tego.

298-

#

Wlokę Luthera - żywego, choć słabnącego - na ganek, gdzie przywiązuję go sznurem, długim na siedemdziesiąt stóp, do ostatniego wolnego bujanego fotela. Następnie podnoszę czerwony wełniany koc, który zabrałem z łóżka Orsona, i otulam nim Percy'ego Maddinga oraz kobietę siedzącą obok niego - zakładam, że to jego żona. Chciałbym ich pochować, jednak ziemia pod warstwą śniegu jest zmarznięta na kość. Tyle tylko mogę uczynić dla człowieka, który uratował mi życie.

Kiedy udało mi się zamknąć oszronione powieki Percy'ego, wyszedłem na śnieg. Odwróciłem się, by przyjrzeć się martwym i konającym.

Ostatnie promienie zimnego słońca ozłociły scenę na ganku, widok, którego nigdy nie pozbędę się z pamięci: Percy Madding, jego żona, Orson i Luther Kite, każde w bujanym fotelu, troje nieżywych i jeden bliski śmierci.

Jestem zaskoczony, kiedy Luther się odzywa. Drży, nie może opanować szczykania zębami. Nie wyobrażam sobie, żeby przetrwał tę noc. Zastanawiam się, czy wykrwawi się na śmierć, czy też mróz upomni się o niego pierwszy.

- Stoisz tam, przerażony - mówi. - Czym, Andrew?
- Całą tą przelaną krwią, Lutherze.
- Wszyscy pragniemy krwi. Jesteśmy jak wojna. To nasz kodeks. Wojna i upadek, i coraz więcej krwi. Powiedz mi, że to do ciebie nie przemawia.

Wiatr targa czarnymi włosami Luthera po jego bladej, bezkrwistej twarzy. Oczekuje odpowiedzi, aleja nie mam żadnej. Na koniec podchodzę do brata. Nasze twarze dzielą ledwie cale. Oczy Orsona pozostają otwarte, jego usta zamarzły w lekkim uśmiechu. Zbezczeszczenie zwłok Maddingów oraz śmierć każdej ludzkiej istoty, którą Orson zaszlachtował, zżera mnie tak, że wrzeszczę z wściekłością, aż mój głos niesie się po pustkowiu:
299-

- Czy to jest piękno, Orsonie? Czy to jest prawda?
Później zaś, jakby po ataku gorączki, zaczynam płakać.

#

Sunę po śniegu na wschód, w kierunku autostrady 191, pod purpurowym bezkresem nieba Wyoming, a szaleństwo opada w miarę, jak chata zostaje coraz dalej za mną. Zastanawiam się, czy Luther już skołał. Zastanawiam się nad wieloma sprawami. Płozy szurają po asfalcie, zatrzymuję więc śniegołaz na poboczu drogi. Zsiadam i odwiązuję dwie walizki wypełnione ubraniami oraz zawartością szuflady Orsona. Siadam na poboczu. Autostrada została odśnieżona - jedyny śnieg na drodze to nawiany puch. Wszystko jest nieruchome. Lewe ramię pulsuje mi z bólu, ale na szczęście Percy się mylił. Kula przeszła na wyłot - dziś rano wyjąłem ołowiany grzybek z ramienia.

Słońce już się skryło. Prastare wizerunki z gwiazd i planet zapełniają nocne niebo.

Za moimi plecami księżyc wyczołguje się nad góry, a ja rzucaam teraz na drogę księżycowy cień. Autostrada ciągnie się na północ i południe, jak okiem sięgnąć jest pusta i pokryta szadzią. Strasznie mi zimno. Wstaję i przytupuję na drodze. Zamiast siadać znów na poboczu, wchodzę w zaspę sięgającą do pasa i robię w niej orła. Leżę na wznak, otacza mnie ściana bieli, wszystko, co mogę zobaczyć, to kosmos, a wszystko, co mogę poczuć, to uparcie przenikające mnie zimno.

Moje myśli zaczynają szaleć.

Przypominam sobie wiersz Orsona. Buntowniczy. Może śmiały.
„Gdybyśmy nigdy nie weszli do tego twojego tunelu, i tak znaleźlibyśmy się na tej pustyni.

Mama...

Walter...

Nie wrócę do Karoliny Północnej".

300-

W miarę jak wzmaga się chłód, moje szaleństwo zdaje się ulatniać, a umysł się oczyszcza.

Ogarnia mnie spokój.

Prawie zasypiam, kiedy daleki pomruk silnika samochodu

dociera do moich uszu. Przez moment zastanawiam się, czy nie powinienem dalej tu leżeć i umrzeć. Przestałem się trząść i ogarnia mnie fala fałszywego ciepła.

Z trudem siadam. Pojawiają się światła reflektorów auta zmierzającego na północ od Rock Springs. Wstaję, otrzepuję śnieg z ubrania i sztywnym krokiem maszeruję do drogi. Spodziewam się, że to ciężarówka. Staję na przerywanej linii i wymachuję rękami, kiedy oświetlają mnie reflektory.

Ku memu sporemu zaskoczeniu o dziesięć stóp ode mnie zatrzymuje się zderzak długiego białego vana.

Szyba w oknie kierowcy opuszcza się, gdy podchodzę, a mężczyzna o kilka lat młodszy ode mnie uśmiecha się, póki nie widzi siniaków na mojej twarzy. Jego śliczna żona, wsparta łokciami na konsoli, spogląda na mnie czujnie. Niebieskie światełko zegara na desce rozdzielczej barwi połowę jej twarzy na niebiesko. Troje dzieci śpi na tylnej kanapie, jedno na drugim w plątaniu drobnych dziecięcych kończyn.

- Czy nic panu nie jest? - pyta mąż.

- Nie wiem. Ja tylko... Muszę się dostać do sąsiedniej miejscowości. Dokądkolwiek jedziecie. Proszę.

Mężczyzna zerka na żonę. Ona sznurkuje wargi.

- Gdzie pana samochód?

- Nie mam żadnego.

- No to jak się pan tutaj dostał?

- Proszę, czy mogą mnie państwo zabrać do następnego miasta? Wasz samochód jest jedynym, jaki się pojawił przez całą noc.

301-

Mężczyzna raz jeszcze odwraca się do żony; konsultują się za pomocą spojrzeń.

- Jedziemy z wizytą do rodziny w Montanie - mówi. - Ale około pięćdziesięciu mil przed nami leży Pinedale. Zabierzemy tam pana. Może pan wsiąść drzwiami z tyłu.

- Dziękuję. Tylko zabiorę rzeczy.

- Richardzie - mruczy żona.

Podnoszę walizki ze śniegu i idę na tył auta. Otwieram tylne drzwi, stawiam bagaż na podłodze i wsiadam do środka.

- Tylko proszę o ciszę tam z tyłu - szepcze żona. - Chcielibyśmy, żeby spały przez całą noc. - Wskazuje na swoje dzieci, jakby pokazywała cenne klejnoty.

Ostatnie siedzenie zostało wymontowane, więc znajduję sobie miejsce na podłodze pomiędzy bagażem rodziny: czerwoną turystyczną lodówką, płóciennymi torbami, walizkami, koszem na bieliznę pełnym zabawek. Z własnymi walizkami u stóp zwijam się w kłębek, oparty o lodówkę, i podciągam kolana do piersi. Zaczynamy jechać, a ja spoglądam przez tylną szybę, obserwując prosty pas autostrady oświetlony światłem księżyca, uciekający spod kół z coraz większą prędkością.

Przez pół godziny łagodnie pniemy się pod górę. Potem przecinamy płaskowyż, a ja patrzę na opustoszały płaski krajobraz, wypatrując dwóch czarnych plamek na oceanie śniegu.

Na przednim siedzeniu kobieta szepcze do męża: „Jesteś uroczym człowiekiem, Rich”, głaszcząc go po karku.

Nawiew wydmuchuje ciepłe powietrze na moją twarz, a z głośników płynie niosące otuchę relaksujące nagranie: dźwięki fortepianu, odgłosy fal i nawoływania mew, kojący głos mężczyzny czytającego Biblię.

I podczas gdy Orson, Luther oraz Maddingowie zamarzają na ganku chaty, w bezkresnej ciszy pustkowia, ja rozkoszuję się oddechem dzieci.

Podziękowania

Od samego początku znalazłem się w dobrych rękach. Linda Allen pojawiła się, niosąc wiarę i zachętę, a także znalazła miejsce dla tej opowieści. To nadzwyczajna agentka oraz cudowna przyjaciółka. Marcia Markland z wdziękiem, humorem i niezawodną intuicją sprawiła, że moje pierwsze doświadczenie z redakcją okazało się tym, na co liczyłem. Bland Simpson, najwspanialszy profesor kreatywnego pisania wszech czasów, pierwszy we mnie uwierzył. Z jego doskonałym pisarstwem równać się może tylko wspaniałomyślność, jaką okazuje swoim studentom. Mary Alice Kier i Anna Cottle były wprost niezwykłe i jestem wdzięczny za ich wsparcie. Diana Szu zaś to prawdziwa superbohaterka. Dr Sam Stout i dr Ted Vance, a także Michael James oraz Marianne Fuierer dzielili się swoją medyczną i farmakologiczną wiedzą, odpowiadając na mnóstwo pytań przyprawiających o gęsią skórę. Paul Lowry był moją encyklopedią broni palnej. Myrna Woirhaye opowiedziała mi wszystko o życiu na farmie w Pinedale, a dr Sandra L. Mitchell uprzejmie podzieliła się swoją fachową wiedzą na temat pustynnej flory i fauny hrabstwa Sublette w stanie Wyoming. Dr Ritchie Kendall, kolejna znakomitość Uniwersytetu Karoliny Północnej, pomógł mi przy pytaniu dotyczącym Shakespeare'a. Wszelkie pomyłki, fakty przesadzone lub nieprawdopodobne są moje własne.

303-

W tej chwili, uwieńczonej sukcesem, przytłacza mnie miłość i poświęcenie moich rodziców, Claya i Susan Crouchów. Mój brat, Jordan, pozwala zarzucać się tytułami, nawet jeśli żaden nigdy mu się nie podoba. To świetny gość, który zamierza zostać pisarzem. Jeżeli zaś chodzi o małżeństwo, to aż trudno uwierzyć, jak mi się poszczęściło. Rebecca, twoja przyjaźń i miłość były moim drogowskazem. Na koniec jeszcze ukłon dla Pameli Bumgarner, która dodawała mi otuchy w trudnej chwili.

SREBRNY NIEDŹWIEDŹ

Derek Haas

Derek Haas

SREBRNY

NIEDŹWIEDŹ

Zanurz się w głębiach umysłu zabójcy

- w tym przejmującym portrecie psychologicznym
płatnego mordercy, tropiącego swoją ofiarę od Bostonu

do Los Angeles.

jest tym, co Rosjanie nazywają Srebrnym Niedźwiedziem.

Sam siebie nazywa Columbusem. Jego prawdziwe imię niewiele dla

niego znaczy. Nigdy nie znał swojego ojca ani matki, prostytutki.

Jest znakomitym asasynem, u szczytu formy, odpornym na

psychologiczne pułapki wybranego przez siebie zajęcia.

Jednak kiedy Srebrny Niedźwiedź zbliża się do swego najważniejszego

celu, półświatek, którego zasad zawsze przestrzegał, nagle zwraca

się przeciwko niemu...

WKRÓTCE KOLEJNY THRILLER

JONATHAN NASAW

Dziewczyny, których pożądał

Blake Crouch

Urodził się w 1978 roku w pobliżu Statesville w Północnej

Karolinie (USA).

Uczęszczał na University of North Carolina, który ukończył

w 2000 roku, uzyskując dyplomy z języka angielskiego

i twórczego pisania.

W 2004 i 2005 roku wydał swoje dwie pierwsze powieści:

Pustkowia (Desert places) i Locked doors.

W 2005 roku, zainspirowany swą przeprowadzką do Ourango

w stanie Kolorado, napisał książkę, której akcję osadził

w miasteczku górniczym zlokalizowanym wysoko w górach

San Juan. Tak powstało Abandon. Powieść opublikowano

w USA w 2009 roku.

Blake mieszka wraz z rodziną w południowo-zachodnim

Colorado, gdzie pracuje nad swą nową książką.